

# Krytyka

KWARTALNIK POLITYCZNY  
LATO 1978 NR 1

## OD REDUKCJI

Wychowywanie ludzi do współuczestnictwa w publicznym kłamstwie, wyuczanie ślepoty na publicznie demostrowaną nikczemność, niszczenie w ludziach poczucia odpowiedzialności za publiczne sprawy - oto metody nigdy nie demonstrowane w oficjalnych "programach rozwoju", oto metody zawsze stosowane w systemie totalitarnej władzy.

Jednym z wielu objawów funkcjonowania systemu jest niszczenie wszelkich przejawów publicznie wyrażanej, niezależnej, krytycznej myśli o sprawach publicznych.

Myślenie, którego podstawą jest uwolnienie od ograniczeń doktrynalnych i nacisków instytucjonalnych poszukiwanie prawdy o faktach, procesach i zjawiskach społecznie doniosłych, myślenie odsłaniające sferę suwerennych praw jednostki ludzkiej w społeczeństwie oraz sferę uprawnień społeczeństwa do decydowania o własnych losach, myślenie przeciwstawiające się apatii i społecznej bierności, ksenofobii oraz postawom rezygnacji z suwerenności narodowej - tak pojmowane polityczne myślenie jest dla nas wartością, której bronić chcemy poprzez rozwój, to znaczy poprzez spór, polemikę, kontrowersję - poprzez ujawnianie różnych punktów widzenia.

Takie są przesłanki i motywy powołania pisma KRYTYKA.

Wszakże nie one jedynie. Przede wszystkim pismo powstało jako wyraz przekonania, że opozycji antytalitarnej jest potrzebna świadomość polityczna nowego typu. Świadomość, która nie będzie tylko artykulacją emocjonalnej niezgody na obecną rzeczywistość społeczną, która nie będzie tedy bezpośrednią odpowiedzią na sytuację zastaną, lecz podejmie próbę poszukiwania nowej wizji świata.

KRYTYKA więc nie ma stanowić prostej negacji propagowanego oficjalnie systemu wartości, lecz ma być jego przewyższeniem - to zaś znaczy, że powinna być przewyższeniem takiego myślenia, które - określwszy się w bezpośredniej do tego systemu opozycji - nieuleczalnie się odeń uzależniło.

Za Komitet Redakcyjny

STEFAN STARCZEWSKI

## W 10 LAT PO WYDARZENIACH MARCOWYCH

W lutym br. redakcja "Biuletynu Informacyjnego" rozesłała do ponad 30 osób następujące pytanie:

"W marcu 1978 roku mija 10 rocznica wystąpień studenckich nazwanych poniżej "wydarzeniami marcowymi". Jak ocenia Pan/i/ skutki tych wydarzeń, ich rolę w najnowszej historii polskiej?"

Przeprowadzając tę ankietę nie liczyliśmy, że uda się nam w ten sposób rozstrzygnąć spór o rolę "wydarzeń marcowych" w naszej historii. Dziesięcioletnia perspektywa to za mało na taką ocenę, mimo, że tak wiele się od tego czasu wydarzyło. Problemem jest nie tylko bliskość perspektywy czasowej. Jak zauważył jeden z uczestników ankiety, spór o wydarzenia marcowe jest kontynuacją tradycyjnych sporów o narodowe powstania XIX wieku. Stanowisko w tym sporze było zawsze współczesnym wyborem postawy i programu działania. Podobnie jest z oceną zysków i strat tego co wydarzyło się w 1968 roku. Straty, jakie poniosła wtedy nauka i kultura polska były widoczne natychmiast i do dziś je odczuwamy. Wartości marcowego buntu inteligencji ujawnić się mogły znacznie później. Tak jak legenda powstania owocowała znacznie później, dopiero w następnych pokoleniach. Można powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze współczesną wersją wyboru między romantyzmem a pozytywizmem, a był to zawsze właśnie wybór a nie obiektywna polityczna kalkulacja.

Znaczna większość osób, które odpowiedziały na nasze pytanie to uczestnicy ruchu społecznego nazywanego dziś najczęściej demokratyczną opozycją, działacze Komitetu Samoobrony Społecznej "KOR" i Studenckich Komitetów Solidarności, pisarze i publicyści ogłaszający swe utwory w niezależnych wydawnictwach. Zwrociłiśmy się do nich nie tylko dlatego, że nie tak wielu jest w Polsce ludzi, którzy gotowi są pod własnym nazwiskiem zabrać głos w niezależnej prasie. Nie pretendując do żadnej reprezentatywności liczyliśmy, że taki właśnie skład uczestników ankiety pozwoli na ocenę roli wydarzeń marcowych w powstaniu demokratycznej opozycji 10 lat później. I jest to chyba jedyna kwestia, w której wyniki ankiety pozwalają na jakieś uogólnienia. W biografjach inteligentów zaangażowanych obecnie w różnych niezależnej działalności społecznej i kulturalnej znaczenie wydarzeń marcowych było często decydujące. Dotyczy to nie tylko bezpośrednich uczestników tych wydarzeń, ale też i wielu znacznie od nich młodszych. Opozycja demokratyczna jest niewątpliwie spadkobiercą tradycji Marca 68. W ankiecie naszej wzięli też udział intelektualiści polscy zmuszeni do opuszczenia kraju powstaniem marcowych oraz pisarz starszej generacji Gustaw Herling-Grudziński. Przywiązujemy do tego faktu ogromne znaczenie, jest on świadectwem obecności tych ludzi w polskiej kulturze i ich udziału w ruchu demokratycznej opozycji.

Ankieta nasza miała się ukazać w numerze specjalnym "Biuletynu Informacyjnego" ze względu na dużą ilość otrzymanych wypowiedzi, a w związku z tym, znaczną obciążonością całości, zdecydowaliśmy się na opublikowanie ankiety w pierwszym numerze KRYTYKI.

Za redakcję "Biuletynu Informacyjnego"  
Seweryn Blumsztajn

BRONISŁAW BACZKO

Czy cokolwiek w ogóle wydarzyło się w Polsce przed 10-ciu laty, w marcu 1968 r.?

Władza, która tak przepada za akademiami z honorowym prezydium, która z zafiksowaniem czci sama siebie w artykułach wstępnych z powodu byle jakiej okrągłej daty, jakoś tym razem nie kwapi się obchodzić uroczystości tej rocznicy. A przecież dziesięć lat temu wrzeszczano z wszystkich megafonów, że partia i masy

pracujące odniosły epokowe, historyczne zwycięstwo nad rewizjonistami, syjonistami, imperialistami, nad agentami wszystkich wrogich, ciemnych sił, które uknuły podstępny episek przeciw Polsce. Czemuż więc nie zbiera się młodzieży na uroczyste akademie w aulach uniwersyteckich, nie wywiesza się transparentów ścigających zwycięstwo sprzed 10 laty? Zwłaszcza, że była to skądinąd, z punktu widzenia władzy, operacja dorźnie udana. Udało jej się zlikwidować żalosne skądinąd pozostałości października i jakże nikłe jego enklawy. Udało się doraznie spacyfikować intelektualistów i młodzież studencką, zlikwidować rewizjonistów a przy okazji radykalnie wyleczyć ich ze wszelkich złudzeń co do tego, że system zdolny jest do reformowania się od wewnątrz. Udało się, z dnia na dzień, przekształcić prasę, która "tylko" kłamie i międli drętą mowę, w prasę pałkarską, wprowadzić do obiegu publicznego język Stürmera i procesów moskiewskich. Udało się przygotować spokojne zaplecze dla interwencji sierpniowej - w marcu zapuszczone motory czołgów, które w cztery miesiące później ruszyły na okupację Czechosłowacji. Sprawna okazała się w marcu technika prowokacji i naciągania wszystkich środowisk agentami bezpieczeństwa. Przy okazji tej operacji jedni wysadzili z siódka, tzn. ze stołka, innych i po dziś dzień utrzymują się przy władzy, do której się wówczas dorwali, mają więc, zdawałoby się, powody do, największej satysfakcji. Czemuż więc nie grzmią fanfary, nie gładzą propagandziści, dlaczegoż zasłużeni nie wypinają piersi po nowe ordery? Cóż sprawa, że ci, co przed... dziesięcioma laty wsadzali do więzień i bili pałkami, wrzeszczeli i zachłystywali się własnym krzykiem, starają się dziś zatrzeć własne ślady? Ileż by dali, aby znikły napisane wówczas artykuły, podpisane wówczas rezolucje, aby zatarko się wspomnienie o ich klaskających dźwiękach?

Ci natomiast, których w marcu bito pałkami i wsadzano do więzień, nie chcą bynajmniej, aby o tym zapomniano i nie milczą. Przekazują na głos indywidualne i zbiorowe ówczesne doświadczenia, oraz wyciągnięte z nich wnioski. Głosowi ich coraz uważniej przysłuchuje się opinia publiczna, której ani cenzura, ani policja, tak znakomicie przeszkolona w marcu, zdusić i stłamsić nie potrafią. A przecież dziesięć lat temu, po stronie młodzieży i inteligencji, dni marcowe nie były otoczone horyzontem nadziei, od pierwszej niemal chwili towarzyszyło im poczucie gorzkości i nieuchronnej porażki.

Władza nie obchodzi rocznicy marca, tak jak nie święci rocznicy października. Pamięta o swych zwycięstwach, stara się natomiast zapomnieć i zatrzeć w pamięci zbiorowej wspomnienie o własnych porażkach. Z nauki, której chciała udzielić w marcu 1968 r., rzeczywiście sporo się w Polsce nauczono. Coś się po marcu zmieniło w krajobrazie społecznym, w klimacie moralnym, w liniach podziemia, w zasobie nagromadzonych doświadczeń. Szczecin 1970 r. i Radom 1976 r., działacze KOR-u i prasa pozacenzuralna, Uniwersytet Łatający i SKS - wszystko to należy do epoki "pomarcowej", nie tylko w sensie chronologicznym. Historia marca 1968 roku, jego konsekwencji wielorakich, doraźnych i długofalowych, pozostaje wciąż do napisania. Czy prowizoryczny bilans moralny i polityczny 10 rocznicy marca nie jest już jednak zawarty w wymowie, milczenia prasy oficjalnej i w głosie prasy oraz publikacji, które się od cenzury wyzwoliły?

STANISŁAW BARANCZAK

Mówi się nieraz, że Marzec był w pewnym sensie klęską społeczeństwa w starciu z władzą. Nie zginęli - jak w grudniu - ludzie, ale stała się rzecz niemal równie tragiczna: rozgromiona została kultura. Są to sprawy dostatecznie znane, aby nie trzeba było dokumentować ich przykładami. I wszystko to prawda - jednakże nigdy nie zgodzę się z teoriami, jakoby Marzec był wynikiem nabrnięcia się intelektualistów i młodzieży na policyjną prowokację, w której zamiarach od początku leżało właśnie rozgromienie kultury i zadanie porażki siłom demokratycznym w kraju. Jeśli nawet taki zamiar istniał, jeśli istniała prowokacja, to jej skutki daleko wykroczyły poza to, czego oczekiwali prowokatorzy i obróciły się przeciw nim samym. Dokonało się to już w marcu, ale jeszcze wyraźniej w latach następnych.

Albowiem Marzec był wprawdzie naszą klęską, ale na krótką metę. W dalszej przyszłości miało się okazać, że jest to raczej jeden z pierwszych wyraźniejszych objawów narastającego kryzysu zaufania społeczeństwa wobec władzy, jedna z pierwszych okazji zmanifestowania autentycznych - choć jeszcze połowicznie uświadomionych - nastrojów i dążeń społecznych. Od strony politycznej i socjologicznej niejednokrotnie już Marzec w ten sposób analizowano. Ja chciałbym zwrócić uwagę na to, jak Marzec zaowocował w kulturze, a więc w tej dziedzinie aktywności społecznej, która poniosła wtedy, zdawać by się mogło, najcięższe straty.

Otóż z dzisiejszej perspektywy widać już chyba dość wyraźnie, że większe straty należy tu zapisać po stronie władzy. Marzec po prostu nie opłacił się PZPR-owi: nie tylko w tym sensie, że rozpętanie antysemitkiej i antyinteligentkiej kampanii zostało kwaśno przyjęte przez światową opinię, ale przede wszystkim w tym, że do udziału w owej kampanii można było skaptować wyłącznie cyników, prywatnych bojówkarzy, zjadanych przez kompleksy nicudaczników - ludzi myślących i obdarzonych sumieniem można było tylko ostatecznie zrazić sobie. Po stronie zysków władzy znaleźli się odtąd Walichnowski, Filipiński i Dobrowolski, po stronie strat - najświetniejsze nazwisko kultury polskiej. Bilans niezbyt imponujący. I taka właśnie była podstawowa rola, jaką w dziedzinie kultury spełnił Marzec: stał się momentem, zmuszającym do samookreślenia, do krystalizacji postaw. Była to jedna z tych sytuacji granicznych, w których nagle staje nam przed oczami zespół elementarnych ludzkich wartości: odtąd można już tylko albo ich bronić, albo współdziałać w ich zagładzie, bo i milczenie jest współdziałaniem.

Mwślę, że szczególnie wyraźnie prestiżowa klęska władzy zaznaczyła się w umysłach ówczesnego młodego pokolenia - tego urodzonego i wychowanego już w Polsce Ludowej. Mogę tu przywołać osobiste wspomnienia: sam bowiem byłem do Marca dość typowym przykładem tego częściowego duchowego zniewolenia, jakie dominowało w naszej generacji, żyjącej jeszcze złudzeniem, że lata sześćdziesiąte to dalszy ciąg Pańdziernika. Dostrzegając wokoło absurdy i nadużycia zawiniono przez władzę, wierzyłem mimo wszystko w hasła przez tę władzę głoszone, w myśl zasady "ideologia jest dobra, tylko ludzie sprawujący rządy często do niej nie dorastają". Marzec był dla mnie szokiem i zasadniczym przełomem w tym sensie, że objawiła mi się nagle anty-ludzkość, tkwiąca immanentnie w samej ideologii. Prasa kłamała przecież nie tylko dlatego, że dziennikarze byli nieuczciwi, lecz dlatego, że kłamstwo jak deska ratunku utrzymywało na powierzchni aparat władzy, milicjanci pałowali nie tylko dlatego, że byli sadystami, ale dlatego raczej, że bez przemo<sup>cy</sup> system upadłby w ciągu tygodnia. Ideologia zaś - dostrzegłem to wtedy z prawdziwą grozą - dostarczała dla tego haniebnego stanu rzeczy gotowych uzasadnień. Nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy na zajęciach z filozofii marksistowskiej, gdzie karmiono nas abstrakcyjnymi rozważaniami na temat dyktatury proletariatu i leninowskiej koncepcji prawdy: trzeba było Marca, aby abstrakcja pokazała swoje konkretne oblicze.

Stwierdzić, że największą porażką władzy w Marcu była właśnie generalna utrata zaufania ze strony młodej generacji. Ludzie wchodzący wtedy w dorosłość mogli już odtąd dzielić się na cyników, akceptujących ten system w imię własnej korzyści, i na tych, którym Marzec dał lekcję krytycznego myślenia. Z tych ostatnich, co prawda, wielu swój krytycyzm dość skutecznie w późniejszych latach stonowało, w myśl zasady, że "wychylenie się" nie popłaca. Wielu było jednak i takich - zwłaszcza w tworzącym się podczas ruchu młodej kultury - którzy usiłowali dać swojemu krytycyzmowi publiczny wyraz. Cały ten ruch kulturalny "pokolenia 68", który zrodził się w Marcu, rozkwitł już w Grudniu, a objął literaturę, teatr, sztuki plastyczne, satyrę itd. - wynikał jakby z dwu milcząco przyjętych założeń: że, po pierwsze, nie ma kultury tam, gdzie fałszuje się prawdę w imię rzekomych nadrzędnych celów, i że, po drugie, godną pogardy jest kultura, która w imię takich celów godzi się na krzywdzenie jednostki ludzkiej. Oczywiście, sporo czasu musiało upłynąć, zanim doszło do wyraźnego i niedwuznacznego uświadomienia sobie tych założeń, po drodze odpadło wielu początkowych uczestników ruchu, którzy bądź to cofnęli się przed ryzykiem otwartego głoszenia własnych poglądów, bądź po prostu dawali się kupić. Z daw-

tego "pokolenia 68" pozostało - przynajmniej na terenie literatury - kilka nazwisk. Ale przełomu w świadomości młodszych generacji, który wtedy nastąpił, nie już nie jest w stanie cofnąć. To, co działo się w Czerwcu, było dalszym ciągiem Marca.

## ZYGMUNT BAUMAN

Dla oceny wagi historycznej zdarzenia, perspektywa dziesięciu lat jest chyba najmniej dogodna. Doznania osobiste, wystrzajające kontur zdarzenia w stopniu, który późniejszym badaczom rzadko kiedy udaje się osiągnąć, straciły na mocy i nie potrafią już same udźwignąć syntezy, zbyt wcześnie jednak na to by rolę syntetyczną przejęły następstwa zdarzenia, dość liczne i doniosłe, by przeciwstawić ciśnienie dążeń i przeżyć jego aktorów i by nadać temu zdarzeniu sens od tych przeżyć niezależny. Na jedną syntezę po dziesięciu latach już za późno, na drugą jeszcze za wcześnie.

Po dziesięciu latach zdarzenie wydaje się mniejsze i mniej znaczące niż nazajutrz, ale także i mniej uwagi godne niż po latach pięćdziesięciu. Nie nabrawszy jeszcze podręcznikowej solidności faktu historycznego, mogąc wespół z swymi roszczeniami jedynie na wspomnieniu niegdysiejszych przeżyć, musi ono ustąpić zdarzeniom późniejszym, których wspomnienie jest świeższe, a przeto jaskrawsze i jakby czyniące swój przedmiot donioślejszym przez jego wczorajszą dopiero obecność.

W takiej to właśnie, już nie uczuciowej a jeszcze nie historycznej postaci, jawi się nam dziś marzec 1968 r. Gdy o doznania idzie, dawność ich zdarzenie potęguje tyleż dotkliwiej, co świeższe wspomnienia grudnia 1970, marcowe przeżycie kurczy się do rozmiarów już tylko epizodu w spojrzeniu zafascynowanym zuchwałą determinacją KOR-u. Z drugiej jednak strony, nie oddalił się jednak ów marzec na tyle, by jego sens odcedzić się daleko od motywów, następstwa od zamierzeń, funkcję od nadziei.

Ktokolwiek przeto kusi się o ocenę marca po dziesięciu latach, podejmuje ryzyko podwójne, łatwo mu popaść w konflikt i z tymi, dla których sens zakrzepł w pamięci w tej postaci jaką nadała mu biografia, a i z tymi także, którzy po latach utożsamiają restytucję marcowego ducha z trzeźwym pomiarem dziejowych sekwencji.

Zdaje sobie sprawę zarówno z tych niebezpieczeństw, jak i potrzeby stawienia im czoła, to przecież jak działania ludzkie umiejscowia marzec w historii zależeć będzie po części i od tego, w jakiej postaci, w oczekiwaniu wyroku, żyje on w ludzkiej wyobraźni i ucieleśnia się w ludzkich wysiłkach. W imię tej potrzeby, dołączam swój głos do dyskusji, którą rocznica niechybnie podsyła. Czynie to świadom nieuniknionej ułomności uogólnień, które utraciły już swą rację początkową, a szukają dopiero racji późniejszej i trwałej.

Dziś, z niedoskonałej perspektywy dziesięciu lat, rysuje mi się marzec głównie jako ostatni epizod dwudziestoletniego romansu inteligencji z komunistyczną władzą. Po raz ostatni zwróciła się inteligencja do władzy z prośbą o powrót do kierownictwa życiem kulturalnym narodu. Po raz ostatni sformułowała ona swe żądania w języku jakim posługiwała się władza, który więc wiązał inteligencję z władzą i w sytuacji nabrzmiewającego konfliktu niósł w sobie wciąż możliwość porozumienia. Po raz ostatni podjęła inteligencja desperacką próbę skłonienia władzy do uznania za swoje wartości jakim sama hołdowała, i do podjęcia się ich orendownictwa. Wszystko to po raz ostatni - bowiem pękły tajniackie jakże spadły w marcu na plecy studentów strzaskały niepowrotnie resztki złudzeń. W marcu dokonała swego żywota nadzieja na spójnię komunistycznej władzy i kultury wolnego narodu. Skończyło się czekanie na oświeconego władcę, wzbudzone na chwilę intronizacji Gierka, tliło się już zbyt słabo by przetrzymać pierwszy, nieuchronnie rychły, powiew realizmu.

Inteligencja uszła w siebie, zwróciła się plecami do polityki. Być może gwałtowności tej reakcji przypisać należy milczenie inteligencji w grudniu 1970, praktykowane dotąd forma działania politycznego - wysiłek nawiązania

dialogu z władzą, pozyskania jej dla celów, które odrzucała - została zdyskredytowana, nowa forma politycznego działania - sojusz z niezależnymi i nie-skorumpowanymi siłami narodu celem zmuszenia władzy do uznania własnej bez-siły - wymagała dłuższego okresu inkubacji. Na razie zdawało się, że władza wygrała swą wojnę, że inteligencja - pobita i wystraszona - wyrzeka się swej odpowiedzialności. Być może, że władza odetchnęła z ulgą. Być może, że to ona z kolei uległa złudzeniu: można inteligencję poskromić, można ją pohnąć jeśli nie lozgody, to przynajmniej do posłuszeństwa, można jej odebrać chęć do zajmo-wania się polityką.

Jeśli przypuszczenie to jest prawdą - władza pomyliła się. Pozorna kapita-lacja polityczna inteligencji była wyrazem chwilowego szoku, spowodowanym ban-kructwem wieloletniej formuły politycznego działania. Jak wielki szok, musiała się ona prędzej czy później skończyć. Trwałym następstwem dyskredytacji dialogu musiały być natomiast nieodwracalne, choć początkowo niedostrzegalne, procesy przewartościowania postaw i strategii. Kruszenie się pomostów między władzą, a inteligencją. Uwiądnięcie partyjnych wpływów na kształtowanie się inteligencje-go światopoglądu i formy działania. Nade wszystko zaś - nieodwracalny proces dekompozycji wspólnego języka, na jakim zasadzała się szansa porozumienia. Gdy po okresie milczenia rozlegnie się znów na arenie politycznej głos inte-ligencji - będzie to nie petycja, lecz żądanie, niezrozumiałe już dla władzy, tym bardziej zrozumiałe dla narodu. W marcu 1968 komunistyczni władcy Polski pozbyli się inteligencji jako krapki, zbyt samodzielnego sprzymierzenia. Dziesięć lat później zaczynają się chyba domyślać, że uzyskali w zamian dojrza-łego, przetrwałego złudzeń oponenta.

Gdy głos niezależnej inteligencji znów zabrzmiał, okaże się, że rząd i o-ściężona Polska nie mają już wspólnego języka, ani wspólnych problemów do dys-kusji. Być może w ten sposób określi historia sens zdarzeń marcowych.

WŁODZIMIERZ BRUS

Odpowiedź na zawarte w tytule pytanie jest trudna z wielu powodów. Wchodzi w grę czynnik subiektywny - skłonność do przeceniania roli wydarzeń, w których brało się tak czy inaczej udział. Następny problem tkwi w tym, że trwałe (a o takie przecież chodzi) znaczenie faktu historycznego polega nie tylko na jego wpływie na rzeczywistość, lecz również na tym, czy i w jakim stopniu po-zostaje w świadomości społecznej. Ten ostatni moment jest w warunkach polskich bardzo trudny do wyważenia ze względu na siłę oficjalnej maszyneryi zagłuszają-cej pamięć narodową, można zapewne przedrzeć się przez ten łoskot, ale raczej nie na ollerłość.

Próba odpowiedzi, którą daję poniżej musi więc być z natury rzeczy fragmen-taryczna i impresyjna - ale może właśnie o to chodziło inicjatorom tej swoistej ankiety.

Patrzeć wstecz na wydarzenia sprzed dziesięciu lat muszę przede wszystkim zaznaczyć, że nie trafiają mi do przekonania często wypowiedzane tu na zachodzie poglądy o marcu jako fragmencie ogólnoeuropejskiego, czy nawet ogólnoswia-towego, buntu młodzieży. Uważam, że niewiele zrozumiemy łącząc marzec z parys-kin majem i analogicznymi wydarzeniami. Marzec wyrósł na podłożu specyficznym dla naszej części świata, był wyrazem buntu przeciwko socjalistycznemu totalita-ryzmowi, hasła ruchu studenckiego jasno skupiały się wokół fundamentalnych praw i wolności obywatelskich jako nieodzownego warunku rozwiązania problemów ekonomicznych, społecznych i narodowych.

Miejsce marca w najnowszej historii Polski zależy, moim zdaniem, głównie od oceny wpływu, jaki wywarł na perspektywę demokratyzacji systemu politycznego. Z tego zaś punktu widzenia bezpośrednie doświadczenia są sprzeczne.

Z jednej strony marzec dowiódł, że mimo wielu lat systematycznej indoktry-nacji (i zdawania sobie sprawy z dotkliwości zagrożeń) wielka rzesza studentów polskich okazała się niezmiernie chłonna na hasła demokratycznej odnowy socjali-zmu. Niezależnie od roli, jaką przypisujemy zwykłym ludziom reakcją na prymity-wną i prowokacyjną brutalność policji i jej zwierzchników, nie

ulega chyba wątpliwości, że - niespodziewana zarówno dla wrogów jak i dla przyjaciół - skala wystąpień studenckich i szybkość ich przenoszenia się między różnymi ośrodkami były w głównej mierze rezultatem właściwego odczytania politycznego sensu wydarzeń, na rzecz takiej interpretacji przemawia również dojrzałość wysuwanych haseł, a także niezwykle godna postawa zarówno masy studenckiej jak i spontanicznie wyłanianych przywódców.

Ale marzec miał również drugą stronę - tę, która sprawiła, że protestujący studenci i pociągający ich intelektualisci (niestety daleko nie wszyscy) okazali się w dużym stopniu izolowani. Stało się tak nie tylko z powodu zastraszania, lecz także w wyniku dużej skuteczności anty-inteligenckiej i anty-żydowskiej propagandy. Nie ma tu miejsca na przypomnienie złożonej siatki ówczesnych układów w kierownictwie partii, roli frakcji moczarowskiej czy jakże zrozumiałej euforii Piaseckiego et consortes, jest faktem, że pokłady zacofania, dezintegracji, braku nawyków myślenia i działania politycznego okazały się dostateczne dla wywołania nastrojów obojętności lub nawet wrogości w niektórych środowiskach (w tej liczbie również wśród robotników) wobec protestujących studentów i intelektualistów. Warto w związku z tym dodać, że błyskawiczne kariery wielu marcowych aktywistów - na różnych szczeblach hierarchii partyjnej i państwowej, w sferze nauki i kultury - wydatnie pogłębiły charakterystyczną dla systemu negatywną selekcję kadr.

Na tle niewątpliwiej dwiistości samych wydarzeń marcowych, najważniejsze dzisiaj wydają mi się odpowiedzi dotyczące obecnego stosunku społeczeństwa polskiego do postulatów wysuwanych w marcu 1968 r. (niekoniecznie w sensie dosłownym, lecz ogólnego ich kierunku). Nie czuję się kompetentny do wyrażania kategorycznych sądów na ten temat, wydaje mi się jednak, że świadomość znaczenia postulatów demokratyzacji - znacząca bynajmniej nie abstrakcyjnego i doktrynalnego, lecz najbliższej związanej z codziennymi potrzebami życia polskiego - jest dziś bardziej powszechna niż przed dziesięciu laty. Grudnio-szok 1970 r. pokazał do czego zdolna jest władza rozzuchwalona "sukcesem" marcowego typu, stało się jasne (a w każdym razie jaśniejsze), że skutki wzajemnej izolacji różnych grup społecznych dotyczą nie tylko Żydów, studentów, czy glajchszachtowanej kultury, lecz rozciągają się w tragiczny sposób na ogół, zwłaszcza zaś na środowiska robotnicze. To co nastąpiło w czerwcu 1976 r. i po nim, choć nie powinno służyć za podstawę pochopnych i przesadnych ocen, jest na pewno oznaką autentycznych form działania politycznego, które mają ograniczać stopniowo arbitralność poczynąń władzy, zmuszając ją do szukania - np. w polityce gospodarczej - rozwiązań korzystniejszych dla społeczeństwa i dających większe szanse społecznej aptobaty.

Jeśli doświadczenia marca 1968 roku, choćby przez retrospektywną analizę, przyczynią się w jakiegokolwiek mierze do wzmocnienia tych procesów, to można przypuścić, iż data ta nie zniknie z kart najnowszej historii Polski.

LUDWIK LORN

Wspomnień z marca 1968 roku mam niewiele: zsłyszane w tramwaju rozmowa o tym, że studenci szli Marszałkowską i krzyczeli "prasa kłamie", jacyś ludzie z telewizora z zagadkowym transparentem "antysemityzm - nie, antysyjonizm - tak", wszechobecne "Jesteśmy z Wami, towarzyszu Wiesławie" bijące po oczach z pierwszych stron gazet, wyjazdy paru znajomych rodziców i słuchanie "Wolnej Europy" przy odkręconym kranie w łazience. Jednakże, choć ani los mojej rodziny, ani mój własny nie był bezpośrednio związany z wydarzeniami marcowymi, parę lat później stały się one dla mnie doświadczeniem, które bez wahania uznałem za swoje i włączyłem do własnej genealogii. W owym czasie moja osobista historia PRL zaczynała się w 1968 r.

Nie było w tym nic dziwnego. Władza totalitarna (w Polsce władza komunistyczna) wyklaszczając społeczeństwo z praw, pozbawiając je podmiotowości, odbiera mu zarazem historię. Tam, gdzie jedyną siłą sprawczą ma być z założenia władza, historia polityczna, społeczna i gospodarcza redukuje się w wersji oficjalnej do przebiegu zjazdów partyjnych i dat kolejnych pięcioletek, zaś w wer-



...nieoficjalnej - do walk personalnych wewnątrz rządzącej elity. Dlatego tak (nie tylko z punktu widzenia politycznego, ale i poznawczego) są momenty kryzysów, kiedy podmiotami wydarzeń stają się inne - oprócz władzy - grupy społeczne. Okazuje się wtedy, że proces społeczny w społeczeństwie rządzonym totalitarnie może mieć wielopodmiotowy charakter. Takie doświadczenie historii może u uczestników i obserwatorów wydarzeń kryzysowych owocować w przyszłości (niezależnie od tego, jakie były ich bezpośrednie skutki). Wydaje mi się, że marzec 1968 roku daje się zaliczyć do takich wydarzeń.

Ponadto wydarzenia kryzysowe mogą dać społeczeństwu możliwość samopoznania. Ujawniają się bowiem podaczs nich siły społeczne, które dotąd pozostawały niezróżnicowane. O tym do czego jest zdolna i do czego dąży władza komunistyczna można było dowiedzieć się przez trzydzieści parę lat jej rządów. O tym jakie są i do czego dążą (a także w jakich warunkach skłonne są swoje dążenia urzeczywistniać) różne grupy społeczne w Polsce można się było dowiedzieć w Październiku, Marcu, Grudniu i Czerwcu.

Dla tych, którzy urodzili się politycznie po Marcu jest on źródłem wiadomości o okresie poprzedzającym tę datę. Był także wydarzeniem, które w sposób bezpośredni określa ich sytuację polityczną i społeczną.

To prawda, że od Marca 1968 roku dzieli mnie Grudzień. Marzec był jednak doświadczeniem politycznym grupy społecznej, z którą się utożsamiam - inteligencji polskiej. Wydaje się, że nad postawami i działaniami tej grupy najmocniej po dziś dzień ciąży doświadczenia wydarzeń marcowych.

Najpewno nie jest to wpływ jednoznaczny. Wielu studentów w 1968 roku poszło do więzienia, niektórzy z nich trafili znowu do aresztu śledczego w roku 1977. Wielu studentów w 1968 roku uczestniczyło w pracach Komitetów Strajkowych, dzisiaj niektórzy z nich jako aktywiści SZSP przewodzą walce ze Studenckimi Komitetami Solidarności. Marzec 1968 może być przykładem autentycznego, niezależnego od władz, zbiorowego działania politycznego. Ale studenci zbierający ceggiw ciągu ostatnich dwóch lat podpisy pod petycjami do Sejmu słyszeli wiele razy od swych profesorów i kolegów, że ich działania prowadzą do drugiego marca" (przestrzegającym nie chodziło o to, że na Uniwersytecie zbierze się wiec, ale że nieokreśleni bliżej "zamordyści" znajdą pretekst do rozprawy z polską nauką i kulturą). Dla znacznej części polskiej inteligencji wydarzenia marcowe są dowodem na to, że za działania niezależne od władz przychodzi płacić cenę niewspółmiernie wysoką, że muszą one prowadzić do przegranej i że najlepszą metodą walki z władzą komunistyczną jest jej "nieprowokowanie". Taka zgeneralizowana interpretacja Marca powstała w końcowych najciemniejszych latach autokratycznych rządów Gomułki: usprawiedliwiają ją i czynią zrozumiałą warunki w jakich się zrodziła, ale nie są one dowodem na jej prawdziwość. Można też widzieć w 1968 roku dowód na to, że inteligencja i studenci mogą stać się w pewnych warunkach jednym z wielu samodzielnych aktorów wydarzeń decydujących o losach Polski. Nic jednak nie dowodzi - i o tym też trzeba pamiętać - że niezależne działania studentów i inteligencji muszą doprowadzić do pożądaných rezultatów.

#### URSZULA DOROSZEWSKA

Dla dzisiejszych studentów Marzec jest już historią. Ale wstrząs, jakim był rok 1968, niewątpliwie zaciążył nad ich widzeniem świata. Interesuje mnie wpływ marcowego wstrząsu na tych, którzy podejmują swój bunt teraz, mając lat niewiele ponad dwadzieścia. Jak wszyscy buntownicy, szukają oni wzorów w przeszłości. Chcą zastanowić się nad tym, na ile takim wzorem jest Marzec 1968 r. i na ile doświadczenia, z niego wyniesione, wpłynęły na nasze własne - teraz - działania.

Obraz Marca w świadomości większości moich rówieśników jest nadzwyczaj niejasny i niepełny. Zostaliśmy odcięci od historii ostatnich kilkunastu lat, a więc pozbawieni możliwości korzystania z doświadczeń, które wobec braku obiektywnej informacji, nie kumulują się. Historię znamy więc głównie z czyichś opowiadań - a więc to, co wiemy, jest nie tylko niepełne, ale już w momencie przekazywania obciążone emocjami i wartościowaniem opowiadającego. Bródka i opracowania

historyczne są dostępne jedynie nielicznym. Być może, dlatego właśnie moi rówieśnicy częściej szukają wzorów postępowania w okresie zaborów czy okupacji.

W tych warunkach Marzec został przekazany młodszemu pokoleniu głównie jako wartość: podjęcie buntu oraz jako zbiór emocji, domniemywań, uprzedzeń i podejrzeń. Trudno je opisać obiektywnie, bo znów brak źródeł, które byłyby odbiciem obiektywnym stanu świadomości młodzieży. Oprzeć się mogą tylko na własnych rozmowach i intuicji.

O działaniach studentów, składających się na tzw. wydarzenia marcowe moi rówieśnicy wiedzą tylko, że były to wiece, manifestacje, strajki okupacyjne. Niewiele natomiast wie się o komitetach studenckich czy poprzedzających Marzec dyskusjach. Zapadły w pamięć te działania, które charakteryzowały się dużą społeczną widocznością i które były podejmowane wspólnie przez nieomal wszystkich studentów. W oczach społeczeństwa działania studentów nabrały od tamtego czasu szczególnej widoczności, uzyskali opinię grupy, która jest barometrem społecznych napięć. Działania te mają więc duże znaczenie symboliczne.

Ale sami studenci w niewielkim stopniu zdają sobie sprawę z tej pozycji w społeczeństwie, jaką uzyskali dzięki wydarzeniom 68 roku. Na ogół nie wierzą w sens i powodzenie wspólnych, masowych działań, nie czują się - jako studenci - odrębną grupą, zdolną do upominania się o swoje prawa i prawa całego społeczeństwa. Przyczyną tego jest w dużym stopniu pamięć o rozbiciu demonstracji przez policję i późniejszych represjach. W związku z zawężeniem wiedzy historycznej propozycje jakiegokolwiek działania politycznego studentów kojarzą się od razu z "wyjściem na ulicę". Trzeba wiele trudu, by przekonać studentów, że wyprowadzenie studentów na ulicę nie jest celem niezależnego ruchu studenckiego.

Istnieje głęboko zakorzenione przeświadczenie, że Marzec był "prowokacją". Różne są zdania co do tego, kto był "prowokatorem": służba bezpieczeństwa, syjonisci, rewizjoniści, Moczar, Wolna Europa. Wszystkie te siły zlewają się w jedną groźną postać Wielkiego Manipulatora, poruszającego - wedle swej woli - masy studentów. Wiele osób uważa więc, że Marzec był ruchem w istocie swej nieautentycznym, lub że dobrzy, ale naiwni studenci, dali się wykorzystać ciemnym siłom, które coś na tym zyskały. Stąd bierze się rozpowszechniona postawa: "ja się nie dam w to wrobić". Ta irracjonalna, pełna lęku postawa wobec wszelkich działań społecznych ma swe źródło w odcięciu od informacji i silnym poczuciu zagrożenia, wskutek czego postrzega się świat poddany działaniom sił potężnych, tajemniczych i wrogich. Na rozpowszechnienie tej postawy wpłynęła szczególnie propaganda 1968 roku - i zapadła ona głęboko w pamięć wraz z plotkami o innych, niż ci gazetowi, ale jednak - prowokatorach i inspiratorach. Dlatego wiele osób młodych jest nieufnych wobec działań, podejmowanych teraz przez opozycję, wietrząc wszędzie "prowokację" i "manipulację". Być może, właśnie skutkiem tych lęków był szczególny kształt działalności społecznej - najbardziej po marcu rozpowszechnionej: ludzie wrażliwi na krzywdę zajmowali się leczeniem narkomanów, opieką nad upośledzonymi, psychoterapią, a więc podejmowali jedynie te działania, które zmieniają jednostki lub małe grupy. Przez długi czas nie było natomiast widocznych prób buntu na większą skalę i podjęcia odpowiedzialności za los własnej grupy społecznej czy całego kraju.

Kolejną cechą Marca, która zapadła w świadomość studentów - jest jego klęska (niezależnie od tego, czy obiektywnie rzecz biorąc, zakończył się on klęską). Rozbicie środowisk, straty w kulturze, wyjazdy ludzi bliskich, represje policyjne - wszystko to wpłynęło demobilizująco na moich rówieśników, dając im poczucie, że system, w którym żyjemy, jest twardy i nic w nim wytargować nie można, a buntowników czeka więzienie. To doświadczenie, które jednych przerażało, na innych podziało co najmniej twórczo: ci, którzy włączają się teraz w niezależny ruch studencki, nie mają na ogół złudzeń, co do twardości systemu nie będą więc przeżywali rozczarowań. I już teraz przygotowują się psychicznie do śledztwa.

Po tak ponurym obrazie, jaki przedstawiłam, nasuwa się oczywiście pytanie: jak wobec tego zaistniał niezależny ruch studencki? Dlaczego studenci współpracują z KOR-em, RO? Myślę, że Marzec zaważył na tym głównie jako sam wzór buntu - wspólnego działania podejmowanego w imię pewnych wartości. Wzór

ten jest zresztą i tak silnie zakorzeniony w naszej kulturze. Zresztą buntowniczość pojawia się nawet niezależnie od wzorów i od tego, jak fatalny jest stan świadomości społeczeństwa.

Poza tym - istniały jednak środowiska, choć nieliczne, w których odbywało się przekazywanie doświadczeń w sposób pełniejszy. A wreszcie - pewna ilość ludzi nie straciła nadziei w ciągu kilku ciemnych lat, które przyszedły po 1968 roku. Ludzie ci pokazali własnym życiem, że bunt jest możliwy, tworząc wzory społecznego i politycznego działania.

#### GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

Odpowiem na pytanie ankiety w punktach, lapidarnych, ale ujmujących dość dokładnie to co myślę o skutkach wydarzeń marcowych i ich roli w najnowszej historii Polski.

1. W marcu 1968 wyzionął ducha, po przeszło dziesięciu latach powolnego konania październik 1956. I pociągnął za sobą do grobu wszystko, co było z nim związane w momencie euforycznych narodzin: wiarę w możliwość naprawienia komunizmu i przyprawienia mu "ludzkiej twarzy", złudzenia rewizjonizmu i ewolucjonizmu, przekonanie o samouzdrawiających zdolnościach reżymu, stawkę na "liberalne skrzydło" partii. Treścią marcowego ruchu studentów i inteligencji nie było już hasło usprawiedliwienia motorów i odblokowania hamulców socjalizmu obrządku wschodniego, monopartyjnego i despotycznego, lecz - kto wie, czy nie zdążył do wewnętrznych przeobrażeń, które by go uczyniły bardziej "oświeconym", były to hasła demokracji, wolności, narodowej suwerenności, praworządności, obrony kultury polskiej. Marzec więc zwracał się (nieśmiało jeszcze) do społeczeństwa, a nie do partii. Dlatego wyrządzono mu w pewnych kołach krzywdę, nazywając go "kłótnią w rodzinie". Krzywda ta została w jakiejś mierze naprawiona później, gdy zaczęły dojrzewać jego owoce.

2. Marzec bowiem jest przykładem klęski i pogromu, które owocują w następnej fazie. Pierwszym widocznym znakiem owocowania ruchu marcowego była wiadomość, że "marcowcy" znajdują w wielu sprawach wspólny język z Klubami Inteligencji Katolickiej. Oznaczało to przecięcie wszelkich więzów ze zbankrutowaną "ideologią" komunistyczną, wejście na drogę opozycji społecznej w "zewnątrznych ciemnościach" (a raczej jasnościach) pozapartyjnych, uznanie pluralizmu światopoglądowego i politycznego. Tędy wiedzie nie od marca 1968 do obecnej różnorodności i wielokształtności demokratycznego ruchu opozycyjnego. Nie jest naturalnie kwestią przypadku, że najczynniejsza w nim i najbardziej zasłużona grupa KOR-KSS tak dużo zawdzięcza inicjatywie i energii byłych "marcowców".

3. Studencko-inteligencki marzec 1968 rozegrał się w robotniczej ciszy, robotniczy grudzień 1970 spłynął krwią bez wyraźnej reakcji ze strony inteligencji i studentów. Sprzężenie nastąpiło w czerwcu 1976. Byłoby nieuczciwością twierdzić, że posiada ono szeroki zasięg i że odtąd działać będzie automatycznie. Ale kierunek oporu społecznego został wytyczony. Jego cechą najistotniejszą jest: poza partią, przeciw partii. Że ten kierunek, którego prefiguracją był marzec 1968 jako epilog października 1956 i zarazem prolog do obecnego okresu, jest jedynie: sensowny, świadczy drobny przykład sprzed kilku miesięcy. Mam na myśli list Ochaba i towarzyszy. Wolno o nim powiedzieć, że b. góra partyjna urodziła mysz, której prawie nikt (i słusznie) nie zauważył. Tylko społeczeństwo może być wylegarnią reform, nigdy totalitarna monopartia ze swoimi fikcyjnymi "skrzydłami" czy "odłamami". Zaczynają się z tą prawdą stopniowo oswajać czescy "dubczekowcy", przebywszy drogę od różnych form oporu "partyjnego" po sierpień 1968 do ogólnospołecznej Karty 77. Zna ją bardzo dobrze opozycja w ZSRR stojąc na gruncie codziennego, upartego "wydzierania praw" i pozostawiając braciom Miedwiediew rachuby na partyjnych "liberałów", partyjnych "oświeconych technokratów", partyjnych "miękkich", partyjne "gołębie" i jak to się tam jeszcze określa.

4. A skoro tylko społeczeństwo, to ze wszystkimi tendencjami i poglądami jakie w nim choćby w upieniu żyją, co też zdawali się rozumieć "marcowcy". Dwojaką bronią prócz zawodnej i rdzewiejącej broni represji, posiada dziś reżym w stosunku do

opozycji demokratycznej w Polsce. Zrobić cokolwiek jest w jego mocy, by doszło do poróżnienia między grupami (KSS-KOR, KOPCIC, PFN), które działają w obrębie pluralistycznej opozycji. I szerzyć w społeczeństwie metodą "szeptanki" brednię, że wydawanie powielanych pism i książek, organizowanie kursów naukowych, pisanie memoriałów i protestów, obrona robotników, ingerowanie w sprawy wsi, utrzymywanie kontaktów z zagranicą i z polską emigracją polityczną może wywołać z lasu wilka czółgów sowieckich.

5. Przed napisaniem odpowiedzi na tę ankietę przeczytałem raz jeszcze dwa tomy Wydarzeń marcowych, wydane w swoim czasie przez Kulturę. Publikacja tych dwóch tomów była trafną oceną roli marca 1968 w najbliższej historii Polski. I wcale nie przesadnie brzmi dzisiaj słowo "polskie przedwiośnie", użyte z pytańnikiem w tytule drugiego tomu. Więcej - w pytańniku wyczuwa się dzisiaj nutkę nadmiernej ostrożności.

#### MARIA HERCOWICZ

Moja wiedza o wydarzeniach marcowych nie ma u swych źródeł pamięci, z marca bowiem zapamiętałam tylko tyle, że często chodziliśmy z całą szkołą do kina i że działo się coś, co nie wiadomo dlaczego wiązało się jednocześnie z Mickiewiczem, z Michnikiem i ze Szlajferem.

Potem dowiedziałam się więcej. Czytałam ulotki i rezolucje studanckie, prasę z tego okresu i emigracyjne komentarze. Rozmawiałam z ludźmi, którzy brali udział w wydarzeniach lub je pamiętają.

W ten sposób wykonał się dla mnie obraz marca, w którym równie ważne jak aspekty polityczne były pewne zjawiska społeczne czy wręcz obyczajowe.

Ponieważ specjalistami od nastrojów grup społecznych, w których się obracamy jesteśmy wszyscy, spróbuję zająć się konsekwencjami marca dla świadomości studentów i szans podejmowania przez nich szeroko rozumianej działalności opozycyjnej. Wydarzenia marcowe miały szeroki zasięg, burzliwy i spektakularny przebieg. Miały również atmosferę. Niektórzy twierdzą, że była to atmosfera rewizjonistyczna. Ja sądzę, że dla większości była to raczej atmosfera przygody i solidarności.

... Milicja goni kogoś w żeńskim akademiku, brawurowa ucieczka przez okno, pałowanie. Ten ktoś miał przy sobie jakieś ulotki, ale jakie i po co dziś już nikt nie pamięta... Nie mogliśmy wyjść, bo na prawie jeszcze strajkowali, no i Anka przyniosła całą miskę konfitur... Młodsza kadra naukowa solidaryzuje się ze studentami, niektórzy profesorowie również, nawet dziekani.

Milicja bije, ale są i tacy, którzy rozmawiają ze studentami, uspokajają ich, ale i przyznają rację.

Potem zatrzymanie, przesłuchania, procesy. I ostatnie akordy - ktoś próbuje tworzyć tajne piątki, z więzienia przychodzą pierwsze listy i grypsy.

W międzyczasie jeszcze wskazanie palcem winnych (Żyd!) i przekonanie niektórych, że byli manipulowani i oszukiwani. Jeżeli marcowy rewizjonizm w szerokim rozumieniu tego słowa oznaczał wiarę w możliwość dokonania demokratycznych zmian w ramach istniejącego systemu, to z drugiej strony był on również infantylna wręcz wiara, w to, że będzie się rozliczonym z intencji, zrozumiałym, że może dojść do dyskusji. Wiara ta musiała ulec gwałtownemu załamaniu. Po latach małej stabilizacji zostały znowu obnażone reguły działania tego systemu. Reguły jak sądzić, przez marcowe pokolenie niezbyt dostrzegane.

Okazało się, że ambasada radziecka może zajmować stanowisko w sprawie repertuaru polskich teatrów, że działacze partyjni i studenci są bezideowi, że milicja bije, SB istnieje, a prasa kłamie. Okazało się, że można wskrzesić antysemityzm, robić wielkie czystki, wołać karnie do wojska i przeprowadzać fikcyjne procesy. Okazało się, że poza kalumniając w prasie i pobiciem pódła nie istnieje odpowiedź na interpelację Koła Poselskiego Znak. Okazało się, że społeczeństwo jest nieme i nie potrafi stanąć w obronie pokrzywdzonych. I na koniec już nieco później, okazało się, że wojsko polskie może interweniować w Czechosłowacji.

Trudno więc dziwić się, że gdy rozpoczynałam studia, postawy moich rówieśników były już inne niż ich kolegów w marcu. Po prostu byliśmy mądrzejsi o to

wszystko, co w marcu się okazało. Dominowały emilia, polityczność i społeczność. Niechęć do SZSP, partii, administracji uczelni. Liczyła się z pomocą niechęcią do nieprzemyślanej kontestacji, wiarą w możliwość zewnętrznych manipulacji i głębokim przekonaniem, że wszystko, co się z polityką wiąże, jest niemożliwe.

Zmieniła się również sama uczelnia - zlikwidowano resztki autonomii, a troskliwie dobrana kadra już na pewno nie poparłaby nierozsądnych studentów.

Ideowcy byli niepotrzebni, źle widziani i śmieszni. Po prostu:

"Ani trzasnąć kulakiem w blat stołu

Ani zakląć ani w twarz im dać

Zamiast oddać cios pukną się w czoło

Zamiast przekląć cię będą się śmiać."

I w tych warunkach pojawiły się nowe możliwości działania. Powstał KOR, później, po śmierci Staszka Pyjasa, pierwszy SKS w Krakowie. Mimo panującej nastrojów znaleźli się ludzie gotowi podjąć działania i ryzyko. Byli oni świadkami w dużo większym stopniu, niż ci w marcu, zarówno swoich celów jak i warunków, w których przyszło im działać. Stanęli w opozycji nie tylko wobec oficjalnych władz, ale również wobec własnych kolegów. Po wydarzeniach w Krakowie było już jasne, że marzec nie powtórzy się. Po prostu brak chętnych, a także brak potrzeby.

Spontaniczni, nieświadomi w pełni swych celów, podkreślający lojalność wobec socjalizmu studenci marca wstrzasnęli uczelniami całej Polski, dużo bardziej radykalni w swych zamierzeniach, lecz rozsądniejsi i bardziej konkretni w działaniu nie pociągną w tej chwili za sobą mas studenckich, lecz zrobią lub właściwie już zrobili coś ważniejszego. Prowadzą trwałą instytucjonalną działalność, lepiej potrafią rozeznaczyć kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, wyzbyli się również wishfull-thinking dotyczących społeczno-politycznej rzeczywistości.

Nikomu już nie przychodzi do głowy odwoływać się do dobrej woli władz, opancja poszukuje się raczej w prawie, które winno być takie same dla wszystkich a więc dopuszczać do głosu również "niepokornych".

Nasuwać się tu również inne pytania: Jaka rolę odegrał marzec w układzie sił politycznych w Polsce? Czy opozycję demokratyczną łączy z marcem tylko kilka nazwisk, czy zawdzięcza ona marcowi dużo więcej?

Sądzę, że marzec stworzył w pewnej mierze środowisko opozycyjne i stał się dla niego szkołą stawiania politycznych celów i metod skutecznego działania, że zaowocował w rzadkim połączeniu odwagi i realizmu politycznego dzisiejszej opozycji. A więc może jednak z za grobu zwycięstwo?

ZYGMUNT KARLINSKI

### U w a g i   p o   l a t a c h

W wir wypadków marcowych zostałem wciągnięty z przymusu moralnego. Cele grupy enigmatycznie określanej mianem "komandosów", jak i sposób ich realizacji były mi obojętne, a czasami wręcz obce. Byli oni dla mnie "komandosami" nie dlatego, by mieli być rzeczywiście wysłannikami sił wrogich Polsce lub jakichkolwiek innych, jak to próbowała im imputować propaganda, lecz dlatego, że próbowali. Natomiast sprawy, które nurtowały to środowisko oraz szerokie odłamy społeczeństwa były dla komandosów niezauważalne. Byli oni epigonami Października odrzucającymi radykalnie wszystkie oportunisty rewizjonizmu drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Podejmowali przy każdej okazji próbę konfrontacji ideologicznej z partią, sądząc, że w ten sposób uda im się w tę konfrontację wciągnąć coraz to więcej uczestników. Nie chodziło im o zdobycie wpływu na władzę, a tym bardziej o zdobycie władzy, chcieli oni zdynamizować swoje środowisko, a potem przetrwać do końca dzieła Października. Bez własnej winy, ale w skutek logiki sytuacji "komandosów" działających w nieznanym terenie nie mieli wpływu na to,

jak i przez kogo będzie wykorzystana ich działalność. Nie od nich zależało kto ich użyje jako "zajaców". Nie zbierali owoców swojej działalności, gdyż nie wiedzieli, co ma być tym zwycięstwem. Odnosiłem wtedy wrażenie, że dla nich owocem działalności była sama działalność. Wiem, że teza o manipulacji jest drażliwa i bolesna, dlatego też pokrótce ją uzasadnię, aby w ten sposób była łatwiejsza do przyjęcia. Otóż w Polsce, w wyniku działalności ekipy Gomułki oraz na skutek walki między zwolennikami Października a obrońcami istniejącego stanu rzeczy, przy przyjętej przez obie strony zasadzie nie wychodzenia z tą walką poza wysoki aparat partyjny, nastąpiło upolitycznienie aparatu policyjnego. Aparat policyjny nabrał ambicji politycznych. Jest to zjawisko bezprecedensowe w całym wschodnim obozie. Dotychczas aparat policyjny był służą, może siłą wewnętrzną, może zewnętrzną, ale zawsze służą.

Pierwsze starcie między aparatem policyjnym a partią nastąpiło przed IV Zjazdem w 1964 r. Wówczas aparat policyjny do swej rozgrywki próbował wykorzystać "list 34", przygotowując wiec na Uniwersytecie Warszawskim w momencie pobytu Gomułki i Cyrankiewicza w Moskwie, na niespełna 6 miesięcy przed zwołanym na czerwiec zjazdem PZPR. Tak się jakoś złożyło, że do zorganizowania wiecu żadna grupa działająca na UW nie przyznawała się, a osoba, która mnie bezpośrednio powiadomiła o mającym się odbyć nielegalnym wiecu i najaktywniej kolportowała tę wiadomość, w cztery lata później sama przyznała się do współpracy z SB.

Policyjna batalia przedzjazdowa nie udała się. Według ówczesnych plotek głównym sprawcą klęski policji na zjeździe był E. Ochab. Stąd prawdopodobnie cztery lata później miał miejsce tak zmasowany atak na jego osobę.

W roku 1968, już tym razem na 9 miesięcy przed zjazdem, powtórzono scenariusz sprzed czterech lat, z pewnymi modyfikacjami i z bardziej precyzyjną realizacją. Nie sposób było wykorzystać samodzielnej działalności literatów. Wystąpienie literatów mogłoby nastąpić w terminie nie nadającym się do żadnej manipulacji. Dlatego też stworzono "sprawę Dziadów" - aby zbulwersować środowisko literatów. Dla wymuszenia akcji ze strony "komandosów" relegowano ostentacyjnie wbrew wszelkim przepisom A. Michnika i H. Szlajfera. Dla wywołania stanu zagrożenia przeprowadzono 8 marca masakrę studentów na dziedzińcu UW.

Aparat policyjny drogo kazał płacić partii i społeczeństwu polskiemu za swą klęskę w 1964 r. Partia jako siła polityczna kierująca krajem przestała istnieć i do dziś nie istnieje. Liczy się jedynie jej wąski aparat o mafijno-biurokratycznym charakterze bez jakiegokolwiek związku z masami członkowskimi. Kadra policyjna przeszła do aparatu i ten aparat uporządkowała na swoją modłę.

W 1968 r. ponieśliśmy we wszystkich dziedzinach życia społecznego ogromne straty. W kulturze to nie tylko wymierne straty w zakresie dzieł stworzonych, ale jeszcze większe i niewymierne jeśli chodzi o te, które mogły powstać. Pozorowany antysemityzm stawał się często realny i tragiczny w skutkach między innymi przez małą odporność psychiczną i polityczną wielu ludzi pochodzenia żydowskiego, niepotrzebnie podejmowali oni walkę na narzuconej im płaszczyźnie narodowościowej. Przetracono kręgosłup ludziom, którzy weszli w życie zawodowe po 1964, a którzy teraz są kadrami kierowniczą aparatu gospodarczego i wielu przedsiębiorstw. Unikają oni teraz podejmowania jakiegokolwiek decyzji, które mogłyby narazić ich na bezpodstawne zarzuty według marcowego scenariusza. Przetracono kręgosłup i drastycznie obniżono poziom wykształcenia wielu następnym rocznikiem akademickim, które teraz powinny być nosicielami postępu, nowej myśli społecznej i nowych technologii. Przeszczepiono do różnych dziedzin życia społecznego i gospodarczego metody i techniki podejmowania decyzji charakterystyczne dla służb policyjnych. To marzec spowodował, że w Grudniu i po Grudniu ciągle brak programu oraz koncepcji wyjścia z impasu. Jałowość polityki pogruźniowej ma swoją genezę w Marcu.

W 1968 r. wszyscy ponieśli klęskę. Wygrać mogli tylko ci, dla których jedynym celem walki były stanowiska. Przegrał narodowy komunizm, bo już niespełna półrocznym wiecu apartheidu sekretariat warszawskiego KW PZPR rozsyła do organizacji partyjnych alarmujący list, ostrzegając, że pod płaszczykiem walki z syjonizmem zaczyna się niszczyć oddanych im ludzi (a przecież właśnie to KW w tym czasie było sztabem narodowych komunistów). Społeczeństwo w terenie zaczyna swoiście interpretować walkę z syjonizmem, zaczynając zwalczać nie tych, o których chodziło. Aparat policyjny i partyjny zdradza narodowy komunizm, zdradza

hasła kombatanckie, przystępuje do usypiania społeczeństwa. Co prawda niektóre wilki są jeszcze głodne, ale do zjazdu zostaną przywołane do porządku. Przegrany aparat policyjny, bo manipulacja za dużo kosztuje i wymyka się spod kontroli a ponadto stracił swą polityczną tożsamość. Marzec jest sprawcą, w sensie negatywnym, Grudnia i Czerwca, ponieważ poniesiono nieodwracalne straty we wszystkich dziedzinach życia społecznego oraz przez stratę potencjału całego pokolenia 1968 - pokolenia przetrąconych.

Do pozytywów należy zaliczyć: zerwanie wszelkich pępowin Października i lekcje dojrzałości politycznej dla tych, którzy się nie złamali oraz których nie udało się przetracić. Bez tej gorzkiej lekcji nie byłaby dziś możliwa działalność KSS KOR. Społeczeństwo polskie drogo zapłaciło za tę cenną lekcję, ale cóż, nie jesteśmy wybranicami bogów. Wierzę, że zyski z Marca będą większe, jeżeli pokolenie 76 przyswoi sobie wnioski płynące z Marca 68.

LESZEK KOŁAKOWSKI

### Cień marca po 10-ciu latach

Tak zwane wydarzenia marcowe 1968 roku mogłyby się wydawać czystą stratą biorąc pod uwagę rozmiary kulturalnego niszczytelstwa, jakiego dopuściły się rządzące kliki partyjne. Z dzisiejszej perspektywy widoczne jest wszelako, że wydarzenia te były końcem istotnej fazy rozkładu, jakiemu podlega system komunistyczny. Ludzie rządzącego aparatu wyobrażają sobie na ogół, jak się zdaje, że ilekroć można skutecznie użyć pałki lub karabinu dla zlikwidowania jakichś napięć społecznych, sprawa zostaje tym samym zakątniona. Do jakiego stopnia rachuby te są mylne i jak wysoka jest cena, którą trzeba płacić za te pozornie niekosztowne sposoby reakcji - płacić w ciągu dość krótkiego czasu, nie po dziesięcioleciach - jest w tej chwili wyraźnie widoczne.

Marzec był ostatecznym zakończeniem procesu, ciągnącego się od 1956 roku, to znaczy procesu, w którym istniały jeszcze, słabnące i coraz bardziej nieskuteczne, ale wciąż żywe przekonania, że można komunistyczny system rządzenia zregenerować czy naprawić na podstawie jego własnych zasad; stąd sama partia była, choć w stopniu coraz mniejszym, ośrodkiem inicjatyw zmierzających nie tylko do zreperowania rozregulowanej maszyny władzy, ale do jej demokratyzacji w oparciu o założenia ideologiczne komunizmu. W drugiej połowie lat 60-tych inicjatywy te były coraz wtlejsze, a w marcu umarły ze szczeniem. Wewnątrz samej partii pojawiły się grupki próbujące, w obliczu ideologicznej śmierci komunizmu, przestawić się na frazeologię nacjonalistyczną, której wszakże nie były w stanie używać w sposób skuteczny, jako że niełatwo było wymachiwać patriotyczną chorągiewką, a jednocześnie, z konieczności, przemilczać sprawę, która dla istnienia narodu jest kluczowa, mianowicie sprawę narodowej suwerenności. W 1956 roku istniały nadzieje - naturalne z późniejszej perspektywy, lecz zrozumiałe - że w samym aparacie istnieją, mogą rozwinąć się siły zmierzające do stopniowej redukcji opresyjnych i antykulturowych funkcji komunizmu. Nadzieje te skończyły się szybko, widoczne było, że partyjni "liberałowie" nie mają odwagi, ani zdolności, ani ochoty do prowadzenia jakiegokolwiek walki solidarnej w imię jakichkolwiek zasad. Niemniej proces obumierania nadziei na "zdrowe siły" w rządzącej partii trwał dość długo. Mogłoby się здаwać, że jego zakończenie w 1968 roku nie przyniosło partii większych szkód, jako że tak czy ówak cała "ideologiczna" strona życia partyjnego już znacznie wcześniej została zredukowana do nudnego obrzędu, którego nikt na serio nie brał.

W rzeczywistości owo wyrzucenie resztek pozorów panowania ideologicznego stworzyło nowy rozdział w historii anty-totalitarnej walki, chociaż rozdział ten rozpoczął się od pogromu. Obecne formy demokratycznej opozycji wyrosły z tego pogromu i jego, paradoksalnie mówiąc, wyzwolenczej funkcji. W tej chwili opozycja demokratyczna nie udaje bynajmniej, że oni właśnie są "lepszymi komunistami", (którzy chcą odmłodzić zwłoki marksistowsko-leninowskiej ideologii). Opozycja występuje pod hasłami praw ludzkich i swobód obywatelskich, "dobrymi komunistami" są policjanci, strażnicy więzienni, gryzące się wzajem kliki partyjnego aparatu - nie w tym sensie, by ktokolwiek z nich wierzył w prawdziwą doktrynę, lecz w tym

tylko, że są naprawdę zainteresowani w przedłużaniu życia opresyjnego systemu. Powstały więc nowe podmioty polityczne. Partia straciła wszelkie nićki, jakkolwiek już przed dziesięcioma laty były wątki, wiążące ją z autentycznym życiem kulturalnym i ideowym. Wszystko bez wyjątku, co polska kultura może jeszcze wartościowego, mimo cenzuralnych zaścianków, wytwarza, obraca się przeciwko istniejącemu systemowi rządzenia. Nie ma i nie będzie więc komunistycznej literatury, sztuki czy filozofii, może być tylko i musi istnieć zresztą, pema ilość niemot, na zamówienie produkujących partwy papier i żyjących z własnej umysłowej impotencji. Wydawać się mogło już przed wielu laty, że partyjni wodzowie nie rogliby sanych siebie prześcignąć w swojej niezdolności do nawiązywania kontaktu ze społeczeństwem, okazuje się, że można w tej dziedzinie bić coraz to nowe rekordy. Gdyby okrzepienia socjalistyczne uniesione zostało na chwilę przez złośliwego Dżina, partia komunistyczna w Polsce rozpadłaby się bez śladu.

Sytuacja ta, należy przypuszczać, ma nie tylko korzystne strony, lecz rodzi także niebezpieczeństwa. Wewnątrzpartyjna opozycja ideologiczna, dopóki istniała, działała do pewnego stopnia jako amortyzator, który przenosi wstrząsy stwarzane przez nigdy nie rozładowane napięcia społeczne, lecz niejako łagodził te wstrząsy i utrzymywał je na poziomie niewybuchowym. W braku takiego amortyzatora i wobec organicznej niemożliwości jego odtworzenia, napięcia społeczne mogą z większym prawdopodobieństwem przybierać formy wybuchowe, jak to zresztą ostatnie lata udowodniły, tymczasem eksplozywne formy nie są bynajmniej w interesie społecznym, zważywszy przyjazne oko sowieckiej Opatrzności. Opozycja demokratyczna jest rzecz jasna, świadoma tej sytuacji.

Prorocтва co do tego, w jakiej postaci, wedle jakich możliwych scenariuszy i jak długo będzie się ciągnął proces nieodwracalnego rozkładu komunistycznego systemu panowania nie mogłyby być niczym więcej niż jakąś spekulacją. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak długo może trwać organizm, który prawomocność swoją i prawo do istnienia opiera na wierze ideologicznej, skoro wiara ta wyparowała ze społeczeństwem. Dla warunków polskich marzec 1968 roku był ważny przez to, że zakończył ów proces parowania. Od tej chwili maszyna władzy weszła w ślepy zaułek. Ci, którzy są wierni rządzącej partii nie wyłącznie ze strachu lub z potrzeby kariery, dzielą się, jak wszystko wskazuje, na dwie kategorie: "ideologia" jednych daje się streścić w zaleceniu "cicho siedzieć i nie drażnić bestii", pozostali są bezpośrednimi dziedzicami CWR-u. Oto polski komunizm. Oto zasługa narcowych wydarzeń.

ANKA KOWALSKA

Nie mam najmniejszych pasji politycznych ani też niestety - najmniej-  
szych kwalifikacji na historyka. Jestem więc z pewnością niewłaściwym adre-  
sem Waszej ankiety. Mimo, że Was to wyjaśnian, upieracie się, abym w niej  
wzięła udział. Wasza więc, nie moja będzie wina, że tych parę słów, które tu  
z trudem wypowiem, być może rozminie się z tematem.

Ja po prostu o zjswisku, które nazywa się dziś "marzec 68" myślę ze wstrzą-  
tem. Nie potrzebuję wyjaśniać, że nie budził go bici pałkami i wsadzani do  
więzień studenci, ani Jasionica czy Skoninski przemawiający 9 lutego na zebra-  
niu Związku Literatów. To mnie bito pałkami, mnie zamykano, mnie wyrzucono z  
kraju opluwana i bezbronna, a także czułam się jakbym to ja była, ja sznuła  
i pluła - wypinając w dodatku pierś obwieszoną orderami za wszystko, co wie-  
ki temu zrobiłam dla niewdzięcznych Żydów.

Wstydzikam się. Nie wiedziałam, co zrobić, ani jak żyć. Gdyby wówczas  
powstał jakiś komitet obrony - studentów, Żydów, ludzkiego prawa do godności  
po prostu bym do niego wstąpiła. Mogłam jednak tylko wystąpić ze Stowarzysze-  
nia PAK.

Znalazłam się nigdzie. Zdawało mi się, że niemal słychać zewsząd chrzęst  
kamanego społeczeństwa kręgosłupa. Już nie przed torturami czy grozą śmierci  
w stalinowskich katowniach zginął kark europejski naród, "porządny" obywatel,  
mój sąsiad, mój przyjaciel, w sześćdziesiątym ósmym zgiął go przed sforą uja-  
dających psów.



Mówię "w sześćdziesiątym ósmym", bo nie zaczęło się to od marca i niczym nie skończyło. Tuż obok prostowali właśnie plecy i karki Słowacy i Czesi. Jeszcze w 56-tym, mimo czołgów na Węgrzech i czołgów u naszych granic, stać na było na poczucie imponerabiliów i braterstwa, aktywną manifestacją wspólnoty. Jeszcze nasza rozważa nie cuchnęła tchórzostwem. Minęło lat dwanaście - lat już nie knuta, tylko kłamstwa i głupstwa - i oto przyglądaliśmy się "wiośnie czechkiej" tępo i w milczeniu (jak zwykle nie wiedzieć czemu pełni przy tym poczucia wyższości - czerpanej z naszych powstania, czerwców, październików), my, "ci wspaniali Polacy". A gdy ze strachu przed zarazą w Grenadzie poszczuto nas do obrzydliwej awantury domowej pod hasłami najciemniejszymi z ciemnych, "ci wspaniali Polacy" z niepojętą pokorą dali się zanurzyć w kloace.

Z tego, z takiego świnstwa nie można się otrzasać jak z wody. W kilka miesięcy później "ci wspaniali Polacy w swych przydziałowych czołgach" brali udział we wciskaniu knebla w gardła braci Czechów, podczas gdy na Placu św. Wacława płonął Pałac.

Wszystkie cele są świnstwem, jeśli przez świnstwa ma się do nich dochodzić. Nie dziwiłam się strzelaniu do robotników w grudniu 70, dziwiłam się tym, którzy się dziwili strzelaniu. Władza, która jednego roku apeluje do najniższych instynktów społeczeństwa, aby jego moralnym kosztem ratować swój stan posiadania, następnym razem będzie do tego społeczeństwa strzelać. Społeczeństwo na klęczkach stanowi świetny cel. Wychowana w legendzie niezłomnego Polaka śmieczyłam sama siebie. Ilu było takich jak ja? Ilu z nas groziła najstraszniejsza ze wszystkich emigracja wewnętrzna?

Po grudniu karabinów maszynowych przyszedł czerwiec pałek, tragedia groteskowych procesów, dramat nędzy wepchniętej w ślepy zaułek i tam zdobywającej się na krzyk. Powie polityk, ekonomista, historyk, że mieszam różne zjawiska, przyczyny i skutki. Co ma czerwiec 76 do marca 68?

No więc dla mnie ma. Władza cofnęła wprawdzie dekret o zmniejszeniu racji żywności dla społeczeństwa - Wielkiego Niemowy - ale pokładala też nadzieje w jego niemocie i niemocy: w jego zamkniętym sumieniu.

Sądziłam, że jej nadzieje są uzasadnione. Pomyliłyśmy się, władza i ja. We wrześniu przeczytałam Apel Komitetu Obrony Robotników. Ale to już inna historia.

JAN JOZEF LIPSKI

### K i l k a r e f l e k s j i p o 10-ciu l a t a c h

O Marzec można pytać albo jaki był, albo co z tego wynikło. Nie jestem do tego stopnia propagandystą, by interesowała mnie tylko druga grupa pytań - chociaż odpowiedzi na grupę pierwszą z góry wydają mi się banalniesze. Po pewnym namyśle można jednak dorzucić: jak dla kogo! Bo np. w 1950 trudno powiedzieć, że totalizm komunistyczny okaże się antysemitki (już w 1953 bez trudu można było antycypować rok 1968) - kto dopiero w 1968 dostrzegać zaczął pewne filiacje z faszyzmem ten miał wielkie zahamowania we wnioskowaniu. Taki wniosek mogły już nasunąć łagry i praktyki bezpieki. Nawet koncepcja prześladowań za pochodzenie nie była w 1968 sensacją: pamiętam czym groziło kiedyś pochodzenie z ziemiaństwa lub ojciec u Andersa. Mimo to jednak, że dla wielu ludzi zbyt późno przyszło zrozumienie sensu takich sporów, pomijając więc moment zakłócenia, określenie "ideowej" strony 1968 r. w wykonaniu urzędowym wydaje się być proste. Trudniej byłoby z określeniem ideowym ruchu studenckiego: niewątpliwie demokratyczny i wolnościowy nie zdążył się dostatecznie bogato określić.

Wydaje się jednak, że istotniejsze w tej chwili byłoby dokonanie rachunku społecznych strat i zysków po Marcu 1968. Nie potrafię go wykonać, sądzę jednak, że można wskazać jego główne elementy.

Dopiero 1968 rok umożliwił wyklarowanie orientacji opozycyjnej, co dziś ocenia. Na plan pierwszy coraz wyraźniej odtąd wysuwa się przeciwstawienie totalizm-demokracja. Dziwi, że stało się to tak późno, że inne przeciwstawienia

od dawna mylące we Wschodniej Europie, lewica - prawica - maćło rozeznanie w sytuacji. Nie twierdzą, że straciło ono wszelki sens, sądzą jednak, że musi się znaleźć na dalekim miejscu, po ponownym sprecyzowaniu znaczenia. Przede wszystkim przeciwstawienie to przestaje być niebezpieczne intelektualnie jako sposób rozdzielania demokratów, którzy w zakresie spraw najwyższej doniosłości mają cele zbieżne. (Co prawda pojawia się inne niebezpieczeństwo: emocjonalna negacja pewnego ciągu tradycji ciągnących się od XVIII w. i bynajmniej niewartych pogrzebania, rysuje się tendencja, której co prawda daleko do dominacji spychająca wszystkie tradycje lewicowe do totalitarnego worka, sądzą, że społeczne sukcesy frazeologii antylewicowej byłyby poważnym niebezpieczeństwem).

Za sukces i triumf bliskiej mi orientacji z Marca 1968 uważam to, że w ciągu jednego kwadransa wyklarowała się empirycznie postawa antytotalitarna, będąca własnością ogromnej części całego pokolenia. Ewolucje i chwiejność byłyby różne - pałka ORMO-wca przesądziła sprawę aż zbyt prosto i łatwo jak na komplikacja rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Ale w sumie to dobrze, byleby elita intelektualna pokolenia nie poszła na intelektualną łatwiznę. Nie wygrał nurt prezentowany przez publicystów typu Kałola i Gontarza - ani Filipski. Największe sukcesy odniosła frazeologia kombatancka, którą sprytni moszarowcy postanowili związać ze swoimi tendencjami - ale nie wśród młodzieży. Antysemityzm też okazał się mniej chwytliwy, niż można się było obawiać. Dopiero przyszłość jednak pokaże, czy te próby ożywienia najgorszych tradycji lub podkupienia tradycji kultu przeszłości kombatanckiej (a tu trafiono na grunt podatny, bo użytniony krzywdą pokolenia) okażą się zupełnie bez kontynuacji. Wierzę jednak, że gdy przyszłość wyklaruje zupełnie nowe linie podziału - obóz demokracji polskiej nie ukształtuje się przeciw wartościom i tolerancyjnym tradycjom narodowym.

Natomiast ani ludzie czynni w 1968 r., ani outsiderzy nie potrafią dokonać rachunku strat. Dla mnie też obok ludzkich krzywd - pozycję Nr 1 w tym rachunku stanowi klęska na odcinku edukacji narodowej. Szkoła przeżywała degrengoladę. Od jej potraktowania (program minimum) zależą losy narodu. Rok 1968 przyniósł katastrofalne skutki przede wszystkim w szkolnictwie wyższym. Skutki tego będziemy odczuwać i za 100 lat. Ogół społeczeństwa nie orientuje się w stopniu dewastacji. Widać było rozprawę z "rewizjonizmem" i "syjonizmem". Już to byłoby dotkliwie. Nie zauważa się przecież, że przy tej okazji przeorano głównie humanistykę również, kierując się innymi motywami. Przeszkadzali samodzielnie myślący, choćby politycznie neutralni. Nie można powiedzieć, że czystka była stuprocentowa, nie mniej jednak dostateczna, by spowodować klęskę.

Jaki jest bilans? Dziś trudny do ustalenia. Nie ma co się łudzić, że Uniwersytet Latający może być remedium na klęskę edukacji narodowej - wyższej z roku 1968. Jest jednak nadzieja, że takie właśnie zjawiska jak UL, świadczące, że społeczeństwo jest w stanie produkować antytoksyny - przekłamią tendencję do poklebiania się katastrofy. A UL-u nie byłoby, gdyby Marzec nie przygotował nowej mentalności u części przynajmniej intelektualistów.

Na pełną ocenę strat i zysków jeszcze nas dziś nie stać.

JACEK KURON

Ruchy społeczne, wystąpienia studentów i inteligencji, działania władz partyjno-państwowych i szeroko pojętego aparatu władzy - składające się łącznie na zjawisko określane jako wydarzenia marcowe - zaczęły się co najmniej kilka miesięcy wcześniej i trwały znacznie dłużej, niż wskazywałaby ich kalendarzowa nazwa. Najdonioślejszym skutkiem tych wydarzeń są, w moim przekonaniu, niezależne ruchy społeczne, czy jak kto woli, opozycyjne, działające w Polsce obecnie.

Charakterystyczne, że spór o wydarzenia marcowe trwał z większym czy mniejszym nateżeniem do tzw. kampanii konstytucyjnej w początkach 1976 r., tj. do pierwszych wystąpień ruchu stanowiącego bezsprzecznie kontynuację opozycji marcowej. Tante publiczne i prywatne polemiki były po prostu dalszym ciągiem tradycyjnego polskiego sporu o narodowe powstania XIX wieku. Argument, że ruch stu-

dencki 1968 r. nie miał nic wspólnego z irredentą wydawał się o tyle bezprzedmiotowy, że władza potraktowała ten ruch jak bunt i jak bunt go stłumiła.

Najwyraźniej, w porównaniu do XIX wieku zasadniczo obniżył się próg wrażliwości władzy - mówili zwolennicy programu pracy miniorganicznej, i fakty były po ich stronie.

Tymczasem, poczynając od kampanii konstytucyjnej wprowadziliśmy w życie wszystkie wypracowane w studenckim ruchu 1968 roku formy działania (masowe petycje, niezależne komitety, wydawnictwa, wiece i rezolucje) i to na skalę znacznie większą niż wówczas. Władza wprawdzie próbowała tracić cierpliwość, ale dość szybko wracała do równowagi.

Przypuszczam, że dla objaśnienia tych różnic zasadnicze znaczenie posiada społeczne poparcie dla ruchu opozycyjnego. System totalitarny zwrócony jest przeciw całemu społeczeństwu, ale bez zbrojnej interwencji z zewnątrz może on funkcjonować tylko wówczas, gdy nie występuje przeciw społeczeństwu wprost. Atak jak wiadomo, skupia tych, którzy są atakowani i tym samym wywołuje kontratak. Władza totalitarna może wystąpić przeciw wsi, jeśli ma w tym dziele poparcie miasta, i może wystąpić przeciw inteligencji, jeśli ma za sobą przynajmniej część robotników, może wystąpić przeciw jakimś grupom robotników, jeśli ma za sobą inteligencję i inne grupy robotników. Przeciw robotnikom i inteligencji żadna władza wystąpić nie może, a właśnie w pierwszym rządzie te dwie grupy społeczne poparły działalność KOR-u i wszystko, co po nim wystąpiło.

W marcu, kwietniu, maju 1968 roku władza wystąpiła wprost przeciw studentom i inteligencji. Nie powiem, że miała w tym dziele poparcie znacznej części społeczeństwa, ale twierdzę, że propaganda państwowa w tym okresie była na tyle chwytliwa, że bezpośrednio atakowani znaleźli się w izolacji i to na krótki dystans wystarczyło.

Tajemnica skuteczności propagandy marcowej wydaje mi się najważniejszą nauką, jaką z wydarzeń marcowych winniśmy wyprowadzić. Ideologię moczarowców - bo właśnie ich hasła wykrzykiwała w marcu, kwietniu, maju cała prasa - można przedstawić tezach programowych:

Po pierwsze: Jako cel działania i zarazem ideał wychowawczy traktowano ideał "ččřvřřvřř Półaków", programowo zadowolonych z siebie i ze swej historii. Przyczyną na historię Polski miały się przede wszystkim składać tradycje wojenno-wojskowe. Hasło "Polski czystych Polaków" zwrócone jest przeciwko tym wszystkim, których można by uznać za narodowo obcych, a więc w pierwszym rządzie przeciw Żydom, czy ludziom żydowskiego pochodzenia, a także tym, którzy takiej wizji Polski i jej historii się przeciwstawiają, zapewne zresztą właśnie z żydowskiej inspiracji. W tym ujęciu "czysty Polak" to innymi słowami człowiek "myślący po polsku", tj. zgodnie z ideologią obozu moczarowskiego. Jako wroga zewnętrznego i oczywiście odwiecznego - bo taki także jest niezbędny wyznawcom tej ideologii - przedstawiano Niemców, ale nie unikano, zwłaszcza w propagandzie szeptanej, aluzji do Rosjan.

Po drugie: Postulowano jako cel działań i ideał wychowawczy państwo porządku i dyscypliny wzorowane na wojsku i oparte o represję karną. Innymi słowami, każdy winien pełnić przypisaną mu rolę, a nad całością czuwa policja i rząd. Lapidarnie program ten ujmuje znane hasło marcowe: Studenci do skryptów, pisarze do pióra! pozostawiające w domyśle dalszy ciąg: robotnicy do łopaty, chłopci do pługów. Ten punkt programu zwrócony był przeciwko wszelkim nonkonformistom, liberałom, zwolennikom demokracji, przeciwko krytycyzmowi, wątpliwościom, tolerancji - a więc w rezultacie przeciw inteligencji jako grupie społecznej, jej ideałom i roszczeniom społecznym.

Po trzecie: Jako hasło mające wyznaczać program społeczny głoszono egalitarną sprawiedliwość. Problem urządzeń społecznych, które miałyby tę sprawiedliwość realizować nie podejmowano, ograniczając się do ataków na wielkie zarobki i inne przywileje uczonych, artystów, pisarzy a także aferzystów, prywatnej inicjatywy a nawet niektórych dygnitarzy. Myślę, że w związku z hasłem egalitarnej sprawiedliwości należy rozpatrywać przebijającą w ówczesnych publikacjach niechęć czy nawet nienawiść do tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób odróżniają się od ogółu: długowłosych, oberwańców, zbyt eleganckich, ascetów, filozofów, a nawet takich, którzy miast z Orbisem jadać za granicę z własnej inicjatywy zarob-

kując tam pracę fizyczną. Egalitarna sprawiedliwość miała najwyraźniej polegać na trzymaniu przeciętnej, tak w rozmiarach dochodów, jak i w stylu życia.

Nietrudno spostrzec, że nasukiwana tu ideologia wyrasta z tradycji obozu który określa się jako narodowy i przylega ściśle do systemu totalitarnego. Nie interesuje mnie czy Hoczmar i jego komitencjowicze byli tej ideologii wyznawcami. Sądzę zresztą, że tak, ale jest to problem nierozpoznawalny. Twierdzą natomiast że ideologię narodową - mimo rozlicznych odmian - w zasadniczych kwestiach zbliżoną do zaprezentowanej tu, wyznaje znaczna część społeczeństwa polskiego i na tym właśnie polega tajemnica skuteczności marcowej propagandy.

Ideologię narodową totalitaryzmu skłonny jestem traktować jako realizację w sferze zasad ideowych określonego, względnie spójnego systemu postaw, nazwijmy go autorytarnym (osobowość autorytarna Adorno, umysłowość dogmatyczna Rockeacha).

Są w Polsce wymarzone wprost warunki dla kształtowania się takich właśnie postaw i dla realizowania ich w kategoriach ideologii narodowej. Od ponad dwustu lat historia nie szczędzi Polakom tragedii, upokorzeń, udreki, niepewności. W tym klimacie od ponad trzydziestu lat niszczy się w naszym kraju społeczną więź, a wraz z nią inicjatywę i odpowiedzialność. System ubezwłasnowolnia jednostkę, nakazuje jej bezmyślną pokorę, bo tylko w ten sposób człowiek samotny i bezsilny wobec potęgi państwa może zapewnić sobie spokój, a także jakąś tam karierę i dostatek. Ludzie samotni, słabi, upokorzeni łatwo bardzo rekompensują sobie te wszystkie okaleczenia i deformacje identyfikując się z siłą, przemocą, władzą silnej ręki. Rezygnując ze swej słabej, pokornej indywidualności na rzecz grupy, która jest za nich silna i pyszna. Lęk, słabość i upokorzenie najłatwiej przezwyciężyć w agresji: w pogardzie dla obcych, innych, słabych, w żądaniu surowej kary dla wszystkich, którzy naruszają porządek i jedność zbiorowości.

Dodajmy, że im niższa kultura polityczna... a skąd niby ma się brać taka kultura w Polsce współczesnej - tym łatwiej wyobrazić sobie, że współdziałanie społeczne motliwie jest tylko wówczas, gdy jedni rządzą a inni słuchają, tym łatwiej sprawiedliwość społeczną utożsamiać z równością i podobieństwem.

Jestem przekonany, że ideologia narodowa - totalitarna odrodzi się w naszym kraju tak w opozycji jak i w aparacie władzy. Komunizm jako ideologia w Polsce nie istnieje. Za głównego przeciwnika ideowego opozycji demokratycznej uważam więc totalitaryzm narodowców.

## LESŁAW MALESZKA

Nie czuję się wystarczająco kompetentny, by móc odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Brak mi przede wszystkim solidnej wiedzy historycznej, a także ostro zarysowanej panoramy socjologicznej tego okresu. Po wtóre, od rocznika komandosów dzieli mnie jakieś siedem lat różnicy wieku. W tej konkretnej sytuacji to jednak dość dużo.

Wypowiedź moją traktuję więc jako wspomnienie osobiste, nie tyle nawet dotyczące samego Marca (określonego fenomenu najnowszej historii PRL), ile legendy, która narodziła się najpóźniej w pierwszym dniu jego klęski. Dla mojego pokolenia, ludzi urodzonych w chwili rozkwitu stalinizmu, Marzec stanowił inny wymiar historii: nie doświadczenie własne, lecz Mit - rzeczywistość skrytą i niejasną, cichy obiekt kultu prowokujący również (i nie dziwnego) do szyderstwa, przeciwstawianego bezkrytycznym apologiom dojrzewiających entuzjastów.

W marcu obodziłem do jednego z barwowskich techników. W nagrodę za niezłą ocenę zostałem "zianowany" przez panią wychowawczynię do ZMS-u. Byłem akurat przewodniczącym kółka klasowego tej organizacji. Gdzieś 15 marca w mieście doszło do demonstracji. Pamiętam, że diabelnie chciałem wziąć w niej udział i zażądałem tubylicom, których w tym czasie nie uwieziono w internacie. Licho wie - pasja przygody?

Na drugi dzień w szkole był apel. Wielu kolegów wróciło z zakwaszonymi oczami. Na apelu potępiono prowodyrów w ogóle, a tych lokalnych - w szczególności. Dwu uczniów wyrzucono ze szkoły (za zerwanie flagi). Potępić mieliśmy

wzycy - przez powstanie z miejsc w trakcie czytania odpowiedniego pisma Pana Dyrektora. Wtedy, niezupełnie racjonalnie zresztą, nie wstałem. Nie mogłem: prześladowało mnie dziwne wrażenie jakiegoś cholernego brudu, czegoś lepkiego, fałszywego. Towarzysz Wiesław roztoczył w swym przemówieniu obraz godny powieści gangsterskiej: tajemny spisek, ukartowane zamachy, zbrodnicze charaktery w cieniu kontrrewolucyjnego puczu dywersantów. To działało na wyobraźnię. Tylko - diabli wiedzą czemu - jakimś szóstym zmysłem czułem w tym wszystkim po prostu kłamstwo. Skąd mogłem wiedzieć, na czym ono polega?

Zadziałał chyba odruch instyktowny. Nie wstałem. Potem rozejrzałem się przestraszony. Z mojej klasy jeszcze kilka osób nie wstało. Trzy, może cztery.

Apel się skończył. Wróciliśmy do sal lekcyjnych. Miałem głupie uczucie - wtedy bardzo silnie przeżywało się pierwszego kaca. A jeszcze bałem się wychowawcy, patrzącej na nas, siedzących, wzrokiem piorunującym. Nic jednak nie powiedziała. Może nie chciała komplikować sobie taktyki pedagogicznej?

W miesiąc później znalazłem się w technikum krakowskim. Swój fakt przynależności do ZMS-u po prostu przemilczałem. Tak skończyła się moja kariera w tej organizacji. Za to wiele słyszałem od nowych znajomych - o pałkach pod Mickiewiczem, o ulotkach w tramwajach, o sukach wypełnionych studentami... Rodził się Mit.

Studia rozpocząłem w 1971 roku. To zresztą inna bajka". Ale wtedy umiałem już względnie precyzyjnie formułować pytania. Mogłem się o Marcu co nieco dowiedzieć.

Ludzie, z którymi rozmawiałem, mówili niechętnie. I tego właśnie nie rozumiałem. Nie chwytałem istoty ironii, zawartej w ponurych wspomnieniach: pobicie, aresztowanie, zakaz wyjazdów za granicę, uczelnia, rodzice. Dla nich Marzec był końcem szansy na liberalizację, końcem złudzeń, po prostu - Klęską.

Byli nieufni do granic cynizmu. A ja jeszcze wtedy nie wiedziałem, co to zna czy kończyć studia, zostając bez nadziei na pracę przynoszącą satysfakcję, bez perspektyw materialnych, bez szans na asystenturę. Oni musieli wiele zapomnieć, żeby jakoś dopasować się do tego cholernego świata, w który wkraczali pobici i pokorni.

Zgoda - nie oni przegrali Marzec. Nie tylko oni. Przegrała go też partia - jej triumf militarny wywalczony przez dzielnych chłopców z pałkami był wprost proporcjonalny do jej powszechnego bankructwa moralnego. Ale człowiek, pragnący po prostu żyć, nie ma obowiązku by myśleć w ten sposób. Grzebiąc Ideę (wspólną) rozstawał się też z Karierą (osobistą). Jeżeli dopasowywał się jednak do tego świata, to nie poprzez stosowanie reguł fair play, choćby wobec samego siebie. I dziś już wcale mu się nie dziwię.

Takie rozmowy stanowiły jednak połowę Mitu. Jej drugą część tworzyły przejmujące wizje społeczeństwa skarłałego, próba wielkiego rachunku sumienia wychodząca od tych właśnie, których ukształtował Marzec. Dobrze, że nie napisano tu radiografii. Że była to poezja bijąca po twarzy. Poezja Stanisława Barańczaka, konstatającego bezlitośnie "Ci, którzy jedzą grzanki, będą jeść suchary". Poezja Juliana Kornhausera, ofiarowującego ironiczne przesłanie: "Gdy zobaczysz tłum, wracaj szybko do domu".

Tu tworzy się pewna ciągłość myślenia i wartości. Między Marcem i nami - tu i teraz.

Sądzę, że niezależny ruch studencki, rodzący się dynamicznie w ostatnim okresie jest kontynuacją Marca 68. Nie porównuję strategii tych nurtów, myślę raczej o najbardziej fundamentalnych imperatywach: prawdy, demokracji, praworządności, swobód twórczych, i wielu innych. Sprawa ta jest warta odrębnej dyskusji

Trzeba wreszcie powiedzieć coś o tych, którzy z pogromu trafili do więzień i wyszli z nich nie upokorzeni. To znów kawałek biografii osobistej. Kiedy w roku 1976 docierały do nas echa debaty konstytucyjnej, kiedy przechodziliśmy swe pierwsze przesłuchania, wówczas w skąpych informacjach powracały te enigmatyczne nazwiska ze stolicy: Michnik, Kuroń. Szyfr łatwy do rozwiązania - to właśnie legenda Marca, powracająca z popiołów. Ci, którzy nie kapitulowali, którzy mają odwagę walczyć w kraju, gdzie brednia staje się naturą a sens - absurdem.

Potem spotkaliśmy się po raz pierwszy, drugi, rodziły się sympatie, przyjaźnie. Myślimy dziś, a zwłaszcza działamy nieco inaczej niż oni, w 68-mym.

„Ale wątpię, byś byli w stanie zaistnieć i ukształtować swoją pozycję, gdyby ich wtedy nie było.”

ks. STANISŁAW MAŁKOWSKI

### Ciężkie czasy dla gangsterów

„Nie samym chlebem  
człowiek żyje”

K. Wierzyński

Dziesięć lat temu studiowałem socjologię na Wydziale Filozoficznym UW. Lutym i początek marca 1968 roku spędziłem poza Warszawą, nie byłem bezpośrednim uczestnikiem ani świadkiem wydarzeń na dziedzińcu Uniwersytetu, potem dopiero wzięłem udział w nocnym strajku okupacyjnym i spędziłem dwie noce w gmachu pedagogiki, śpiwając na korytarzu lub śpiąc pod stołem - w dobrym towarzystwie (m.in. dr Ireny Nowakowej).

Czym był dla mnie „marzec”? Z jednej strony był ujawnieniem się sił kłamstwa i przemocy, kulminacją zażuch, zgęszczeniem groteski, a z drugiej strony był przypięciem kilku nie nowych myśli, wśród których myśl, że „nie ma chleba bez wolności”, szczególnie utkwiła mi w pamięci. Kwintesencją marca zawiera fraszka „Siła ich” Norwida:

„Ogromne wojska, bitne generały,  
Policje - tajne, widne i dwu-pięciowe -  
Przeciwko komuż tak się pojednały?  
Przeciwko kilku myślom... co nie nowe!...”

Iż wylewane w czasie marcowych nabożeństw w akademickim kościele św. Anny - po wrzuceniu do kościoła granatów z gazem łzawiącym - oczyszczały wzrok. Marzec był dla mnie ostateczną kompromitacją marksizmu jako siły ideowej, natomiast był znakiem siły katolicyzmu i Kościoła, jako oparcia dla wartości ogólnoludzkich. Marcowe pałki pozbawiły w moim odczuciu władzę totalitarną resztek oparcia w kręgach ludzi inteligentnych i uczciwych zarazem. Przeciwnik dobitnie ujawnił swój nihilizm i polityczny cynizm.

O ile gangsterski rodowód nie wyjaśnia bez reszty sukcesów „władzy ludowej” w Polsce, o tyle gangsterskie postępowanie tej władzy odsłaniało stopniowo - wobec różnych ludzi i środowisk - jej rzeczywiste nieludzkie oblicze. Pojęcie „socjalizm z ludzką twarzą” jest w naszych warunkach wewnętrznie sprzeczne. Październik 1956 można uznać za pozorowaną próbę reformy w myśl hasła, że socjalizm to - mimo wszystko - „dobra rzecz”. Marzec 1963 to już początek końca, to przejście władzy na pozycje narodowo-socjalistyczne, to stworzenie przesłanek dla później postulowanej „jedności moralno-politycznej” narodu.

Ciężkie czasy dla gangsterów ukazały konieczność rezygnacji z pozorów. Zdjęto maski. I teraz już wiadomo, że żadna maska nie jest twarzą. Marzec do reszty odsłonił twarz totalitaryzmu. Marzec umożliwił w ten sposób powstanie politycznej opozycji antytalitarnej na zasadzie obrony podstawowych wartości człowieczeństwa i kultury. Prowokacja, jeżeli miała miejsce, obróciła się przeciwko prowokatorom. Marzec ujawnił uderzającą analogię między walką Nowosilcowa z młodzieżą polską a postępowaniem policyjnym wobec studentów. Do rangi symbolu urosła sprawa „Dziadów”. Marcowi pałkarze dobitnie wyrazili swój polityczny program, „że ród człowieczy ma być w więzy kuty, że trofeami ludzkości są knuty”, bo „car jest papież z boskiego ramienia, Pan samowładny wiary i sumienia, I wzywa (...) aby, jak każde imperator raski (...), Przyjawszy nową wiarę i sumienie Wszyscy się zeszli w jedno ugrómadzenie” (Mickiewicz, „Dziady” cz. III, Ustęp). Marzec odnowił aktualność mickiewiczowskich pytań o los „kaskady tyranstwa” - „skoro słońce swobody zabłyśnie I wiatr zachodni ogrzeje te państwa”, o przyszłość poczwarli totalitarnej: „... gdy słońce wolności zaświeci, Jakiż z powłoki tej owad wyleci: Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię, Czy óma wypadnie, brudne nocny plenię?” Marzec nakazuje do reszty zwątpić w wartość wewnętrznych reform totalitaryzmu.

Marcowe decyzje bywały oceniane w kategoriach politycznego wyboru między Wschodem a Zachodem, albo w kategoriach konfliktu kulturowego, odrzucenia wartości obcych, sowieckich. Ponieważ jednak kultura jest wartością ponadpolityczną, zaś człowieczeństwo jest wartością ponadkulturową, a totalitaryzm zagraża kulturze i człowieczeństwu, zatem opozycja antytotalitarna - powstrzymanie się od udziału w kłamstwie i przemocy - jest prostym ludzkim obowiązkiem. Marzec pobudził solidarność społeczną, samoobronę wobec totalitarnej presji i pustki. Bez marca nie byłyby możliwe ani czerwiec 1976 roku, ani obudzenie się samodzielności społecznej, której świadkami lub współtwórcami jesteśmy dzisiaj.

ADAM MICHNIK

R e m i n i s c e n c j e n i e s e n t y m e n t a l n e

Mirkowi Chojeckiemu  
z przyjaźnią

Prawdę rzekłszy - nie lubiłem po wyjściu z więzienia jesienią 1969 r. - powracać wspomnieniami do wypadków marcowych. Robiło to na mnie wrażenie jakiejś ucieczki od rzeczywistości, słyszałem jakiś ton kombatancki, bardziej mi wstrętny od czegokolwiek, bo najbardziej mnie samego degradujący. Przed tematem nie dawało się jednak uciec. Powracał jako temat-mit, temat-fantom, temat-szantaż. Więc - acz zawsze z wewnętrznym oporem - wypowiadałem się kilkakroć o marcu słowem mówionym i pisany. Sprowadzało się to zazwyczaj do kilku banalnych stwierdzeń.

Ruch opozycyjny 68 r. ważny był dla mnie nańde wszystko jako pierwsza eksplozja aktywności społecznej nie inspirowanej - żadną miarą - przez partyjno-państwowe koterie. Dzięki temu moje pokolenie mogło uzyskać ideową tożsamość i stać się mało podatne na manipulatorskie zabiegi elity władzy. Nie jest rzeczą przypadku, że mój przyjaciel Stanisław Barańczak ukuł termin "pokolenia 68", bowiem właśnie ta data jest charakterystyczna dla "pokoleniowego przeżycia". Charakteryzując cechy "pokolenia 68" w literaturze pisze Barańczak o przekonaniu, że "gwarantem wolności jest prawda", że zadaniem jest "obrona autonomii jednostki jej prawa do wolności". Pisze też, że "czyns na nowo aktualnym i żywym stał się ideał demokracji pojmowanej w sensie bardzo szerokim, nie tylko politycznym, jako każdy system polegający na dopuszczeniu do głosu przeciwstawnych poglądów i przekonań".

Zaś Adam Zagajewski, inny wybitny poeta tego pokolenia, napisał w wierszu "Prawda":

"Wstań otwórz drzwi rozwiąż te sznury  
wylącz się z sieci nerwów  
jesteś Jonaszem który trawi wieloryba  
Odmów podania ręki temu człowiekowi  
wyprostuj się osusz tampon języka  
wyjdź z tego kokonu rozgarnij te błony  
zaczepnij najgłębsze warstwy powietrza  
i powoli pamiętajac o regułach składni  
powiedz prawdę do tego służyysz w lewej ręce  
trzymasz miłość a w prawej nienawiść"

Zagajewski znakomicie sformułował prawdę moralną ludzi "marca 68". Tanto doświadczenie unaocznilo nam wszystkim moralną siłę i unaocznilo nam także słabość władzy. To brzmi paradoksalnie, ale przecież właśnie wtedy okazało się, że władza - choć totalitarna i okrutna - nie jest przecież wszechmocna, że może opluwać i więzić, ale nie może już nas duchowo zniewalać i upadać - jeśli postawimy jej moralny opór. Im więcej łgarstw i oszczerstw słyszeliśmy na zebraniach i przez masowe "publikatory", im więcej seansów nienawiści oglądaliśmy w telewizorach i gazetach, tym bardziej oczywiste było, że solidarność i przyjaźń stanowią mur dla tych zabiegów nieprzekraczalny. Można było każdego z nas zniesławić, usunąć z pracy lub uczelni, nawet uwięzić - ale nie podobna było zadnego z nas

skazać na osamotnienie.

Wypadki marcowe - pisałem już o tym kiedyś - były kresem rewizjonizmu. Były atakiem na politykę władz, a nie udziałem wewnątrzpartyjnych koterii. Służna okazała się diagnoza moich przyjaciół, którzy formuły i pola działania szukali poza oficjalnymi instytucjami. Działanie wewnątrzsystemowe - już od kilkunastu lat coraz bardziej iluzoryczne - w 68 roku okazało się wyraźnie nie wystarczającym remedium na sytuację zagrożenia ludzkich wartości. Dlatego też teza, że wystąpienia studentów w marcu 68 były wynikiem superprovokacji wewnątrzpartyjnych grup, zawsze wydawała mi się być efektem mistycznej wiary we wszechmoc biurokratycznych elit władzy. Sądzę, że było odwrotnie, że samodzielny ruch studentów i inteligencji w obronie swobód demokratycznych stał się poglądom władzy i opinii publicznej. Okazało się mianowicie, że ostry konflikt z środowiskami intelektualnymi jest zawsze sygnałem istnienia konfliktu ogólnospołecznego i jego pierwszym widocznym sygnałem. Bowiem epilogiem marca 68 były wypadki grudniowe 1970 roku.

Wydaje się, że są to dość banalne spostrzeżenia. Nawet władza powoli pochyliła się na pojęcie, że prześladowanie demokratycznej opozycji jest stosunkowo mało skutecznym sposobem rozwiązywania kryzysu społecznego. Jest to jeszcze jeden dogmatyczny efekt tarych doświadczeń sprzed dziesięciu lat. Wszelako zdarzają się i inne interpretacje wypadków marcowych.

W "Memoriale" opatrzonym datą 21 grudnia 1976 roku Leszek Moczulski pisze: "Po marazmie, jaki zapanował w społeczeństwie w pierwszej połowie lat 60-tych (gdy załamała się koncepcja tzw. małej stabilizacji), zaczęły powoli narastać nadzieje związane z atrakcyjnością dwu nurtów formujących się w partii: nurtu postulującego przeobrażenia liberalno-demokratyczne oraz nurtu eksponującego wartości narodowe i dorobek tradycji. Dalszym umocnieniem tych nadziei, wprawdzie tylko w części społeczeństwa, były wydarzenia 1968 roku: znaczny odłam narodu uwierzył, że usunięcie obcego ciała - tzw. grupy syjonistycznej - doprowadzi automatycznie do radykalnej poprawy sytuacji. Równocześnie jednak stał się momentem załamania nadziei tego odłamu społeczeństwa, któremu bardziej odpowiadał nurt demo-liberalny".

Powiem szczerze: pogląd powyższy uważam za absurdalny i to niebezpiecznie absurdalny. W tezie o dwóch nurtach: "demoliberalnym" i "eksponującym wartości narodowe i dorobek tradycji" skłonny jestem dopatrywać się osobliwego zbiegu zacierania konturów ówczesnej rzeczywistości. Mówiąc ściślej: fałszowanie jej.

O cóż bowiem szło? Nasilający się systematycznie proces ograniczania popaździernikowego marginesu swobód zbiegł się z ofensywą zamordystyczno-szo-winistyczną koterii w łonie władzy. Ośrodek dyspozycyjny tej koterii - wiązanej z osobą Mieczysława Moczara - mieścił się w MSW. Czy koterię tę można zasadnie określić mianem "nurtu eksponującego wartości narodowe i dorobek tradycji"? Csobiście sądzą, iż istotą tego nurtu było po prostu odwoływanie się do dosyć prymitywnej ksenofobii i przystajanie w patriotyczną frazeologię dążenia do władzy, do omnipotencji policji politycznej, do skrajnej totalizacji życia publicznego. Cóż miało wspólnego z "eksponowaniem wartości narodowych i dorobku tradycji" masakrowanie studentów przez milicję i ORMÓ-wców, konfiskata mickiewiczowskich "Dziadów"? Jakże tą nazwą określić pobicie Stefana Kisielewskiego i publiczne lżenie Pawła Jasienicy, Jerzego Zawieyskiego, Jerzego Andrzejewskiego, Antoniego Słonimskiego czy Leszka Kołakowskiego, bardziej zasłużonych chyba dla kultury i tradycji narodowej niż lansowani w owym czasie Filipki, Wyszynacki, Kur i Gontarz? A może chodzi tu o masowe wycofanie z bibliotek i księgarni dorobku najwybitniejszych pisarzy polskich i jednoczesne reklamowanie załganej, antyakowskiej książki Zbigniewa Załuskiego "Czterdziesty czwarty"? (por. "Stolica" - 21.VII.1968). Dość osobliwe to - wyznaje - pojęcie "wartości narodowych i dorobku tradycji". Wreszcie: czy ktokolwiek - poza ogarniętym antysemitą anakiem kretynem - mógł w 68 r. uwierzyć, że "usunięcie obcego ciała - tzw. grup syjonistycznych - doprowadzi automatycznie do radykalnej poprawy sytuacji"? Taka teza to więcej niż błąd historyczny i polityczny. To błąd moralny.

Opisując wypadki marcowe w kategoriach konfliktu dwóch nurtów wewnątrz partii Moczulski sprowadza szeroki ruch studentów i inteligencji przeciw postępującej totalizacji życia umysłowego do rozgrywek wewnątrzkomunistycznych. Cui bono?



Nie wiem kogo ma Moczulski na myśli, gdy pisze o nurcie "demoliberalnym". Tatpię, by przyznali się do tej nazwy usunięci w owym czasie z najwyższych władz partyjno-państwowych tacy działacze jak: Edward Ochab, Adam Rapacki, Władysław Gomułka czy Jerzy Albrecht, nie sądzę, aby właściwym było określać jako "demoliberalizm" niezgodę na przeróżne wyuczyny dziennikarskich opryszków z "Prawa i Sprawiedliwości", "Stolicy" bądź "Walki Młodych". Na tle tej publicystyki "demoliberalnym" był niemal każdy człowiek.

Gazety były w 1968 r. prawdziwie zajmujące. Pamiętam, jak w więziennej celi "Mokotowa" czytywałem namiętnie te artykuły zatrudnionych w prasie zwolenników nurtu eksponującego wartości narodowe i dorobek tradycji" o moich przyjaciółkach i o sobie samym. Doręczali mi je - życzliwi i uczynni jak zawsze - zwolennicy tegoż nurtu zatrudnieni w biurze śledczym MSW. Przeczytałem w owym czasie cenną wypowiedź Kazimierza Kakola, z której dowiedziałem się, że moi profesorowie i moi przyjaciele są stalinistami i nihilistami narodowymi, zaś dla celów taktycznych okłamują wszystkich mówiąc o swym demokratyzmie i patriotyzmie. (Do dziś uważam, jak długi żywot ma ta teza). Przyniesiono mi również do celi numer "Stolicy" gdzie przeczytałem, że "8 marca doszło na terenie UW i następnie w innych punktach miasta do demonstracji zorganizowanych przez grupę studentów UW i innych osób z tą grupą związanych". "Stolica" cytuje dalej pełen kłamstw artykuł redakcyjny "Trybuny Ludu", wymienia nazwiska "szczególnie aktywnych" i "znanych z prowokacyjnych wystąpień członków grupy", "organizatorów zajęć". "Obok bezpośrednich organizatorów - dorzuca "Stolica" - prasa wskazuje na inspiratorów - tych samych ludzi - którzy ponoszą faktyczną odpowiedzialność za błędy i niepraworządności okresu stalinowskiego. (...) Pragniemy stwierdzić, że zajęcia zostały zainicjowane przez grupę posługującą się obecnie w celu wykorzystania patriotycznych uczuć młodzieży hasłami, które jeszcze niedawno ta sama grupa w publicznych dyskusjach zajadłe zwalczała. "Stolica" od lat występowała przeciwko różnym formom antypolskiej propagandy szerzonej głównie w NRF i innych krajach przez kręgi syjonistyczne oraz ich transmisje" ("Stolica" nr 11/1968r.).

W rok później, na łamach tejże "Stolicy", w "Kronice Warszawy", można było przeczytać, że w marcu 1968 r. "sprowokowana i podburzona przez tzw. komandosów, inspirowanych przez zagraniczne ośrodki dywersyjne, część młodzieży studenckiej wzięła udział w demonstracjach, które częściowo przerodziły się w rozruchy".

Dopiero po wyjściu z więzienia dowiedziałem się, że współautorem obu tych tekstów - przyjąłem je jako kopanie leżących i bezbronnych - był Leszek Moczulski. Przyjąłem w owym czasie zasadę nie polemizowania z tego rodzaju tekstami, ponieważ nie odpowiadał mi ich poziom. Dziś również nie myślę z tym polemizować. Powiem krótko: napisałem w życiu teksty, których dziś żałuję. Dałem temu żalowi publicznie wyraz, przyznając sobie prawo do zmiany poglądów. Przyznają takie prawo każdemu, także Moczulskiemu. Rzecz w tym jednak, że Moczulski nie tylko nigdy swoich opinii na temat ruchu studenckiego w 68 roku nie odwołał, ale niedawno powtórzył je w nieco zmodyfikowanej postaci. Trudno mi o tym myśleć bez zdumienia. Ilość kłamstw i kalumni, które napisano na temat ruchu studenckiego 68 roku na łamach prasy oficjalnej niechaj będzie usprawiedliwieniem mojego lęku przed upowszechnieniem się refleksu tamtych głupstw w środowiskach demokratycznej opozycji. Niechaj usprawiedliwi także powyższe niesentymtalne reminiscencje.

Wypadki 68 roku ujawniły nowe linie podziału, umożliwiły przełamanie starych, nieaktualnych stereotypów. Ten znak nowych czasów odnalazłem w książce Bohdana Cywińskiego "Rodowody niepokornych", gdzie moralny protest przeciw duchowemu zniewoleniu zespolony był z wysiłkiem szukania nowych formuł polskiej myśli demokratycznej.

KRZYSZTOF PÓMIAN

Marzec, grudzień, czerwiec

Wyrzucenie z Uniwersytetu, rok bezrobocia połączonego z zakazem druku, dwa lata pracy w Bibliotece Narodowej, którą wspominał zresztą ze wzruszeniem, dwa

LATO 1978

następne spędzone na domowym zarobkowaniu, aż również prowadzeniu prywatnego seminarium, jednego z najlepszych, jakie kiedykolwiek prowadził, wyjazd do Francji, gdzie, od z górą czterech lat, żyję w stanie ciągłej wczasowości - gdyby nie marzec 1968, byłoby uboższy o te doświadczenia. Nie wiem, czy byłoby mi lepiej czy gorzej. Takie pytania są pozbawione sensu. Wiem tylko, że w mojej osobistej historii ten marzec sprzed dziesięciu lat to data ważna. Wiem nadto, że jest ona równie ważna w wielu osobistych historiach, często o wiele bardziej dramatycznych niż moja, które składają się łącznie na historię inteligencji polskiej. Są to historie różne: lat spędzonych w więzieniu, dla jednych, emigracji, dla drugich, pozbawienia pracy w zawodzie i trwałego zepchnięcia na margines, dla trzecich, milczeń i ustępstw opłacanych wyrzutami sumienia, dla czwartej. Ale wszystkim wspólne jest jedno: ich bieg uległ zawikłanej zmianie dziesięć lat temu.

W dziejach inteligencji polskiej marzec jest jednak datą ważną również z innych powodów. Jako koniec zapoczątkowanego przez październik swoistego współistnienia PZPR z ludźmi kultury. Było to współistnienie pełne konfliktów. Wystarczy przypomnieć likwidację "Po prostu", zamknięcie Klubu "Krzywego koła", "list 34", list otwarty Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego opłacony przez autorów długoletnim więzieniem, zebranie z okazji dziesiątej rocznicy Października, po którym wielu pisarzy wystąpiło z PZPR, a wielu usunięto. Niemniej przeto zachowywano pozory. Kiedy dziś patrzy się na daty wydania niektórych książek, ogarnia zdumienie, że było to możliwe. Marzec zmienił klimat. Nie znaczy to, że wykorzenił złudzenia. Ktokolwiek pamięta nastroje w Warszawie w 1971 roku, ten wie, że złudzenia tylko czekały, by znarmychwstać. To PZPR zdusiła je skutecznie, nie odstępując od zapoczątkowanej w marcu polityki kulturalnej, która trwa do dziś i ulega stałemu zaostrzeniu.

Jako pogrom inteligencji polskiej, jako rozprawa z kulturą polską, jako szczytowe nasilenie urzędowego antysemityzmu, który tyle zła wyrządził naszemu dobremu imieniu, marzec pozostanie na zawsze jedną z najczarniejszych kart w historii panowania PZPR. Ale w dziejach politycznych Polski powojennej marzec jest tylko epizodem. Końcem odsłony w drugim akcie rozpoczęty dwanaście lat wcześniej. Kurtyna po tym akcie zapadła dopiero w grudniu 1970. To był prawdziwy początek nowego okresu. Nie dlatego, że Gierek zastąpił Gomułkę. Ale dlatego, że na scenę weszli ci, którzy od pamiętnego czerwca w Poznaniu nie odgrywali roli w życiu publicznym. Zapewne grudzień był w jakiejś mierze skutkiem marca. A dokładniej: trwającego kilka tygodni strajku wyższych uczelni. Pierwszego strajku od wielu lat. Pierwszego, o którym wszyscy słyszeli. Niemniej jednak, jeśli dziś możemy odpowiadać na ankietę "Biuletynu Informacyjnego", jeśli działy KSS-KOR, jeśli istnieją Studenckie Komitety Solidarności i inne nielegalne zrzeszenia, jeśli rozwija się nauczanie krzewiące prawdę o naszej przeszłości i teraźniejszości, jeśli mnożą się teksty świadczące o odrzuceniu się myśli niepodległej - zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie robotnikom polskim. Bez poświęcenia tych wszystkich, którzy zginęli na ulicach Trójmiasta którzy po dziś dzień płacą cenę odwagi sprzed siedmiu lat, których później po czerwcu 1976, torturowano na milicji, zamykano w więzieniach, skazywano na nędzę - Polska nie byłaby dziś taką, jaką jest. Zasługą różnych odłamów inteligencji pozostaje, że umiały wykorzystać możliwości działania, jakie się przed nimi otworzyły.

I tu wracamy do marca widzianego z perspektywy dziesięciu lat, z perspektywą, która ukazuje jego nieprzewidywane pozytywne skutki. Dla całego pokolenia młodej inteligencji ówczesne wydarzenia stały się bowiem doświadczeniem wyznaczającym, w wielu przypadkach, postawy zajmowane dziś. Doświadczeniem, które wpisywało się w różne życiorysy i różne rodowody ideowe. Jednych wychował "rewizjonizm", innych Kluby Inteligencji Katolickiej, trzecich, najliczniejszych zapewne - domy rodzinne. Dziś dawne różnice zacierają się. Ich miejsce zajmują nowe. Pozorom jedności tworzonym przez PZPR przeciwstawia się autentyczna różnorodność.

Marzec był klęską wszelkich prób zmiany od wewnątrz narzuconego Polsce systemu politycznego. Klęską "rewizjonistów" i klęską koła "Znak". Klęską wszystkich, którzy - każdy w swej dziedzinie - usiłowali coś zmienić na lepsze, przestrzegając reguł dyktowanych przez PZPR. Grudzień i czerwiec nadały tej klęsce

nowe znaczenie. Sprawki, że nie okazała się daremna. Albowiem liczniejsi niż kiedykolwiek w Polsce powojennej są dziś ci, którzy nie chcą przystać na życie z zamkniętymi ustami, spętanymi rękami, wypranym mózgiem.

#### ALEKSANDER SMOLAR

W Marcu wystąpiły na scenie publicznej dwa ruchy: ruch protestu i ruch odnowy. Oba były wyrazem poszukiwań przez grupy społeczne, których aspiracje reprezentowały, nowej tożsamości, nowego miejsca w państwie i społeczeństwie. Oba wpłynęły w poważnym stopniu na historię Polski ostatnich dziesięciu lat i będą zapewne współkształtowały jej przyszłość.

Ruch protestu był ruchem studentów i pewnych grup inteligencji. Wystąpili oni przeciwko niszczeniu kultury narodowej, przeciwko panoszeniu się kłamstwa, przeciwko bezprawiu. Ruch ten był wynikiem upadku mitów, którymi żywiły się różne grupy inteligencji, uzasadniających ich odsunięcie się od życia publicznego czy też zaangażowanie po stronie władzy komunistycznej: mitu wyzwolenia, które przyjdzie z zewnątrz, mitu "to się musi kiedyś rozwalić", mitu nieuchronnej humanizacji komunizmu, mitu "to jest nasza władza narodowa". Wiadomo było od czego odwróciła się inteligencja w 1968 roku, przeciwko czemu protestowała. Nie było jeszcze wówczas dokładnie wiadomo ku czemu się zwróciła.

Przez pojęcie ruch odnowy rozumiem taki ruch, który dąży do regeneracji komunizmu. Ruch odnowy, który wystąpił w 1968 r. - nazwijmy go narodo-komunistycznym - wiązany był powszechnie z nazwiskiem generała Moczara. Był to drugi z kolei ruch odnowy. Pierwszy - rewizjonistyczny - ruch części aparatu władzy i inteligencji komunistycznej stawiał na "powrót do źródeł" doktryny i idealizowanej praktyki. Cel ten miał zostać osiągnięty poprzez wewnętrzne przekształcenia, demokratyzację partii. Rewizjonizm zrodził się ze świadomości kryzysu systemu komunistycznego w wydaniu stalinowskim i z wiary w możliwość stworzenia innych jego wydań. Próba przeszczepienia komunizmowi ludzkiej twarzy zakończyła się niepowodzeniem.

Narodo-komunistyczny ruch odnowy był reakcją średniego i niższego aparatu władzy na rozpowszechnioną świadomość kryzysu systemu komunistycznego tout court kryzysu jego ideologii i praktyki. O ile rewizjonistyczny ruch odnowy akceptował w zasadzie pierwotne przesłanie doktryny uprawomocniającej nowy ustrój i dążył do zmian w systemie sprawowania władzy i organizacji społeczeństwa, o tyle ruch odnowy narodo-komunistycznej akceptował istniejący system dążąc zarazem do znalezienia nowej zasady jego uprawomocnienia. Historyczna kreatywność tego ruchu polegała na odważnym sięgnięciu do doświadczeń czarnego totalitaryzmu w poszukiwaniu mitologii, która dostarczyłaby legitymacji dla czerwonego systemu o równie totalnych ambicjach.

Marzec ujawnia też pewne cechy nowej politycznej tożsamości inteligencji, która szuka nowego dla niej miejsca na mapie społecznej. Inteligencja nie lęka się już, że może spełniać rolę powiernika przeznaczenia - odczytywać tajemnice przyszłości z mapy kreślonej przez diament i histamat. Przestaje się też lękać, że może na nią wpływać występując w roli doradcy oświeconego komunistycznego księcia. Rok 1968 rozpoczął proces przewartościowania, który doprowadził do przewartościowania, że właściwym adresatem dla inteligencji jest społeczeństwo i że tylko z jego działaniami można wiązać nadzieje na lepszą przyszłość.

Zdawało się, że w Marcu zatiumfował ruch narodo-komunistycznej odnowy. Zdumiewająco szybko opanował swoje naturalne środowisko - aparat władzy. Można też sądzić, że zdobył on poparcie części społeczeństwa pragnącego zmian. Ale wkrótce ujawniły się nieprzekraczalne granice rozwoju tego ruchu. Pełna synteza czerwieni z czernią okazała się niemożliwa. Cóż to za idea narodowa, która z gorą rezygnuje ze zwracania się przeciwko podstawowym źródłom zagrożenia dla narodowej osobowości. Również sama logika funkcjonowania państwa komunistycznego, prowadząca do stałego odradzania się konfliktów, uniemożliwia skuteczne integrowanie społeczeństwa za pomocą ideologii narodowej. Nie musiało być ani Grudnia, ani Czerwca, nie muszą się one powtórzyć, ale ich możliwość zakodowana jest w genetyce ustroju.

W Marcu inteligencja przegrała. Cisza po masakrze grudniowej zdawała się świadczyć o pogodzeniu się z klęską. Historia ostatnich lat każe zmienić tę oce-

nę. Ruch protestu odizolowanej od społeczeństwa inteligencji przekształcił się dzisiaj w mnogość inicjatyw społecznych, których celem jest, wydaje się, narzucenie władzy pewnej kontroli społecznej, oraz tworzenie form życia zbiorowego niezależnego od państwa i w ten sposób zapoczątkowanie procesu przekształcania miału społecznego w społeczeństwo obywateli.

Dzisiejszy ruch opozycji demokratycznej pozwala lepiej zrozumieć i docenić Marzec. Ale ocena Marca być powinna również funkcją losów drugiego ruchu, którego istnienie on ujawnił. Ma on - podobnie jak i opozycja demokratyczna - ograniczone możliwości rozwoju w warunkach zależności od Związku Radzieckiego. Ale pokusa zamazania czarną farbą grzechów pokalanego poczucia i niegodziwego życia nie raz jeszcze będzie zapewne dawała o sobie znać. I nie można wykluczyć że próby te będą okresowo cieszyły się pewnym zrozumieniem w społeczeństwie, tak głęboko zranionym w swoim poczuciu godności narodowej.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

### K o n s e k w e n c j e   M a r c a   1 9 6 8

Wydarzenia marcowe roku 1968 stanowią fakt historyczny bardzo złożony. Ich bezpośrednie przyczyny mają luźny związek ze skutkami, ich przebieg należy do zamkniętej, a może nawet zapomnianej przez naród przeszłości, natomiast konsekwencje są trwałe i w życiu Polski obecne.

Przyczyny wydarzeń marcowych nie są jasne i myślę, że pozostaną nie wyjaśnione jeszcze przez dłuższy czas. Można w tej materii snuć rozmaite domysły i będzie to nawet pożyteczne z punktu widzenia badań nad historią najnowszą, ale dziś nie przyniesie zadowalających rezultatów. Natomiast skutki tych wydarzeń są w znacznym stopniu znane. Zmieniły się stosunki w Polsce, powstała nowa jakość życia publicznego. Dlatego wydaje się, że rozumniejsza jest dyskusja o konsekwencjach, a nie o źródłach i bezpośrednich przyczynach tamtych wypadków.

Dziś można powiedzieć bez obawy popełnienia błędów, że intencje młodzieży akademickiej, przyświecające przed dziesięciu laty studentom Warszawy i innych miast, nie miały żadnego związku z tym wszystkim, co potem nastąpiło. Można zaryzykować pogląd, że gdyby wówczas do niepokojów studenckich nie doszło - byłibyśmy świadkami innych wydarzeń, które w swoich konsekwencjach doprowadziłyby do przełomu, zwanego Marcem '68. Sądzę bowiem, że przełom taki był nieunikniony, bez względu na takie czy inne nastroje młodzieży akademickiej, środowisk intelektualnych i mas pracujących. Był nieunikniony jako rezultat długotrwałych przeobrażeń społecznych, a wybuch wojny na Bliskim Wschodzie w roku 1967, spór o mickiewiczowskie "Dziady", wreszcie wypadki na wyższych uczelniach - były to tylko incydenty, wykorzystane jako pretekst dla dokonania przemian.

Z tego względu nie podzielam poglądu jakoby skutki wydarzeń marcowych wymierzone były wyłącznie przeciwko Polakom pochodzenia żydowskiego, a całej przemianie politycznej miał przyświecać tylko program antysemicki. Ten program, rzecz jasna, funkcjonował dość powszechnie, lecz nie stanowił ostatecznego celu był co najwyżej narzędziem, metodą postępowania, która miała urzeczywistnić nowy model stosunków społecznych w kraju.

Nie podobna dyskutować rozsądnie o marcu 68 bez wiedzy o całych dziejach powojennych. Polska Ludowa powstawała w latach 1944-45 na nieautentycznej bazie społecznej, jako rezultat zmagani militarnych w tej części kontynentu i ważny element powojennej konstrukcji Europy, proklamowanej w Jałcie. Dla zwycięskiego Związku Radzieckiego, który panował nad dużą częścią terytorium podbitych Niemiec - taki kształt ustrojowy państwa polskiego był, jak się wydaje, nieodzowną koniecznością polityczną i wojskową. Stalin nie brał zatem pod uwagę ani tradycji historycznych narodu polskiego, ani jego aspiracji, ani też poglądów olbrzymiej większości Polaków ówczesnych. Jakikolwiek wywody, które biorą początek z przekonania, że w latach 1944-45 panowała w Polsce sytuacja rewolucyjna, są pozbawione podstaw i służą reżyserowaniu historii ex post.

Lecz lata miały i sytuacja zmieniała się bardzo poważnie. Procesy u-

przemysłowienia, migracja ze wsi do miast, awans cywilizacyjny mas chłopskich, kształtowanie się nowej inteligencji, głównie o wykształceniu technicznym - wszystko to spowodowało w okresie późniejszym, już w czasach Władysława Gomułki po roku 1956, tworzenie się nowej jakościowo sytuacji, a mianowicie zaczęła powstawać autentyczna i dość silna baza społeczna dla elity władzy. Rzecz w tym, że była to baza społeczna bardzo odległa od ideałów, wynikających z doktryny komunizmu.

Okres stalinizmu położył fundamenty cywilizacyjne pod przyszłą strukturę państwa. Jednakże okres ten trwał krótko, a realizowany był głównie przez kadre przedwojennych komunistów, wychowanych w świecie, który należał wprawdzie do przeszłości, pozostawił jednak w umysłach ludzi swoje niezniszczalne piętno. Nie ulega kwestii, że ówczesna kadra kierownicza Polski pozostawała intelektualnie w sferze ideałów rewolucyjnych, wywodzących się z głębokiego przeżycia marksizmu dziewiętnastowiecznego oraz heroicznego okresu rewolucji proletariackiej w wieku XX. Ludzie z ekipy Bieruta i Bermana, nawet jeśli nie byli wykształceni, wynieśli z lat poprzednich jakieś kwantum wiedzy teoretycznej na temat naukowego socjalizmu, można więc było uważać ich za komunistów z wyboru, przeżyli bowiem czas, kiedy ten wybór stanowił kwestię swobodnej decyzji, często nacechowanej osobistym ryzykiem. Była to więc ekipa na pewno ideowa. Kiedy dopuszczała się występków, a nawet zbrodni - towarzyszyło jej przekonanie, że są to nieuchronne koszty rozwoju dziejowego. Wszystkie czyny tej ekipy miały wówczas dla niej samej usprawiedliwienie głęboko ideowe, były to mianowicie próby zbawienia Polaków wbrew ich woli, lecz przecież w imię jedynie słusznej, naukowej teorii, w imię tego monopolu na dziejową prawdę, która zawsze z fanatyków idei czyni istoty odrażające, ale też w jakimś sensie tragiczne. Ówczesna elita władzy działała bez realnego oparcia w masach społecznych, czyniąc wysiłki, by różnymi gestami zjednać sobie wielko-przemysłowa, tworzącą się żywiołowo klasę robotniczą. Ludziom tym towarzyszyło zaperne przekonanie, że jest to stan przejściowy, ponieważ komunizm zostanie niebawem zbudowany, a wówczas naród przyzna rację komunistycznym przywódcom, których zarazie nie potrafi jeszcze ocenić i docenić, gdyż nie dorasta do wielkości rewolucyjnych ideałów.

Tak więc wszystkie ówczesne działania władzy, zdemaskowane potem jako "błędy i wypaczenia okresu stalinowskiego" odbywały się w atmosferze autentycznej walki, przy czym elita zdawała się nie dostrzegać, że "król jest nagi", że system, który dopuszcza się tak niemoralnych metod sam jest głęboko niemoralny. Ludzie, którzy wtedy kierowali Polską byli odpowiedzialni za zbrodnie systemu, ale przyświecało im chyba przekonanie o dziejowej misji, dla realizacji której wszystkie środki są dobre i usprawiedliwione. Elita władzy składała się w olbrzymiej większości z wypróbowanych komunistów. O pozycji tych ludzi decydował staż rewolucyjny oraz zasługi z przeszłości, atakże wierność dla Stalina, wodza wszystkich prawomyślnych rewolucjonistów świata.

Wśród tej kadry wielu było ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy z różnych i skomplikowanych przyczyn historycznych już na wiele lat przed wojną związali się z ruchem komunistycznym. Nie ulega kwestii, że w szczególnej polskiej sytuacji Stalin prowadził dość zawiłą grę, w której komuniści pochodzenia żydowskiego obsadzani byli w rolach nie tyle eksponowanych, by nieustannie rzucać się w oczy, ale dostatecznie ważnych, aby podtrzymywać niebezpieczne skrzywienia polskiego nacjonalizmu.

Po roku 1956 i ponownym objęciu władzy przez ekipę Gomułki sytuacja zmieniła się znacznie. Nie jestem skłonny przypisywać tego faktu osobie samego przywódcy, choć na pewno nie jest to bez znaczenia. Myślę jednak, że pewne procesy zostały już wcześniej zapoczątkowane, bezpośrednio po wojnie, aby w czasach Gomułki rozwijać się dalej, z coraz większym przyśpieszeniem.

Jest rzeczą zdumiewającą, że po dziś dzień żaden socjolog nie dokonał głębszej analizy przeobrażeń społecznych w Polsce powojennej. Problem ten czeka na swoją monografię. Myślę jednak, że nawet bez wszechstronnych badań można postawić diagnozę, iż w rezultacie rozkwitu scentralizowanej biurokracji - mamy w Polsce do czynienia ze społeczeństwem zdominowanym przez drobnomieszczaństwo. Chłop, który został wyrzuty z ziemi, albo tę ziemię porzucił - w pogoni za awansem cywilizacyjnym przychodzi do miasta, gdzie w ciągu niedługiego czasu staje się drob-

romieszczańcinem, zdyscyplinowanym, małym kółkiem w wielkim mechanizmie biurokracji, robotnik, który awansuje na brygadziście, kierownika, albo drańdika związkowego czy partyjnego - szybko staje się również kółkiem tej wielkiej maszyny. Awans oświatowy, którego zasięgu często nie potrafimy ocenić i docenić, powoduje, że powstaje armia jednostronnie i połowicznie wykształconych fachowców, oderwanych od swojej rodzinnej warstwy, których marzeniem jest szybki awans cywilizacyjny i materialny. Dodajmy tu dla pełniejszego obrazu, brak normalnego rozwoju społecznego Polski w wieku XIX-tym, obskurantyzm doświadczeń klerykalnych na koniec zaś zbyt krótką i niedoskonałą praktykę demokracji między wojnami - a będziemy mieli klasyczny nieśmiały wizerunek drobnomieszczańca.

Warstwy drobnomieszczańskie zawdzięczają swój awans materialny i cywilizacyjny rewolucji przemysłowej, która realizowała się w Polsce pod kierunkiem i z inspiracji komunistów. Ale warstwy te do komunistów nie żywią ani sympatii, ani zaufania, ani tym bardziej nie czują się wobec nich dłużne. Przeciwnie! Ten system, w którym drobnomieszczańcin stanowi niejako sól ziemi, w którym na jego drobnomieszczańskich barkach wspiera się cały rozbudowany gmach biurokracji - uniemożliwia mu równocześnie realny udział w rządzeniu, a tym samym utrudnia procesy pomnażania dóbr, które stanowią rację bytu całej tej warstwy społecznej. Na szczytach hierarchii państwowej i partyjnej znajdują się wciąż, od roku 1944, działacze komunistyczni, ulegający - zdaniem drobnomieszczaństwa - doktrynerskim urojeniom, które w swych praktycznych konsekwencjach wymierzone są w interesy nowej, dynamicznej warstwy społecznej.

Już na początku lat sześćdziesiątych pojawiła się w Polsce silna i liczna armia ludzi, zajmujących niższe i średnie szczeble w hierarchii władzy, której przyświecały ideały wczesnego społeczeństwa konsumentów. Ludzie ci, rozczarowani, czy raczej obojętni wobec wszelkiej ideologii, którzy w pierwszym nieraz pokoleniu mogli z pełnych wygód materialnych korzystać i pomnażać w ograniczonym stopniu swoją osobistą własność - czuli zagrożenie ze strony doktryny, nade wszystko zaś nie chcieli akceptować spetryfikowanych od lat struktur władzy. Ta społeczność naworyszów socjalizmu opanowana była coraz silniejszym pragnieniem posiadania nie tylko wciąż nowych przedmiotów, ale także udziału we władzy. Dyktatura komunistów była tu przeszkodą nie do pokonania. Powstał dramatyczny konflikt pomiędzy centralnym aparatem władzy, który nie cieszył się poparciem mas, a drobnomieszczaństwem, które nie bez pewnej racji uważało, iż rozwój kraju i umocnienie władzy jest w olbrzymim stopniu jego zasługą, a jednak korzyści z tej zasługi płynące są nader ograniczone. Procesy te, jak zwykle w ruchach masowych, nie były ani w pełni uświadomione, ani też artykułowane wprost. Nie ulega jednak wątpliwości, że już na długo przed marcem roku 68-go doszły do głosu tendencje, które nie tylko nie miały nic wspólnego z tradycjami i ideałami komunizmu, ale wręcz stanowiły ich zaprzeczenie. Doktrynerstwo ekonomiczne Gomułki i cała jego polityka stawała się coraz większym balastem dla krystalizującego się społeczeństwa drobnych konsumentów. Był to ciasny gorset, który nie pozwalał oddychać nowej, dynamicznej warstwie.

Hasła, w imię których zdławiono protesty demokratycznych studentów i środowisk intelektualnych po marcu 68-go roku, miały charakter jednoznacznie sprzeczny z zasadami komunistycznymi. Slogan "literaci do pióra - studenci do nauki" dobitnie ukazuje ten korporacyjny model myślenia, tak typowy dla każdej społecznej prawicy. Nacjonalistyczna i antysemitcka propaganda, podłana dla kokietrii tu i ówdzie pikantnym sosem antyradzieckim - też miała swoją wyraźną wymowę.

Konflikt na Bliskim Wschodzie był tu niezwykle pomocny, pozwalał bowiem na przeprowadzenie strukturalnych przeobrażeń w Polsce w zgodzie i harmonii z wytycznymi radzieckiej polityki globalnej. Wykorzystanie tej okoliczności i wybór właściwego politycznego momentu świadczą o wielkiej elastyczności i rozsądku tych, którzy podjęli wówczas ryzyko tak niebezpiecznych, w gruncie rzeczy, działań. Bowiem z pewnej perspektywy czasu okazało się dowodnie, że ówczesne wydarzenia zmierzały do eliminacji z życia politycznego w Polsce starej kadry komunistów, cieszącej się zaufaniem kierownictwa radzieckiego.

Doszły wtedy do głosu wszystkie obskurantkie uprzedzenia i mity drobnomieszczaństwa. W gruncie rzeczy kwestią dominującą był nienawistny atak na inteligencję. Jest to typowe dla wszystkich ruchów prawicowych i bardzo nietypowe w obozie lewicy społecznej, w tym również wśród komunistów. Tam, gdzie naprawdę

Żywe są koncepcje komunistyczne - nie ma ruyy o walce z ludzkim intelektem. Autentyczni komuniści, którzy wychowali się na Marksie i Leninie nigdy właściwie nie wyobrażali sobie przebudowy świata bez intelektualistów albo wbrew intelektualistom. W tej mierze również Stalin starał się - z całą swoją mistrzowską ołudą - dochować wierności pryncypiom doktryny.

Wojna z inteligencją jako warstwą społeczną, a także z inteligencją jako sposobem widzenia, wartościowania i osądzania rzeczywistości - jest świętą wojdrobno mieszczańskiej prawicy. Bo nic tak nie obraża drobno mieszczaństwa w jego i czuciu własnej wartości jak intelekt i nic go tak nie paraliżuje w działaniu jak krytycyzm, wahania i wątpliwości inteligenta.

Można przypuszczać, bez obawy pomyłki, że dla komunistów polskich lata 1945-1970 były okresem moralnie ciężkim. Waliła się w gruzy cała ich społeczna i polityczna koncepcja. Pod sztandarami ich partii, którą stworzyli przed laty i w czele której kierowali przemianami w kraju przez ćwierć wieku - doszły do głóelementy, dla których wszystko co pachniało ideologią komunizmu było w grunciu rzeczy nienawistne. Oczywiście, ci starzy działacze byli osamotnieni i bezbronni. Komunizm nie miał w Polsce głębokiego poparcia mas robotniczych i chłopsk a zwyrodnienie systemu w dobie stalinizmu skompromitowały go także w tych kręgach inteligencji, które zaraz po wojnie przyjęły komunistyczną władzę z sympatią a nawet entuzjazmem.

Ataki drobno mieszczaństwa na komunistów znalazły pewne ograniczone poparcie w masach, które nie miały ochoty nawet palcem kiwnąć w obronie skompromitowan stanu rzeczy. Wytworzyła się więc sytuacja paradoksalna, jak to zwykle bywa w momentach gwałtownych przełomów. Tendencje prawicowe starły się z antydemokratycznym reżymem. Nie byłoby w tym jeszcze nic szczególnego i dramatycznego, gdyby nie fakt, że prawica zaatakowała tych, którzy przez całe lata w sferze tradycyjnie historycznej, a także frazeologii politycznej - reprezentowali społeczna lewicę. Autentyczna lewica, to znaczy demokratyczne i ożywione ideałami socjalizmu młodzi i młodzieży akademickiej i intelektualistów, została wystawiona na ciosy z obu stron. Masy obserwowały konflikt z obojętnością, która wydaje się zrozumiała, a nawet usprawiedliwiona. Masy odnosiły się nieufnie do ideologów prawicy, ale nie żyły żadnej sympatii dla haseł socjalistycznych, głoszonych przez studentów i pisarzy, ponieważ socjalizm w jedynej znanej dotychczas narodowi wersji nie mógł liczyć na poparcie. W żadnym zaś razie nie mogli na to poparcie liczyć liderzy partyjni starej daty, którzy tak wiele nieszczęść sprowadzili na społeczeństwo w przeszłości stalinowskiej, a za czasów Gomułki wykazali kompletną nieudolność i ignorancję.

Tak więc walka przed marcem, w marcu i po marcu toczyła się bez udziału mas albo przy nikłym ich udziale, przy czym więcej szans na uzyskanie poparcia mieli ci, którzy szermowali hasłami prawicy. Trzeba tu podkreślić z całym naciskiem, że był to plan wieloletnich praktyk PZPR. Przez cały okres Polski Ludowej realizowano programy mniej lub bardziej totalitarne, używając przy tym całego arsenału ideologii i frazeologii lewicy. Nie można się dziwić, że społeczeństwo w swej obrzynie masie wniosło z tych praktyk przekonanie, że każda bez wyjątku lewica oznacza totalizm, pogardę dla jednostki, nieograniczoną władzę państwa nad obywatelami, obłudę propagandy, a także niedostatek materialny, bałagan i indolencję w rządzeniu życiem publicznym oraz - co równie istotne - nagradzanie bezmyślności i oportunistów.

Ruch studentów i intelektualistów w obronie autentycznych wartości lewicy został w 1968 roku złamany. Ruch ten, w kategoriach historycznego obiektywizmu przyspieszył procesy umocnienia się w Polsce nowej, dynamicznej warstwy konsumentów, ukształtowanej w wyniku powojennych przeobrażeń ekonomicznych i społecznych. Koncepcja komunistyczna, wywodząca się od Marksa i Lenina poniosła wtedy klęskę. Komuniści, w olbrzymiej większości, zostali asumięci. Ich miejsce zajęli zupełnie nowi ludzie, których związki z klasą robotniczą były - praktycznie biorąc - znikome, ludzie wywodzący się głównie z chłopstwa, od chłopstwa jednak świadomie - z własnej woli - odizolowani. Reprezentowali oni interesy warstwy konsumentów dla których ideologia stanowiła decorum, niekiedy nawet uciążliwe, a także nie z reguły pozbawione wszelkich podstaw teoretycznych. Ludziom tym przyswiecał wzór społeczeństwa korporacyjnego, bardzo wyraźnie sferarchizowanego, gdzie poszczególne kręgi są od siebie wzajemnie izolowane, a przystajliwość między war-

want niezwykle utrudniona, wzor społeczeństwa poddanego silnej, scentralizowanej władzy, karmicznego frazesem nacjonalistycznym, wychowywanego w nieufności dla wartości duchowych i intelektualnych, w kulcie przedmiotów, dóbr konsumpcyjnych i technicznej wygody. Dla narodu, który od dawna cierpią na chroniczne cywilizacyjne niedostatki był to nawet program dość atrakcyjny.

W późniejszym okresie jego realizacja postępowała naprzód w imponującym tempie, głównie dzięki kredytowi i zakrojonej na szeroką skalę polityce inwestycyjnej. Trudno ocenić, czy komuniści, którzy pozostali w aparacie władzy byli tym zachwyceni, faktem jest jednak, że uczestniczyli w zdyscyplinowaniu w realizowaniu wielu postulatów drobnomieszczaństwa. Gdyby nie załamanie się tej koncepcji po roku 1974 - marzenia nowej warstwy zostałyby zapewne po jakimś czasie urzeczywistnione. Wielka recesja światowa oraz błędy biurokracji gospodarczej i politycznej sprawiły, że powstała znowu dramatyczna sytuacja, zaczęły mnożyć się napięcia i pogłębiać procesy frustracji.

Z grubsza można to tak ująć w porządku chronologicznym. W połowie lat sześćdziesiątych drobnomieszczaństwo było pełne buntu i poczucia krzywdy, jego gniew zwracał się przeciw inteligencji i przeciw ówczesnej komunistycznej elicie władzy. W końcu lat sześćdziesiątych udało mu się, wykorzystując sprzyjające układy na świecie i w bloku wschodnim, brutalnie rozprawić się z inteligencją i przeźrzeć w aparacie władzy kadre komunistów. W następnych latach budował swój błyskotliwy sukces materialny i cywilizacyjny, rujnując z wolna życie duchowe narodu, wzmacniając biurokrację, w której odgrywa rolę decydującą, eliminując masy pracujące od jakiegokolwiek wpływu na bieg wydarzeń w kraju. Następnie, po roku 1974, poczuł się znów oszukany i zawiedziony, ponieważ nowy kurs nie sprawdził się. To wszystko, co jeszcze kilka lat temu napawało tę warstwę szczera radością a mianowicie pomnażanie dóbr konsumpcyjnych, obecnie topnieje w oczach. Drobnomieszczaństwo nie pojmuje, że sam tu zawinił, ponieważ umacniając swoją bazę, jaką jest scentralizowana i wszechobecna biurokracja, osłabia w ten sposób produkcyjne siły narodu i sprawia, że wysiłek społeczny staje się jałowy. Jednakże nie należy oczekiwać od drobnomieszczaństwa głębszej refleksji moralnej, politycznej czy historycznej. Kieruje się on zawsze urojeniami, fobiami i egoizmem drobnego ciułacza. W tym sensie jest i pozostanie najbardziej zaciekle i nieprzejednanym wrogiem każdej społecznej lewicy, liberalnej, socjaldemokratycznej, a także komunistycznej. I w tym sensie zawsze ulegać będzie chętnie hasłom prawicowym, bez względu na ich barwę i charakter. Jego klerykalizm czy też jego pseudokomunizm nie mają tu żadnego realnego znaczenia. Idzie mu wyłącznie o jedno - o umocnienie totalnej biurokracji, bo tylko ona w polskiej strukturze własności jest jego jedyną ojczyzną.

#### MAREK TURBACZ

Nie czuję się kompetentny, aby podjąć się próby oceny historycznej. Marzec 68 wciąż czeka na dogłębne opracowanie, uwzględniające przebieg walk frakcyjnych i kampanii antysemitkiej oraz historię ruchu "komandosów". Chciałbym przede wszystkim powiedzieć, co 68 rok znaczył dla mnie.

Nie brałem żadnego udziału w wydarzeniach marcowych. Nie interesowałem się wówczas polityką i nie rozumiałem jej. Byłem studentem, ale nigdy w życiu nie poddawałem się zbiorowym odruchom. Byłem biernym widzem demonstracji i wydziałowych wydarzeń. Jednak marzec 68 był pierwszym z czynników, które przemieniły mą świadomość - sprawiły, że po ośmiu latach zadebiutowałem opozycyjnym tekstem politologicznym.

Rodzice moi pochodzą z przedwojennej inteligencji. Ich poglądy polityczne określiłbym jako umiarkowanie endeckie. W czasie wojny należeli do AK. Myślę, że atmosfera, w jakiej się chowałem, była dość typowa dla polskiej katolickiej inteligencji pochodzenia ziemiańskiego. Dlatego chcę o niej szerzej opowiedzieć.

Najsilniejszą treścią "polityczną", wpajaną mi od wczesnego dzieciństwa, były wspomnienia z czasów wojny, z Powstania. (Resentyment w stosunku do Niemców jest jedynym, który mi pozostał). O obecnej sytuacji - o stalinizmie, re-



wyjątkowej dominacji - nie było mowy. Rodzice musieli bać się, że dziecko wyjada się - w szkole czy gdzie indziej.

Rodzice moi nie rozumieli polityki - jej mechanizmów i znaczenia. Słyszałem wielokroć, że polityka jest rzeczą brudną, że politycy walczą tylko o swoje interesy. Słowo "polityka" w każdym kontekście miało znaczenie pejoratywne. (Matka moja pochwała zasadniczo KOR, ale w pewnym momencie stwierdziła krytycznie, że czuje, iż na dnie w tym tkwi polityka). Ten stosunek do polityki jest bardzo typowy dla Polaków.

J.J. Szczepański uznał dzieła Conrada za pewien symbol pokolenia akowców. Wydaje się to bardzo trafne. W swoich powieściach Conrad pokazywał najpiękniejsze wzorce i najdramatyczniejsze konflikty moralne w sytuacjach nadzwyczajnych, krytycznych, odległych od codziennego życia - takich, jaką była dla tego pokolenia wojna. Ale jednocześnie Conrad nie znał się na polityce - dziedzinie, gdzie moralność ma tak zasadniczy związek z życiem społecznym. Bernard Russell pisał o nim: "Poza miłością do Anglii i nienawiścią do Rosji polityka nie obchodziła go zbyt wiele".

W przekazanej mi wizji rzeczywistości nie było miejsca na walkę, na zaangażowanie. Rzeczywistość była niezmienna i nie zmiennalna. Oczywiście była ona oceniana negatywnie, była wroga, ale nie wyniosłem z domu żadnej głębszej wiedzy o niej - o jej historii i mechanizmach. Najbardziej wrył mi się w pamięć ostry podział na partyjnych i bezpartyjnych - złych i lepszych. (Od stereotypu tego uwolniłem się dopiero w pracy, gdzie znalazłem przyjaciół wśród członków partii)

Wiedzę o polityce nabywałem już po ukończeniu studiów - gdy zetknąłem się z ksiązkami paryskiej Kultury, a przede wszystkim z Catem-Mackiewiczem. Z pewną przesadą można powiedzieć, że "Komandosi" chowali się na Marksie, a ja chowałem się na Cacie. Dotąd jestem zafascynowany jego inteligencją, odwagą intelektualną i indywidualizmem myślenia.

Uczono mnie niechęci do Rosjan. Uczono mnie, że nie warto sięgać po rosyjską książkę. To prawda, że jesteśmy tu zalewani tandetą, ale ta niechęć rozciągała się na całość rosyjskiej kultury - z Dostojewskim włącznie. (Conrad też nienawidził Rosji i Rosjan. Nie uznawał rosyjskiej literatury.) Czytałem mnóstwo w młodości, ale dopiero pod koniec studiów sięgnąłem po rosyjską literaturę i poezję - i zafascynowała mnie.

Rzeczą naprawdę obrzydliwą, którą próbowano mi wpoić w domu, był antysemityzm. Ten kulturalny, nie pochwalający pogromów, polegający na niechęci i pogardzie - na mówieniu "uś" na dźwięk żydowskiego nazwiska. Polski antysemityzm kojarzy nam się przede wszystkim z bojówkarzami Piaseckiego czy z marcowymi "hulawejbinami". Ale endecja to nie tylko faszyci z falangi, ale również ci wszyscy liberalni i humanitarni intelektualiści, którzy nigdy nie sięgnęli po pałkę, ale którzy dobrze pamiętają, kto jest Żydem, i pozostaną bierni w czasie pogromów. I oni także są poniekąd odpowiedzialni za śmierć Narutowicza, za żydowskie ławki, za pacyfikację Ukrainy i wysadzenie w powietrze cerkwi.

Poza resentymentami, których musiałem się pozbyć, wyniosłem przecież z domu patriotyzm, zrozumienie dla wartości, jaką stanowi naród. Wyniosłem również kult walki o wartości, zawarte przede wszystkim w tradycji akowskiej, a w jakimś stopniu i w tradycji powstań przeciwko Rosji.

Gdy czyta się to, co dziś piszą byli rewizjoniści, uderza fakt, że rozumują oni przede wszystkim w kategoriach społeczeństwa - nie narodu. Wartości polityczne, w imię których przede wszystkim występują, to prawa człowieka, demokracja, wolność, suwerenność państwa. (Różni ich to zasadniczo np. od Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.) W żadnym przypadku nie zarzucam im braku patriotyzmu, ale ich patriotyzm jest czymś prywatnym, słabo rzutującym na sposób myślenia. Ja sam zresztą rozumiem tymi samymi kategoriami, co niegdysiejsi rewizjoniści - też nie sięgam do wartości "narodu". Ale uważam - na podstawie obserwacji i znanych mi badań socjologicznych - że w Polsce ruch polityczny czy społeczny, który chce zdobyć szerokie poparcie i poruszyć naród, musi odwoływać się do patriotyzmu, a nie tylko do pragnienia wolności i demokracji.

Jeśli za symbol pokolenia akowców uznaję dzieła Conrada, to za symbol rewizjonistów uznaję "Płomienie" - dzieje Michała Kaniowskiego, który, obcy tradycji i wartościom narodowym, walczy wraz z narodowolcami przeciwko caratowi - w imię wolności i sprawiedliwości społecznej, przeciwko despotyzmowi.

Marzec 68 był dla mnie ogromnym szokowaniem - tak jak dla przeważającej części studentów. Do tego czasu nie orientowałem się, co się dzieje w polityce. Nie słyszałem prawie nic o wystąpieniu Kuronia i Modzelewskiego, o wystąpieniu Kołakowskiego w dziesiątą rocznicę Października, o narastającym fermentie. Dopiero wydarzenia związane ze zdjęciem Działów zaczęły do mnie docierać.

Pierwszy raz dotarł do mnie system, w którym żyłem - i to w swej najbrutalniejszej postaci. Bezsilność społeczeństwa - studentów, zakłamanie władz i prasy, przemoc i brutalność policji, przemoc systemu, który mógł każdego z nas usunąć ze studiów, uwięzić, posłać na dwa lata do wojska.

Po raz pierwszy w mojej świadomości objawiła się cała ta "swołocz": ci z telewizji i gazet - faszyci z zamiłowaniem i najemnicy, jakimi dysponuje każdy system policyjny - i ci w mundurach, i bez, bijący z upodobaniem dziewczęta - ci sami, co potem torturowali robotników.

Aby zbuntować się przeciw systemowi, trzeba naprawdę wiedzieć o jego istnieniu. Dopiero w marcu się o nim dowiedziałem. A jednocześnie Marzec pierwszy ukazał mi postawę czynną, możliwość walki przeciwko temu systemowi - to nic, że tym razem przegranej. Najaktywniejszy element na moim wydziale stanowili wówczas studenci pochodzenia żydowskiego. Nawet nie znając się na polityce czułem, że środowisko to jest zwarte, orientujące się co się dzieje i o co walczy. Budziło to szacunek i sympatię do nich, obnażało najlepiej miłą atmosferę, w której mnie wychowywano - sprzeczność między negacją systemu i tym, co wyrażał kult Powstania, a biernością i beznadziejnością. Antysemityzm w drastycznej formie przychodził z drugiej strony barykady. Dla mnie nie stanowiło to specjalnego dylematu, ponieważ antysemityzm nigdy się we mnie nie przyjął. Pamiętam jednak kolegę z endeckiej rodziny. Szedł właśnie na strajk okupacyjny. Pytał mnie z przejęciem, czy wiem, kto kręci tym wszystkim - Żydzi oczywiście. Wyciągają kasztany z ognia naszymi rękami.

Myślę, że dla przeważającej części studentów Marzec miał takie znaczenie jak dla mnie. Oni też nic nie wiedzieli. Protestowali w imię solidarności studenckiej, w ramach poczucia wspólnoty, na wieść o rozpędzeniu pierwszego wiecu, o pobitych kolegach, o rzekomych wypadkach śmiertelnych (plotka chytrze rozpущona przez SB). Dla nich też Marzec był pierwszym uczciwym zetknięciem się z polityką i z sowieckim komunizmem. Marzec ukształtował jakoś świadomość mego pokolenia. Jeśli nawet bardzo niewielu z mych rówieśników włączyło się w ruch opozycyjny, to dzięki Marcowi część z nich nie poprze nigdy tego systemu, będzie go zawsze uważała za wrogi. Znam kombatanów marcowych demonstracji, którzy później zostali bierni, ale do których można zawsze pójść z prośbą o przechowanie czegoś lub doręczenie czegoś komuś.

W roku 68 wykształciła się kadra "zawodowych" opozycjonistów, która postawiła w życiu na walkę z tym systemem i odgrywa obecnie znaczną rolę w opozycji. Miał Lenin rację, że trzon ruchu oporu muszą stanowić "zawodowcy". (Jeśli nawet obecnie znów spadnie napięcie ruchu opozycyjnego, jeśli np. obumrą SKS-y, to pozostaną po nich jednostki, które już nigdy potulnie nie włączą się w ramy systemu).

W literaturze traktuje się często Marzec jako wielką przegraną. We wspomnieniach emigrantów spotyka się poczucie klęski. Ale na wojnie pożyteczne bywają i przegrane bitwy.

JAN WALC

"Urodzony w niewoli, okuty w powiciu  
Ja jedną tylko taką miałem wiosnę w życiu."

Czym jest dla mnie Marzec? Wszystkim. Całe moje dorosłe życie jest z Marca, zarówno podmiotowo jak i przedmiotowo. Marzec ukształtował moją świadomość i Marzec spowodował, że nigdzie nie chciano dać mi pracy. Jego rola jest jednak, jak mi się wydaje, doniosła i w szerszym porządku: ujawnił on dziesiątkom tysięcy ludzi, szczególnie młodych, ale przecież nie tylko, prawdziwe oblicze wła-

czy, będącej w strukturalnym konflikcie ze społeczeństwem. Pokazał, że interesy rządzących i rządzonych są zupełnie sprzeczne, że wszystkie głoszone przez propagandę slogany są absurdalną fikcją, że obywatelowi władza odmawia wszelkich praw obywatelskich i będzie on miał ich tyle, ile sobie wywalczy. Ukazanie przez władzę swojego prawdziwego oblicza ułatwiło i przyspieszyło proces dojrzenia świadomości społecznej, spowodowało polaryzację stanowisk, uzmysłowiło rządzącym konieczność integracji w obronie własnych interesów. Słowem - Marzec pozwolił polskiej inteligencji otrząsnąć się z obiekcji utrudniających podjęcie działań wiodących ku odzyskaniu suwerenności.

## ROMAN WOJCIECHOWSKI

Są ludzie, nawet wśród aktywnych, ideowych, konsekwentnie wiernych zasadom demokracji i sprawiedliwości, którzy z pewnym zażenowaniem poddają analizie krytycznej rewolucję marcową. Uważam takie postawy nie tylko za niesłuszne, ale wręcz szkodliwe społecznie. W moim odczuciu, okres w historii Polski określany jako Marzec był rewolucją, która zapoczątkowała proces przewartościowań, zarówno w sferze ideologii jak i strategii walki z systemem totalitarnym. Nie tyle chodzi mi o spektakularną część tzw. wydarzeń marcowych, co o poprzedzający ją i następujący po niej ferment umysłowy, który wykształcił dość sktyalizowany ruch opozycyjny o zupełnie nowych jakościowo wartościach, nieznanych w powojennej Polsce.

Czerwiec i Październik 1956 r. były buntem przeciw wielkorządom a nie przeciw systemowi. Po prostu jednorazowym, bezprogramowym wybuchem rozpacz, zbliżonym w swej swej strukturze, motywacjach i skutkach do XVII- czy XVIII-wiecznych buntów chłopskich. Efekty społeczne takich działań mogły być jedynie doraźne i krótkotrwałe. Pogląd taki zdaje się potwierdzać następujące po Październiku dziesięciolecie. Autentyczna aktywność samorządowa społeczeństwa została wyniszczona do stanu całkowitej atrofii, mimo, że metody stosowane przez władze partyjno-policyjne były mniej brutalne po Październiku niż po Marcu.

Charakterystyczne, że Październik zakończył się niewątpliwym - d o r a ż n y m - zwycięstwem buntowników (samorządy robotnicze, ustąpienie najbardziej skompromitowanych notabli partyjnych, dekomunizacja części gospodarstw chłopskich etc. o tyle Marzec - pozorną - d o r a ż n ą - klęską. Dlatego pozorną, bo to właśnie po tym rozłuczonym policyjnymi pałkami Marcu zaczął się proces integracji i samobrony społecznej, którego ukoronowaniem było powstanie KOR-u. Nie jest to przypadek.

Raczej często ludzie oceniający rewolucję marcową skupiają swą uwagę na tym, kto, jakie grupy społeczne lub frakcje elity władzy usiłowały ukierunkować zewnętrzną, teatralną, uliczną funkcję rewolucji. Ocenia się zbuntowanych przeciw reżimowi jako naiwną „, nie potrafiące myśleć kategoriami polityków i ideologów, ofiary machiavelskiego spisku policyjno-partyjnego. Dość powszechne są twierdzenia, że wszystko to, co działo się na uczelniach i ulicach miast Polski w marcu 1968 r. było zaplanowane i sterowane przez cwanych, bezwzględnych, złych władzy polityków z kierownictwa nowej klasy. Że pozbawieni kierownictwa manifestanci pozwalali sobą manipulować takim lub innym centralom nie związanym z ruchem demokratycznym. Być może. Nie potrafię powiedzieć, czy lub w jakim stopniu, wiecie uliczne i manifestacje zostały sprowokowane przez policję, tym bardziej, że nie uczestniczyłem w nich (manifestacjach) osobiście, ponieważ w tym czasie (od wielu lat) sie działem w więzieniu. W każdym razie na pewno nie przedstawiciele reżimu doprowadzili do powstania sytuacji rewolucyjnej, do rozbudzenia w społeczeństwie pragnień i ambicji kontrolowania działalności władzy i określania kierunku rozwoju kraju. Bezideowi liderzy nowej klasy mogli co najwyżej urwać dla siebie - kosztownych pohratymców - ochłap z kryzysowej sytuacji, nie przez nich jednak wytworzonej. Ruch był bowiem na pewno autentyczny, ideowy, społecznie potrzebny i akceptowany i na dłuższą metę bezbłądny, celowy, co potwierdziło ostatecznie dziesięciolecie.

Jakkolwiek nie usiłuję deprecjonować wazności spektakularnej części rewolucji, niemniej uważam ją za drugoplanową funkcję całego procesu przekształceń,

przewartościowań i przeobrażeń społecznych postaw. Były czy nie były uliczne manifestacje studentów wynikiem prowokacji, faktem niepodważalnym jest, że lewica polska po raz pierwszy od 1947 r. stała się siłą zdolną kształtować postawy społeczne oraz oddziaływać na postępowanie władz PRL. I to właśnie jest niezaprzeczalną zasługą rewolucji marcowej - nie "wydarzeń marcowych", lecz kilkuletniego procesu, którego jedynie zewnętrzną formą była publiczna manifestacja i zaprzęgnięcia społecznej wobec totalitarnych rządów partii.

Czuje się w obowiązku podać tu definicję lewicy według mojego rozumienia tego pojęcia. Gwałtownie odrzucam tytułarne, przypisane komunistom przez historię prawo do miana lewicy. Mam na myśli komunistów, którzy zdobyli władzę. Lewicą według moich kryteriów jest każdy ruch społeczny, którego działalność wymierzona jest przeciw niesprawiedliwości, niepraworządności, dyktaturze, bezkarności władzy - partii, junty, jednostki. Bez względu na tytuły, nazwy, orientacje programowe ruchów czy organizacji formalnych. W takim właśnie rozumieniu użyłem powyżej słowa "lewica" dla określenia ruchu, który wykształciła i zintegrowała rewolucja marcowa.

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że obecny ruch opozycyjny w Polsce jest zarówno lewicowy - w swej podstawowej najbardziej znaczącej masie - jak i to, że jest on bezpośrednią, ciągłą i trwałą kontynuacją Marca.

#### WIKTOR WOROSZYLSKI

Myślę, że Polska pomarcowa jest gorsza i smutniejsza od przedmarcowej. Gorsze są uniwersytety, czasopisma, teatry, wydawnictwa, radio i telewizja, cała zinstytucjonalizowana sfera kultury. Nie ma Leszka Kołakowskiego na katedrze UW, neurochirurg profesor Jerzy Szapiro nie operuje w Łodzi, twórca "Dialogu" Adam Tarn i żarliwy poeta Arnold Słucki zmarli na obczyźnie (zaś wiersze Słuckiego nadal obłożone są w kraju zakazem), setki, a może tysiące młodych zdolnych matematyków, fizyków i biologów szukają szczęścia za granicą, nie ma STS-u, kronika filmowa jest nie do oglądania, panującym modelem popularnego pisma jest prymitywny obrazkowy "Relax" i pornograficzne "Perspektywy", teatr za teatrem przejmują ludożercy Filipski i Gontarz, "ethos inteligencki" jest wyszydzony, a większość społeczeństwa orientuje się na lansowany wzorzec koftuna, cwaniaka, konsumenta najbardziej paskiej "rozrywki kulturalnej". Wzrosła brutalność i bezkarność policji, zaostrzył się reżym więzienny, bije w oczy niesprawiedliwość społeczna, korupcja i nepotyzm. Pod akompaniament patriotycznych frazesów przyspieszeniu uległ proces sowietyzacji kraju. Marzec był dla Polski wielkim nieszcześciem, był, wolno sądzić, nieszczęściem zaplanowanym i sprowokowanym.

Shczęściem w nieszczęściu stał się opór studentów i literatów, w marcu złamanym, odrodził się nieco później i zainicjował nowe wątki niezależnej kultury w sytuacji coraz pełniejszego zniewolenia zaczął tworzyć nowe obszary wolności, co zaś okaże się historycznie trwałą - skutki marcowego nieszczęścia czy skutki oporu -

ANDRZEJ SZCZYPORSKI

Dysydenci i rzeczywistość<sup>x</sup>

Nikt nie zrobił w ostatnich latach takiej kariery w życiu umysłowym Europy i Ameryki jak dysydenci. Jest w tej karierze coś z mody, a zatem rys niepokojący ponieważ stosunek do komunizmu jeszcze przez długie lata pozostanie centralnym problemem współczesności.

Termin "dysydent" odmieniany jest w prasie Zachodu bardzo często, a każda sprawa staje się przez to mniej jasna, gdyż sformułowania są uproszczone. Zachodnie dostrzegając różnic pomiędzy różnymi dysydentami, ich genealogia jest mu w zasadzie obojętna, a zatem polityczna perspektywa problemu okazuje się czasem zwodna.

Upowszechnił się pogląd, że dysydent jest to człowiek, który występuje przeciw komunizmowi, należąc do społeczeństwa podległego komunistycznej władzy państwowej. Pozornie jest w tym jakaś prawda, ale tylko częściowa, a prawdy częściowa nieraz okazywały się w polityce gorsze od jawnego fałszu.

Należy zatem precyzyjnie określać charakter każdego dysydyntyzmu, ponieważ jeden dysydyntyzm w ogóle nie istnieje. Nie znaczy to wcale, że są dysydenci lepsi lub gorsi. Znaczy to po prostu, że bywają różni i różnią się między sobą znacznie.

Nie wprowadza takiego nieporządku do myśli politycznej jak wieloznaczność słów. Jedną z charakterystycznych cech doktryny komunizmu jest zniszczenie zastanego porządku semantycznego, próba opanowania języka i przeobrażenia go w taki sposób, by w ramach tradycyjnego słownictwa wyrażał treści, nieskiedy sprzeczne z normami istniejącej tradycji umysłowej.

Komunizm posługuje się na przykład pewnymi określeniami, które są starsze od jego doktryny - jak wolność, demokracja, równość, godność, jednostka itp.

W umysłowej kulturze świata zachodniego, do której przez stulecia należały takie kraje jak Polska, Czechy czy Węgry, pojęcia takie oznaczają konkretne wartości i fakty społeczne, zakorzenione w świadomości zbiorowej. Komunizm dokonuje tu semantycznych zabiegów, by w ten sposób - przy pomocy języka narodowego - wytworzyć inne, niż przez tradycję akceptowane, zasady i koncepcje.

Stąd powstają takie określenia jak np. "prawdziwa wolność", która ma stanowić opozycję do wolności bez przymiotnika, jak "demokracja socjalistyczna", która ma oznaczać demokrację, gdy natomiast demokracja jako taka ma uchodzić za jej zaprzeczenie, jak termin "godność człowieka pracy" co ma zapewne stanowić wariant zastępczy dla terminu "godność ludzka", jak wreszcie częste powoływanie się na "ludzkość" przy dość starannym unikaniu terminu "człowiek" lub "jednostka ludzka". Stąd także przywiązywanie olbrzymiej wagi do sformułowań na pozór jednoznacznych, które okazują się - w myśl wykładni doktryny - wręcz antynomiczne, jak np. "socjalizm humanistyczny" oraz "humanizm socjalistyczny".

Z tych właśnie względów uściślenia dotyczące dysydyntów wydają się konieczne. W przeciwnym razie ten poważny ruch marałego i intelektualnego sprzeciwu pozostanie jakąś zbitką pojęciową, magmą trudną do rozszyfrowania.

Łaciński źródłosłów terminu "dysydent" trafnie oddaje status polityczny ludzi określanych tym mianem, wywodzi się bowiem od czasownika "dissidere", co znaczy "siedzieć po przeciwnej stronie", a także "nie zgadzać się". Jednak w sensie nowożytnej tradycji językowej Europy i Ameryki - dysydent jest to odszczepieniec, heretyk, odstępcza od dogmatów kościoła panującego. W takim znaczeniu nie wszyscy dysydenci wschodnioeuropejscy są dysydentami, bo nie wszyscy oni odstąpili od dogmatów komunistycznej wiary, nie wszyscy też są uważani przez władze za heretyków. Żeby zdradzić, trzeba być najpierw wiernym. Otóż bardzo wiele ludzi, których Zachód nazywa dziś dysydentami - nigdy nie wyznawało zasad ideologii komunistycznej

x/ Artykuł napisany dla czasopisma "Europa - Archiv" w RFN i opublikowany w tym czasopiśmie 25, III, 1978 roku. Drukujemy tekst z pewnymi skrótami według wersji niemieckiej.

Są także ludzie, którzy uważają siebie za autentycznych komunistów, przypisując zdradę doktryny tym, którzy ją w praktyce systemu urzeczywistniają.

Różnice są zatem znamienne. Historycznie zaś sięgają głęboko, do okrasu poprzedzającego wybuch drugiej wojny światowej.

Należy więc po pierwsze pamiętać o banalnym fakcie, że mimo to są w Polsce, Czechosłowacji czy Węgrzech dysydenci, którzy do dziś uważają się za komunistów, są tacy, którzy kiedyś byli komunistami, są wreszcie inni, którzy nigdy komunistami nie byli. Genealogia polityczna nie jest tu sprawą białą, ponieważ waż na jej tle pewne działania i enuncjacje nabierają innych znaczeń, stanowią - także dla władz - niebagatelny oręż taktyczny. Dochodzi tu też często do głosu - naturalna reakcja psychologiczna, która przybiera inne formy wobec dawnych, tradycyjnych przeciwników, inne wobec tych, których uważa się za odszczepieńców, jeszcze inne w stosunku do oponentów reżymu, powołujących się na ortodoksyjną wierność doktrynie. W obozie zaś samych dysydentów - genealogia ta często determinuje sposób zachowań, nade wszystko zaś programy działania.

Trzeba wielkiej przenikliwości i znajomości rzeczy, aby dokładnie kwestie te wyjaśnić. Na pewno jednak nie należy traktować dysydenctwu jako zjawiska jednolitego, ponieważ prowadzi to do zabójczych politycznie uproszczeń.

Wiele rozgardiaszu wprowadziły do tej polityki rozmaite dzieła, głównie zaś książki Koestlera, Deutschera, po części także Kołakowskiego i Lucasa. Dyskusje na temat rewizjonizmu i dogmatyzmu w ruchu komunistycznym także ogromnie skomplikowały sprawę. Można tu wspomnieć polemiki trockistowskie, ostatnio zaś nacjonalizm.

Centralnym problemem w tej mierze była niegdyś postać Stalina i rola jaką ten człowiek odegrał w historii komunizmu. Nie ulega kwestii, że dopiero Solżenicyn gruntownie zdemaskował Stalina i jego system. Wydaje się jednak, iż te genialne wprost prawdy, zawarte w dziele rosyjskiego pisarza, odnoszą się głównie do Rosji, ponieważ na przykład na gruncie polskim decydującą rolę odegrały nieco inne czynniki ideowe, moralne i psychologiczne.

Jest oczywiste, Koestler i jemu podobni popełnili olbrzymi błąd dowodząc, że Stalin był postacią demoniczną. Stalin nie był demosem, lecz utalentowanym i bezwzględny despotą. Nie był mistrzem intelektualnych paradoksów i dialektycznej głębi, lecz po prostu politykiem, wyposażonym w wielką siłę woli i doskonałe zorganizowany aparat przemocy.

Stalinizm został poprzedzony w dziejach Europy pewnymi wydarzeniami, które miały decydujący wpływ na ideowe oceny. Przed wojną Rosja była od Europy odległa, przenikały stamtąd wieści niejasne i trudne do zweryfikowania. Los narodów ZSRR, pozostających pod panowaniem Stalina, nie był powszechnie znany Europejczykom.

Rok 1945 zastał Polskę nie tylko zdruzgotaną cywilizacyjnie, lecz również wydana na kup najokrutniejszego zwątpienia w jej historii. Oto ten niewielki naród, tak bardzo chrześcijański i tak gorąco od stuleci przywiązany do ideałów Zachodu - przeżył pięć strasznych lat hitlerowskiej tyranii i ludobójstwa. Ludzie próci znoszą podobne kataklizmy bez prób filozoficznego uogólnienia. Natomiast człowiek o aspiracjach intelektualnych - poszukuje w obliczu okrucieństw losu pewnych ideowych uzasadnień. Jego umysł skłonny do refleksji, wyćwiczony w rozumowaniu abstrakcyjnym, domaga się mniej lub bardziej racjonalnych wyjaśnień. Świat nie objaśniony jest dla intelektualisty światem nie do przyjęcia.

Po roku 1945 warstwy oświecone przeżywały w Polsce najgłębszy kryzys wartości. Demokracja europejska, ten niedościgły polski ideał, ten wzor postawy ideowej dla wielu pokoleń polskich inteligentów - doprowadziła do krachu najbardziej elementarnych zasad humanizmu. Ta demokracja okazała się słaba, próżna spróchniała, pozbawiona moralnego autorytetu i sił materialnych, bo na jej oczach, w jej obecności - hitleryzm dokonał największego mordu w dziejach świata. Ludzie zadawali sobie gorzkie pytania o sens pewnych zasad, którym tak bardzo chcieli dochować wierności, a które tak boleśnie ich zawiodły, wystawiając na sztych najokrutniejszych dświadczeń. Na oczach tych ludzi spalono miliony Żydów, wytrzebiono niemal doszczętnie Cyganów, wymordowano miliony Polaków, Francuzów, Rosjan, Holendrów. Na oczach tych ludzi cały kontynent spłynął krwią,

a dopuściła do tego ich ojczyzna, szlachetna i liberalna Europa, ta sama Europa, która od dziesięcioleci uporczywie odmieniała frazesy na temat jednostki ludzkiej, poszanowania elementarnych swobód, zasad demokratycznych itp. Kiedy jednak nadeszła godzina wielkiej próby - ideały europejskie okazały się zbyt słabe, a wola walki Europejczyków zbyt mierna, aby można było okiełznać Hitlera i ocalić miliony niewinnych.

Było to straszliwe doświadczenie historyczne. W zaduchu rozkładających się trupów, dymiących krematoriów, w ruinach miast i pośród zgliszcz, jakie zostały po dawnych zbudzeniach - pojawił się potężny satrapa Wschodu, ten jedyny w istocie zwycięzca, który zmiążdżył hitleryzm i rozdeptał Kancelarię Rzeszy.

Stalin był nie tylko potężny i zwycięski. Był także uosobieniem pewnej koncepcji świata, która okazała się na tyle silna, że potrafiła skutecznie przeciwstawić się Hitlerowi.

Nie ulega żadnej kwestii, że większość Polaków witała w roku 1945 radzieckich żołnierzy jako wyzwolicieli. Polacy - z racji swoich doświadczeń historycznych - mieli niechętny i nieufny stosunek do Rosjan, ale usiłowali o tym zapomnieć, wyjść naprzeciw nowej rzeczywistości, ponieważ wraz z tą rzeczywistością do Polski wracało życie. Trzecia Rzesza skazała naród polski na zagładę i gdyby wojna potrwała nieco dłużej - zapewne pozostałaby z Polaków garstka wycieńczonych niewolników Hitlera.

Otóż stalinowski Związek Radziecki, kraj nieznanym i tajemniczym, kraj jakiegoś zdumiewającego eksperymentu dziejowego - dzięki swej potężnej, determinacji i skuteczności działań - ocalił Polaków od zagłady. Wielu ludzi przypisywało wtedy ten sukces osobistym talentom Stalina.

Oczywiście był to mit. Bo w istocie Stalin w latach 1939-1941 był wiernym sojusznikiem Hitlera i pomagał mu zniewalać europejskie demokracje. Bo w istocie Stalin wojnę prowadził nieudolnie, powodując zrazu straszliwe klęski. Dopiero kolosalny i krwawy wysiłek milionów ludzi w ZSRR oraz ogromna pomoc materiałowa świata zachodniego - rozstrzygnęły o losach wojny na wschodzie Europy.

Czyż jednak mity nie mają w historii prawa obywatelskiego i czy nie wpływają czasem na postawy ludzkie silnie niż rzeczywistość? Dodać trzeba, że już wtedy, w roku 1945, w Polsce podporządkowanej Stalinowi, rzetelna informacja o faktach była prawie nieosiągalna.

Niemalą część ludzi oświeconych, zraniona w swej miłości do Zachodu, odrzucona przez Zachód, który okazał się tak słaby, bezradny i niezdecydowany uznała, że oto rodzi się nowy świat, potężny, zdumiewająco dynamiczny, który ocali Europę przed okrucieństwem podobnych doświadczeń w przyszłości.

Dzisiaj dziecko rozumie, jak żałosna była to wiara! Ale tylko takie wyjaśnienie tego intelektualnego błędu wydaje się przyzwoite i moralnie czyste. Co więcej - jest ono zgodne z historycznym doświadczeniem. Wielu jednak ludzi, którzy później odeszli od komunizmu i stali się dysydentami - poszukiwało odmiennych uzasadnień dla tego procesu. Byli czasem dla samych siebie surowszymi sędziami, niż na to zasługiwali. Wydaje się, że przynajmniej niektórzy z nich, odrzucali uzasadnienia racjonalne z tęsknoty cokolwiek fideistycznej.

Koestler okazał się tu bardzo pożyteczny. Dał on całej lewicy intelektualnej znakomitą formułę eleganckiego filozofowania. "wymyślił" mianowicie demony komunizmu.

W niedobrze napisanej i od początku do końca wykonanej książce "Zero i nieskończoność" przedstawił dwudziestowieczny sabat czarownic. Jesteśmy tu świadkami zawiłych, dialektycznych rozważań, prowadzących do intelektualnego opętania. Ideowy komunista dochodzi do przekonania, że w imię doktryny powinien nie tylko oddać głowę, ale opluć się, ahańbić własne imię, akceptować wszystkie semantyczne urojenia, na koniec scedować na system tę najcenniejszą wartość jaką jest osobowość istoty ludzkiej.

Koestler starał się dowieść i to mu się po części udało, że magia stalinizmu była potężna, zniewalała umysły i doprowadziła je do rozkładu. Takie ujęcie sprawy dawało doktrynie intelektualną przewagę, w każdym zaś razie nobilitowało ją, przyznając partnerstwo wobec oświeconych umysłów naszego wieku.

Pogląd Koestlera zaowocował obficie, po dzień dzień jest żywy, mimo wyłomu, jakiego dokonał Solżenicyn. Wciąż wielu ludzi traktuje stalinizm jako rodzaj demonicznych zmagani wielkiego szamana ideologii z ulegającymi mu - pod wpływem nie-

odpartej argumentacji - intelektualistami. I wciąż wielu ludzi na świecie poszukuje w doktrynie wartości magicznych.

Ma to bardzo luźny związek z prawdą i faktami historycznymi. Co więcej poglądy takie przeczą fundamentalnej tezie marksizmu, że byt określa świadomość, a nie odwrotnie. Nie jest pewne czy Marks miał rację, lecz nie o niego tu idzie, ale o całą plejadę badaczy komunizmu i marksizmu klasycznego, którzy - nie wiedząc czemu - zapominają o tezach Marksa i traktują mity jako rzeczywistość.

Ale pewne fakty nie ulegają przecież wątpliwości.

Nie było w Polsce lat 1949-55 żadnych dyskusji i sporów ideologicznych, z których stalinizm wychodził zwycięsko dzięki swej sile argumentacji. Wszelki ideowy protest likwidowany był nie w gabinetowych dyskursach, lecz po prostu w celach więziennych. Kto nie był entuzjastą, stawał się wrogiem i spadał na niego prześladowania. Jednocześnie - inaczej niż w ZSRR - nie wymagano bynajmniej strzelistych aktów uwielbienia. Ludziom, którzy milczeli - pozwalano wegetować na marginesie życia publicznego, nierzadko w nędzy - lecz dzisiaj nie cierpią oni na żadne wyrzuty sumienia. W Polsce można było przetrwać stalinizm bez utraty czci i bez utraty głowy - i większa część społeczeństwa tak właśnie ten okres przetrwała. Jak Sieyes, który gdy go pytano, co robił w czasach terroru, zwykł odpowiadać, że "pozostawał przy życiu".

W sferach intelektualnych niewątpliwie wystąpiły procesy pożałowania godne, które do dziś wywołują niepokój wielu sumień. Niepokój ten jest uzasadniony, bo w Polsce zawsze istniała szansa wyboru postawy. Aparat przemocy nigdy nie miał tak totalnego charakteru jak w Rosji. Dlatego łatwiej usprawiedliwiać radzieckie środowiska intelektualne, ale przecież w ogóle nie idzie o usprawiedliwienie lub certyfikaty moralności, ale o ukazanie pewnych mechanizmów tamtego czasu.

Stalin zjawiał się w krajach Europy wschodniej bezpośrednio po wojnie, kiedy to obszary były intelektualnie wypalone przez hitlerizm. Zasady europejskie - w rezultacie wydarzeń wojennych - poniosły klęskę. Dawny system wartości leżał w gruzach, pogrzebany przez samych Europejczyków. Płonął tam natomiast żywym płomieniem nienasycony nigdy, intelektualny fideizm, ten żąkosny objaw pogaństwa, które odrzuca Boga, ponieważ Bóg wydaje się być poniżej godności wyzwolonego, racjonalistycznego umysłu - i gorączkowo szuka nowych bożków, aby oddawać im hołd w świątyniach rozumu.

Stalin był człowiekiem występny, ale inteligentnym. Wiedział, że pragnienie absolutu stanowi cząstkę ludzkiej natury. Potrafił w mistrzowski sposób wykorzystać zwątpienie i kryzys tradycyjnych wartości. Umysły proste pozostały, rzecz jasna, mniej wrażliwe na pokusy doktryny. Ludzie o aspiracjach intelektualnych ulegli łatwiej.

Nie było to jednak wcale demoniczne. I nie było żadnego opętania. Intelektualne partnerstwo stalinizmu - to brzmi doprawdy żałośnie! Niewiarygodna płaskość nuda i bezmyślność. Puste frazesy, które w konfrontacji z rzeczywistością albo nic nie znaczą, albo świadczą o potwornej obłudzie.

I w innych warunkach historycznych cały ten system, pozostałby po prostu tym, czym był w istocie, a mianowicie nagą, brutalną tyranią. Na zgłiszczach zburzonego świata powojennej Europy nabrał cech metafizycznych nieomal...

A przecież stalinizm nie był nigdy ideologią, lecz doprowadzoną do perfekcji techniką totalnej dyktatury.

Wszystko to nie dotyczy Rosji, której historia jest stokroć bardziej zawiła, gorzka i tragiczna. Ale dotyczy Polski, Czechosłowacji, węgier.

Z tamtej epoki wywodzą się dwie grupy dysydentów wschodnioeuropejskich. Pierwsi to byli komuniści, którzy po roku 1956 i rewelacjach Chruszczowa zrazu podjęli rewizję swego stosunku do systemu i usiłowali ten system naprawić, doskonalić, ulepszać, by wreszcie - po latach rozczarowań - zerwać ostatecznie z komunizmem w ogóle. Drugi to komuniści wciąż wierni doktrynie, którzy odrzucając tak zwane zwyrodnienia stalinizmu, stoją na gruncie zasad dyktatury proletariatu i rzeczywistość poststalinowską uważają za niezręczną próbę konwergencji upatrując w tym kapitulancie wobec burżuazji.

Trzecia, nader liczna grupa polskich dysydentów są ludzie, którzy nigdy komunistami nie byli i zawsze odrzucali tę koncepcję życia społecznego, politycznego, gospodarczego.



Ta grupa nie jest zresztą jednolita ideowo, ponieważ komunizm miał w Polsce swoich przeciwników zarówno z lewa jak i z prawa. Lewica społeczna, wychowana w tradycjach socjalnej demokracji i niezwykle uczulona na kwestie suwerenności państwowej - była ofiarą najokrutniejszych represji w dobie Stalina, przykrych szykan w dobie jego następców. Prawica społeczna natomiast, bywała w rozmaitych okresach po wojnie kokietowana przez władze komunistyczne, co wydaje się zrozumiałe w szczególnej polskiej sytuacji.

Należy bowiem podkreślić z naciskiem pewien zdumiewający na pozór fakt polityczny. Otóż władze komunistyczne w Polsce nieodmiennie posługują się programem postępowym i frazeologią społecznej lewicy - natomiast w praktyce realizują, równie nieodmiennie, modele społecznej prawicy. Prowadzi to do poważnych spustoszeń moralnych i myślowego bałaganu wśród szerokich mas społeczeństwa. Ponieważ praktyka jest taka jaka jest - przeto społeczeństwo utożsamia ją z urzeczywistnieniem programu lewicowego. Jest naturalne, że wskutek tego, myślenie prawicowe odnosi w masach niemałe sukcesy. Konserwatyzm systemu, który używa nieustannie języka lewicy, sprawia, że bardzo wielu Polaków myśli w sposób zaskakująco reakcyjny, ponieważ wszystkie hasła lewicowe zostały w ich umysłach skompromitowane. Niekiedy trudno odpowiedzieć na pytanie, kto jest bardziej na prawo we współczesnej Polsce - władze czy pewne grupy społeczeństwa polskiego. Ponieważ jednak władze posługują się językiem programu lewicy - nie może być mowy o znalezieniu wspólnego języka z tymi grupami. Zdarza się to tylko od czasu do czasu, gdy oficjalna propaganda - dla doraźnych celów taktycznych - wysuwa nagle hasła nacjonalistyczne.

Można więc przyjąć, że są też w dzisiejszej Polsce dysydenci usytuowani na społecznej prawicy, choć odgrywają nieznaczną rolę, z tej prostej przyczyny, że prawica z samego swego charakteru jest statyczna, wyzbyta radykalizmu społecznego, skłonna do kompleksów i oportunistu.

Jest zatem oczywiste, że ruch sprzeciwu, zwany na Zachodzie dysydemtyzmem - stanowi, przynajmniej w Polsce, zjawisko bardzo złożone. Ilustruje on pewne szersze procesy moralne i polityczne, ogarniające cały naród. Najpoważniejszym zagadnieniem jest tu postępująca od trzech dziesiątków lat dezintegracja społeczna. Ta właśnie dezintegracja sprawiła, że Polacy zmuszeni byli osiągnąć swoje połowiczne i nietrwałe sukcesy społeczne, wywołując trzykrotnie - w roku 1956, 1970 oraz 1976 - krwawe bunt masowe. Bunt jest najbardziej rozpaczliwą reakcją mas na ucisk. Jest reakcją wynikającą z braku organizacji i możliwości trzeźwego porozumienia między ludźmi.

Naród, który się buntuje - jest zdesperowany, rozbity, pozbawiony celów do jakich winien zmierzać. Nikt rozumny nie może być zwolannikiem, ani tym bardziej rzecznikiem podobnych rozwiązań.

Podstawowym obowiązkiem dysydemtów, którzy nie uważają się za komunistów, jest obecnie walka o społeczną integrację. Zdarzenia w Polsce po czerwcu roku 1976 dowiodły, że takie próby integracji są możliwe i przynoszą owocne rezultaty.

Dla zdrowia społecznego niezmiernie ważny jest wolny głos wolnych ludzi - dla tego trzeba nieustannie walczyć o urzeczywistnienie tego prawa osoby ludzkiej. Pi sarz, uczony, reżyser, musi się troszczyć o to, by swobodnie wyrażać swoje poglądy. Ale przecież nie tylko o to!

Umysł współczesnego Polaka spętany jest mnóstwem uprzedzeń, fobii i nierozumnych tendencji, które po części są rezultatem indoktrynacji, po części zaś obroną organizmu narodowego. Ale przy wszystkich polskich urojeniach, jednego Polakom nie podobna zarzucić, że mianowicie poważnie traktują świat, w którym przyszło im egzystować.

Otóż w tej mierze niektórzy dysydenci są chyba jedynymi sojusznikami systemu. Ponieważ wierzą w magię słów, i jest to wiara zapożyczona od doktryny komunistycznej lub przez tę doktrynę zaszczerpiona. Jej kanonem jest przekonanie, że nie rzecz jest ważna, ale imię tej rzeczy, nie fakt, lecz nazwanie faktu, nie przedmiot, ale wyraz ten przedmiot oznaczający. Ta wiara sprawia, że świat słów pozbawiony jest związków ze światem realnym. Semantyczne usurpacje w połączeniu z nabożnym stosunkiem do słowa - łamią logiczne zależności między językiem a rzeczywistością.

Otóż niektórzy dysydenci usiłują z powagą polemizować w tej kwestii z systemem - co musi wprawiać w osłupienie trzeźwo myślących Polaków. Co więcej - nie

którzy dysydenci podejmują walkę ideologiczną. Nie wydaje się to rozsądne. Walka ideologiczna jest bowiem orężem doktryny, która w ten sposób stara się eliminować model kultury otwartej. W ramach tej walki zaszczerpia się poglądy, jakoby istniały formacje umysłowe dobre i zła, przekonania słuszne i niesłuszne, wpływy pozytywne i szkodliwe, przy czym o tym co dobre, słuszne i użyteczne, decyduje wyłącznie władza. Dialog w takich ramach jest stratą czasu i energii umysłowej.

Każdy, kto daje się wciągnąć w walkę ideologiczną, staje się partnerem systemu, a tym samym - pośrednio, nawet wbrew intencjom - potwierdza żywotność doktryny.

Ponieważ jednak praktyka systemu - znów bez względu na intencje jego twórców konstruktorów, ideologów i praktyków - przekreśliła niemal wszystko co stanowiło niegdyś o atrakcyjności sui generis doktryny - przeto dzisiaj walka ideologiczna może się odbywać wyłącznie w sferze słów i pojęć, a nie faktów społecznych, które dezawuuje na każdym kroku dawne założenia ideowe. Sfera słów i pojęć poddawana jest więc nieustannie irracjonalnym przekształceniom. Kto przyjmuje walkę na tym polu - wchodzi na obszar wyjąłowany z wszelkiej myśli twórczej.

Intelektualiści, z racji swojej pracy, odnoszą się z szacunkiem i pietyzmem do słów oraz pojęć. Na pewno mają rację. Ale życie społeczne, poza słowami i pojęciami, składa się także z faktów i przedmiotów. Dlatego też nie spór z doktryną i pryncypiami ideologii, lecz z polityczną, społeczną i gospodarczą praktyką - jest użyteczny i prawdziwie ludzki.

Walka w sferze słów i pojęć ma taki sam sens jak walka z demonami. Jest to kontynuacja Koestlera w nowej historycznej sytuacji.

Zapomnieć o demonach - znaczy to wyjść naprzeciw życiu. Zapomnieć o demonach - znaczy pamiętać o ludziach, ich cierpieniach, aspiracjach i tęsknotach do wolności i prawdy.

## A SOZEMNICZY

## Inteligencja

1

Fatalne cechy rosyjskiej warstwy wykształconej sprzed rewolucji zostały gruntownie omówione w almanachu "Wiechy" ("Drogowskazy") i z oburzeniem zanegowane przez całą inteligencję, przez wszystkie orientacje partyjne - od kacetów do bolszewików. Prorocza głębia "Wiech" nie znalazła (i autorzy wiedzieli, że nie znajdzie) zrozumienia u czytelników rosyjskich, nie wpłynęła na rozwój sytuacji w Rosji, nie zapobiegła nieszczęsnym wydarzeniom. Rychko też tytuł zbioru, eksploatowany przez inną grupę autorów ("Smiena wiech")<sup>3</sup> o wąsko politycznych zainteresowaniach i niskim poziomie, zaczął się komplikować, zużywać i w ogóle zacierać w pamięci nowych rosyjskich pokoleń ludzi wykształconych, tym bardziej - sama książka w państwowych bibliotekach radzieckich. Jednakże przez 60 lat nie wyblakło jej świadectwo: nawet dzisiaj "Wiechy" wydają się nam jakby przesłaniem z przeszłości. I jedynie to cieszy, że w ciągu 60 lat - jak się wydaje - ulega w Rosji pogrąbieniu warstwa zdolna udzielić tej książce poparcia.

Czytamy ją dzisiaj z dwójakiem uczuciem: ukazuje nam ona wrzody jak gdyby nie tylko minionego okresu historycznego, ale pod wieloma względami również czasu dzisiejszego. Dlatego też żadnej rozmowy o dzisiejszej inteligencji (ze względu na wieloznaczność terminu "inteligencja" na razie, w ramach pierwszego rozdziału, przyjmując, że inteligencja to "cała masa tych, którzy się w ten sposób określają" zaś inteligent - "każdy, kto wymaga, aby go za takiego uważano") nie podobna niemal prowadzić, nie porównując jej cech obecnych z twierdzeniami "Wiech". Ogląd historyczny zawsze prowadzi do lepszego rozumienia.

Jednakowoż - nie silac się bynajmniej na zachowanie tu zwartości formuły "Wiech" - pozwalamy sobie dla potrzeb dzisiejszego przeglądu połączyć i pogrupować twierdzenia "Wiech" w następujące klasy:

a/ wady dawnej inteligencji istotne dla historii Rosji, lecz obecnie wygasłe, albo słabo podtrzymywane, albo diametralnie odwrócone.

Sekciarskie, sztuczne wyobcowania się z życia ogólnonarodowego (obecnie - daleko idące zrośnięcie się poprzez stanowiska służbowe). Pryncypjalne przeciwstawienie się państwu (obecnie: jedynie w ukryciu i w wąskim kręgu - odłączenie swoich potrzeb od interesów państwowych, zadowolenie z każdego niepowodzenia państwa, bierne sprzyjanie wszelkiemu protestowi, gdy w rzeczy samej - właśnie wierna służba państwu). Moralne tchórzostwo poszczególnych osób w obliczu opinii "społeczności", brak odwagi w myśleniu indywidualnym. (Teraz daleko odrzucone wskutek panicznego lęku przed wola państwa). Miłość do zrównującej sprawiedliwości, do dobra społecznego i narodowego, dobra materialnego paraliżowała w inteligencji miłość i poszukiwanie do prawdy. "Pokusa Wielkiego Inkwizytora": niech przypadnie prawda, jeśli dzięki temu ludzie staną się szczęśliwi. (Teraz takich trosk nie ma w ogóle. Teraz: niech przypadnie prawda, jeśli za tę cenę przetrwam ja i moja rodzina). Hipnoza powszechnej wiary inteligencji, ideowa nietolerancja wobec wszelkiej innej, nienawiść jako gwałtowny impuls etyczny. (Zniknęła cała namiętna potrzeba pełni). Fanatyzm, słuchanie głosu życia (Teraz - wsłuchiwanie się weń i dostosowywanie do praktycznej sytuacji). Nie ma słowa bardziej niepopularnego w środowisku inteligentkim niż "pokora". (Obecnie posunięto się nawet do serwilizmu), Marzycielstwo, piękno-duchostwo, niedostateczne poczucie rzeczywistości. (Teraz trzeźwo-wytlumaczalne rozumienie). Nihilizm względem pracy. (Wypleniony). Niezdolność do roboty praktycznej. (Zdatność). Jednocząc wszystkich wzmocnony ateizm, bezkrytycznie przyjmujący, że nauka jest w stanie rozwiązać nawet problem religii, przy tym zaś ostatecznie i oczywiście negatywnie, dogmaty bałwochwaltwa wobec człowieka i ludzkości, religia zastąpiona wiarą w postęp naukowy. (Opadło napięcie ateizmu, lecz nadal jest on rozlany w masie ludzi wykształconych - już tradycyjny, przywiedły, jakkolwiek z bezwzględna preferencją dla postępu naukowego i sloganu "człowiek ponad wszystko"). Inercja myślenia, słabość życia umysłowego, mającego wartość samo w sobie, a nawet nie licząc wobec potrzeb duchowych, które same w sobie mają wartość. (Przeciwnie,

rezygnację z pasji społecznej, wiary i działania niektórzy ludzie wykształceni w wolnych chwilach i w zamkniętej skorupie rekapensują sobie dość intensywną działalnością umysłową, choć zazwyczaj bez żadnego zastosowania jej na zewnątrz, czasem - anonimowym ukrytym wystąpieniem w Samizdacie).

"Wiechy" przeważnie krytkowały inteligencję, wyliczając jej skazy i słabości, groźne dla rozwoju Rosji. Osobnej analizy zalet inteligencji tam nie ma. Jednakowoż dzisiaj w perspektywie widzenia popowowiczego, nie grzebiąc cech współczesnej warstwy wykształconej pokażemy, że wyliczając braki autorzy "Wiech" wspominają o cechach, które obecnie nie mogą być przez nas przyjęte inaczej niż:

b/ zalety inteligencji przedrewolucyjnej.

Powszechne poszukiwania jednolitego światopoglądu, pragnienie wiary (choćby nawet ziemskiej), dążność do podporządkowania swojego życia tej wierze). Niczego co dałoby się z tym porównać, dzisiaj nie ma, zhuzony cynizm. Społeczna skrucha, poczucie winy wobec narodu. (Teraz rozpowszechnione jest coś przeciwnego: to naród jest winny wobec inteligencji, nie ma litości). Oceny i motywy moralne zajmują wyjątkowe miejsce w duszy inteligenta rosyjskiego, egoizmem jest myślenie o sobie, osobiste zainteresowania i egzystencja winny być bezwzględnie podporządkowane służbie społecznej, purytanizm, osobista asceza, całkowita bezinteresowność, nawet nienawiść do sobistego bogactwa, lęk przed nim jak przed ciężką próbą i pokusą. (Wszystko to - nie o nas, wszystko na odwrót). Fanatyczna gotowość do poświęceń, nawet aktywne poszukiwanie ofiary, jakkolwiek tą drogą kroczą jednostki, jest ona obowiązującym i jedynie godnym ideałem dla nas wszystkich. (Trudno rozpoznać siebie, to nie jesteśmy my! Jedynie wspólne słowo "inteligencja" zostało z przyzwyczajenia).

A przecież inteligencja rosyjska nie była trywialna, skoro "Wiechy" zastosowały wobec niej krytykę tak wysoką pod względem wymagań. Jeszcze bardziej będziemy zaskoczeni, po uwzględnieniu grupy cech uznanych przez "Wiechy" za:

c/ ówczesne braki, które według dzisiejszego naszego przebiegunowania są niemalże zaletami.

Powszechna równość, a stąd gotowość obniżania wyższych potrzeb jednostki. Psychologia heroicznej ekstazy utrwalona przez represje państwowe, partie są popalarnie zależnie od stopnia swego heroizmu. (Obecnie prześladowania są okrutniejsze, bardziej systematyczne i powodują przygnębienie, a nie ekstazę). Pragnienie męczeństwa i konfesyjność, niemalże dążność do śmierci. (Teraz - do stanu nienaruszalności), Inteligent nie zadowala się rolą skromnego pracownika, jego marzeniem jest zostać zbawcą ludzkości albo w ostateczności - narodu rosyjskiego. Egzaltacja, irracjonalnie podniosły nastrój, oszołomienie walką. Przekonanie że nie ma innej drogi niż walka społeczna i zniszczenie istniejących form społecznych. (Nic podobnego! Nie ma innej drogi niż podporządkowanie się, cierpliwość, oczekiwanie na łaskawość).

Zaprzepaściliśmy wszelako nie całą spuściznę duchową. Rozpoznajemy również siebie.

d/ braki dziedziczone po dzień dzisiejszy.

Brak jest pozytywnego zainteresowania historią ojczyzną, poczucia ściszej więzi z nią. Dlatego inteligencja żyje w oczekiwaniu na cud społeczny. (Wówczas wiele dlań robiąc, teraz podnosząc na duchu, aby cudu nie było!... oczekując nań). Wszystko się bierze się z formalnego nieporządku, dlatego też potrzebne są jedynie formalne reformy. Za wszystko, co się dzieje, odpowiada samowładztwo, natomiast z każdego inteligenta zdjęto osobistą odpowiedzialność i osobistą winę. Wzobrzynione poczucie własnych praw. Pretensje, poza, fałsz ciągłej "pryncypialności" prostych stwierdzeń abstrakcyjnych. Butne przeciwstawienie siebie "fili-strom". Wmieszłość duchowa. Religia ubóstwiania siebie, inteligencja widzi w sobie - Opatrzność dla własnego kraju.

Wszystko się zgadza do tego stopnia, że nie wymaga nawet komentarza.

Dorzućmy kropkę z Dostojewskiego ("Dziennik pisarza"): Łagodność. Pośpiech i wyciąganie pesymistycznych wniosków.

Wiele rzeczy by zatem w dzisiejszej inteligencji pozostało z dawnej, gdyby - sama INTELIGENCJA jeszcze ostatała.

Inteligencja! Jaki jest dokładnie jej zasięg, gdzie są jej granice? Jedno z pojęć najbardziej ulubionych, ale używanych jakże różnie. Przy nieostrości terminu wiele rzeczy traci wartość konkluzyjną. Autorzy "Wiech" określili inteligencję nie według stopni i nie według typu wykształcenia, ale według ideologii - jako pewien nowy zakon - areligijny i humanistyczny. Nie zaliczali najwyraźniej do inteligencji inżynierów i uczonych z dziedzin matematycznych i technicznych, ani wojskowych. Ani duchowienstwa. Zresztą nawet sama inteligencja tamtych czasów, właściwa inteligencja (humanistyczna, społeczna i rewolucyjna), również nie łączyła ich wszystkich ze sobą. Co więcej, w "Wiechach" zakłada się, a wśród kontynuatorów "Wiech" twierdzi, że najwybitniejsi pisarze i filozofowie rosyjscy - Dostojewski, Tołstoj, Wł. Sołowiow, także nie należeli do inteligencji! Dla współczesnego czytelnika brzmi to dziwacznie, a tymczasem niegdyś tak się działo i rozróżnienie było dość głębokie. W Gogolu ceniono demaskatora - ustroju państwowego i klas rządzących. Ale gdy tylko pisarz przeszedł do najbardziej drogich sobie poszukiwań duchowych, został przez publicystykę wychłostany i wyłączonego ze społeczności postępowej. U Tołstoja ceniono te same demaskujące, a ponadto - wrośnięte wobec kościoła, wobec najwyższej filozofii i twórczości. Jednakże jego nieustraszone moralizatorstwo, nawoływanie do schłopienia, niesprzeciwianie się złu przemocą, do powszechnej dobroci, przyjmowane było z pobłażaniem. "Reakcyjny" Dostojewski był zgoda w ogóle pogrzebany i zapomniany w Rosji, i nie cytowanoby go dzisiaj na każdym kroku, gdyby w XX wieku niespodziewanie nie eksplodowała na szanowanym Zachodzie jego ogłuszająca sława światowa.

A tymczasem, gdzie powinno się włączyć tych wszystkich, którzy nie znaleźli się w gronie inteligencji właściwej? A mieli oni własne cechy charakterystyczne, niekiedy zupełnie niezbieżne z tymi, które zostały zebrane przez "Wiechy". Na przykład do inteligencji technicznej odnosi się jedynie niewielka część charakterystyki "Wiech". Nie było w niej oderwania od życia narodowego, ani przeciwstawienia się państwu, ani fanatyzmu, ani rewolucyjności, ani dominującej nienawiści, ani słabego poczucia rzeczywistości itd., itd.

Gdybyśmy przyjęli etymologiczne określenie inteligencji od rdzenia tego wyrazu (intelligere: rozumieć, wiedzieć, myśleć, mieć pojęcie o czymś), to oczywiście objęłoby ono klasę ludzi pod wieloma względami inną niż ci, którzy w Rosji na przełomie dwóch stuleci przyjęli ów tytuł i jako tacy omówieni zostali w "Wiechach".

G. Fiedotow zaproponował dowcipnie, aby za inteligencję uważać grupę "połączoną ideowością swoich zadań i nierealnością swoich idei".

W. Dul definiował inteligencję jako "wykształconą, rozwiniętą pod względem umysłowym część ludności", ale wnikliwie zauważył, że nie mamy słowa dla określenia moralnego wykształcenia - dla tej oświaty, która "kształtuje i umysł i serce".

Zdarzały się próby budowania definicji inteligencji na spontanicznej sile twórczej (nawet wbrew okolicznościom zewnętrznym), na oryginalnym sposobie myślenia, na niezależnym życiu duchowym. We wszystkich tych poszukiwaniach najwyższą trudność polega nie na sformułowaniu definicji i nie na charakterystyce realnie istniejącej grupy społecznej, ale na różnicy życzeń: kogo chcielibyśmy widzieć pod nazwą inteligencji.

Bierdajew proponował później określenie alternatywne wobec rozważanego w "Wiechach": inteligencja jako ogół duchowych wybrańców kraju. To znaczy - duchową elitę, nie zaś warstwę społeczną.

Po rewolucji lat 1905-1907 rozpoczął się powolny proces polaryzacji inteligencji: zwrotu zainteresowań młodzieży studenckiej i stopniowego wyodrębnienia jeszcze bardzo cienkiej warstwy o wzmocnionym uczeniu na wewnętrzne moralne życie człowieka, a nie na zewnętrzne przemiany społeczne. Tak tedy autorzy "Wiech" byli niezapewnia osamotnieni w ówczesnej Rosji. Jednakże owymi ledwie dostrzeganym wątkiem procesowi wyodrębniania się nowego typu inteligencji (w ślad za tym uległby rozszereżeniu i uściśleniu sam termin) nie było sądzone zająć w Rosji: pogmatwała go i zdusiła pierwsza wojna światowa, a następnie gwałtowny przetęgił rewolucji. Słowo "inteligencja" było wymawiane przez wykształconych Rosjan częściej niż wiele innych. Jednakże mimo wszystko z powodu wspomnianych wydarzeń - nie zdążyło zyskać ścisłego znaczenia.

I dalej - warunków i czasu było jeszcze mniej. Rok 1917 był ideowym krachem inteligencji "rewolucyjno-humanistycznej", jak się sama określała.

Po raz pierwszy zmuszona była przejść od terroru indywidualnego, od butnego sekciarstwa, od partyjnego talmudyzmu i totalnej krytyki rządu do realnych akcji państwowych. W całkowitej zgodności ze smutnymi przewidywaniami autorów "Wiech" (jeszcze osobno u S. Bułhakowa: "inteligencja w sojuszu z tatarszczyzną... zgubi Rosję"). Inteligencja okazała się niezdolna do tych akcji, złąkała się, zagubiła, jej przywódcy partyjni łatwo wyrzekli się władzy i kierownictwa, które z oddali wydawały się tak upragnione - a władza, jak rozpalona kula przetrucana z rak do rak, dotoczyła się do tych, którzy ją łapnęli i mieli skórę przystosowaną do jej żuru (także zresztą ręce inteligenckie, ale szczególnie). Inteligencja umiała rozkołysać Rosję do wybuchu kosmicznego, lecz nie zdołała pokierować jej szczytkami. (Później patrząc z perspektywy emigracji, inteligencja znalazła dla siebie usprawiedliwienie: okazało się, że "lud nie ten", lub "lud zawiodł oczekiwania inteligencji"). A przecież taka była diagnoza "Wiech", że ubóstwiając lud, inteligencja ludu nie znała, była odńi bezładnie oderwana. Jednakowoż nieznanie rzeczy nie jest usprawiedliwieniem. Nie znając ludu ani własnych sił państwowych trzeba było po dziesięćkroć wystrzegać się nieodpowiedzialnego pehania jego i siebie w pustkę.

I podobnie jak ów pogrzebacz ze wstępu do baśni, w mrocznej izbie nieostrobnie nadepnęty, z siedmiokrotną siłą uderzył jełopa w czoło, tak rewolucja rozprawiła się z inteligencją, która ją obudziła. Po biurokracji carskiej, policji, szlachcie i duchowieństwie kolejny miążdzący cios dosięgnął inteligencję już w rewolucyjnych latach 1918-1920 - i to nie tylko poprzez rozstrzelania i więzienie, ale poprzez chłód, głód, ciężką pracę i szyderczą pogardę. Do wszystkiego tego inteligencja nie była przygotowana i podczas wojny domowej - czego już w żadnym sposób nie oczekiwała od siebie samej - udała się częściowo pod ochronę byłej carskiej generalicji, a następnie również na emigrację. Niektórzy już nie po raz pierwszy, ale teraz - przemieszczana bezładnie z biurokracją, pod którą tak niedawno sama podkładała bomby.

Ekzystencja za granicą, pod względem życiowym znacznie cięższa niż w dawnej zniemawidzonej Rosji, dostarczyła jednakże szczytkom inteligencji rosyjskiej jeszcze kilku dziesięcioleci usprawiedliwień, wyjaśnień i rozmyślań. Ta wolność nie była udziałem większej części inteligencji - tej, która pozostała w ZSRR. Ci, co ocalili z wojny domowej, jak byli dawniej rozpieszczeni, tak teraz nie mieli swobody myśli i wypowiedzi. Pod groźbą GPU i bezrobocia musieli pod koniec lat dwudziestych albo przyjąć bezduszną ideologię jako własną i umiłowaną, albo zamarować się i rozproszyć. Były to okrutne lata próby indywidualnej i zbiorowej niezłomności ducha, próby, która dotknęła nie tylko inteligencję, ale też na przykład - cerkiew rosyjską. Można też powiedzieć, że cerkiew, w chwili rewolucji całkowicie nienał zgrzybiała i zdemoralizowana - zapewne jedna z pierwszych spracowanych upadku - wytrzymała próbę lat dwudziestych z większą godnością; wprowadziła i ona miała w swoim środowisku zdrajców i oportunistów (obnowiczcstwo), ale też w samej swej masie wydała księży-męczenników, którzy w czasie przeładowym umacniali się jedynie w swojej niezłomności i byli pod bagnietami zgarniani do obozów. Co prawda, reżym radziecki był wobec cerkwi znacznie bardziej bezwzględny, a przed inteligencją roztoczył pokusy: zrozumieć wielką Prawdliwość, uświadomić sobie, że nadeszła Żelazna Konieczność jako dawno oczekiwana Wolność - uświadomić samemu sobie, dzisiaj, w uderzeniach szczerego serca, wyprzedzających jutrzejsze kōpniaki konwojentów, albo w pogrózkach oskarżycieli publicznych i nie zgnać się w swojej "zgniliźnie inteligenckiej", ale pogrążyć swoje "ja" w Prawdliwość, ale żyknąć gorącego wiatru proletariackiego i chwilejnym krokiem doganiać odpływającą w jasną przyszłość Przewodzącą Klasę. Zaś dla tych, którzy dogonili - druga pokusa: zmieścić się ze swym intelektem w Radosnej Tworczosci, takiej nie znają dzieje świata. Jak się tu nie podniecać!... Dzięki temu głębokiemu przeświadczeniu wielu inteligentów fizycznie ocalało, a nawet wydawało się, nie zostało złamanych duchowo, albowiem z całkowitą szczerością, zupełnie dobrowolnie poświęcili się oni nowej wierze. (I jeszcze długo potem wznosiły się w literaturze, w sztuce, w naukach humanistycznych - zaczarowane drzewa, i dopiero z upływem lat okazało się, że to stała jedynie pusta kora, a rdzenia nie było). Ten i ów sędzi na to "doganianie" Przewodzącej Klasy" śmiejąc się z siebie, obłud-

nie, już zrozumiewasz sens wyjazdów, ale po prostu ratując się fizycznie. Jest jednak rzeczą paradoksalną (a proces ten powtarza się dzisiaj na Zachodzie), że większość szła całkiem szczerze, w hipnozie, chętnie dając się zahipnotyzować. Prócz się stawał się łatwiejszy, uwierzytelniał się pasją dorastającej młodzieży inteligentkiej: ognioskrzydłe wydawały się jej prawdy zwycięskiego marksizmu - i przez całe dwa dziesięciolecia, do drugiej wojny światowej niosły nas te skrzydła. (Przypominam sobie jakąś anegdotę: jesienią 1941 roku, płonęła już śmiertelna wojna, próbowałem - któryż to już raz i wciąż bez powodzenia - zgłębić mądrości "Kapitału").

W latach dwudziestych i trzydziestych w sposób wzmożony zmieniał się i rozszerzał również sam skład dawnej inteligencji w stosunku do tego, jak rozumiała ona i widziała samą siebie.

Pierwsze naturalne poszerzenie objęło inteligencję techniczną ("specje"). Zre-sztą właśnie inteligencja techniczna, stojąca na twardym gruncie praktyki, realnie powiązana z przemysłem narodowym - nie mająca na sumieniu grzechu współczesności w okrucieństwach rewolucji, a zatem nie odczuwająca potrzeby składania głębokich uzasadnień Nowego Ustroju i garnięcia się do niego, inteligencja techniczna w latach dwudziestych okazała znacznie większy hart ducha niż inteligencja humanistyczna, nie śpieszyła się ona z uznaniem Ideologii: za jedynie możliwy światopogląd i dzięki niezależności swojej pracy utrzymała się ponadto fizycznie.

Istniały jednakże i inne formy rozszerzania - i rozkładu! - danego składu inteligencji, zdecydowanie sterowane procesy państwowe. Jeden to fizyczne zerwanie tradycji rodzin inteligentkich: dzieci inteligentów miały niemal zerowe prawa do studiów w szkołach wyższych (drogę do nich otwierało jedynie osobiste podporządkowanie się i przeobrażenie młodego człowieka: Komsomok). Inny - to pośpieszne utworzenie inteligencji "rabfaków" ze słabym przygotowaniem naukowym: "gorący" strumień proletariacko-komunistyczny. Trzeci - to masowe areszty "szkodników". Cios ten dotknął najbardziej inteligencję techniczną: po rozgromieniu jej mniejszości - śmiertelnie nastraszyć pozostałych. W sytuacji ogólnego zastraszenia w kraju proces szachtyński, proces Prompartii i kilka drobniejszych pomysłów osiągały swój cel. Od początku lat trzydziestych inteligencja techniczna była również doprowadzona do całkowitej uległości, lata trzydzieste były dobrą szkołą odnady nawet i wśród niej: posłusznie głosować na wiecach za dowolną egzekucją jakiejś zażądano, kiedy likwidowano brata, drugi posłusznie brał na siebie choćby nawet kierownictwo Akademii Nauk, nie było już takiego zamowienia wojskowego, które inteligenci rosyjscy odważyliby się ocenić jako niemoralne, rzucali się natychmiast do jego pośpiesznej i usłużnej realizacji.

Cios wymierzony był nie tylko w starą inteligencję, ale częściowo już także w inteligencję rabfaków, wybierał nieposłusznych i w ten sposób naginał pozostałą masę. Czwarty proces to normalne radzieckie uzupełnienia tymi, którzy przesłali całe swoje 14-letnie wykształcenie za władzy radzieckiej i genetycznie byli związani tylko z nią.

W latach trzydziestych dokonano się też nowe, już nie dające się opanować rozszerzenie "inteligencji": zgodnie z planem państwowym i potulną świadomością społeczną włączono do niej miliony urzędników państwowych, choć słuszniej byłoby powiedzieć - cała inteligencja została zaliczona do pracowników umysłowych, inaczej nikt wówczas nie mówił i nie pisał, w taki sposób wypędziano ankiety, na tej podstawie wydawano bonny na chleb. Cały ten surowy regulamin zagnał inteligencję do klasy urzędniczo-biurokratycznej, a samo słowo "inteligencja" zostało zamurowane, używano go jedynie w sensie obraźliwym. (Nawet wolne zawody były doprowadzone przez "związki twórcze" do stanu pozostających na służbie). Od tego też czasu inteligencja pozostawała w owym radykalnie rozszerzonym zakresie, wypaczonym znaczeniu i obniżonej świadomości. Kiedy zaś od końca wojny słowo "inteligencja" odzyskało częściowo swoje prawa, to już ogarniając również wielomilionowe mieszczanństwo - pracowników umysłowych, wykonujących każdą pracę kancelaryjną albo para-umysłową.

Kierownictwo partyjne i państwowe, klasa rządząca, nie pozwalały przed wojną wliczyć siebie ani z "pracownikami umysłowymi" (pozostawały one "robotnikami", ani tym bardziej z jakąś zgniłą "inteligencją", od której się skrupulatnie odgraniczały jako kość z kości "proletariatu". Jednak po wojnie, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, a jeszcze bardziej w sześćdziesiątych, kiedy przywiodła terminologia

"proletariacka", coraz bardziej zmieniając się na "radziecką", zaś z drugiej strony wybitni działacze inteligencji coraz częściej dopuszczani byli do kierowniczych stanowisk, zgodnie z technologicznymi potrzebami wszystkich rodzajów zarządzania - klasa rządząca pozwoliła również sobie nazywać "inteligencją" (nawet to wyraz w obecnym określeniu inteligencji w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej - "inteligencja" bez sprzeciwu przyjęła również i to rozszerzenie).

O ile przed rewolucją uznanie księdza za inteligenta było czymś potwornym, o tyle teraz jest rzeczą naturalną, że inteligentem mieni się agitator partyjny i politruk.

Tak więc nie uzyskawszy dokładnej definicji inteligencji przestaliśmy jak gdyby odczuwać potrzebę jej określenia. Przez słowo "inteligencja" rozumie się dzisiaj w naszym kraju całą warstwę wykształconą, wszystkich, którzy ukończyli więcej niż siedem klas.

Według słownika Dala wyraz kształcić w odróżnieniu od słowa oświecać oznacza: nadać jedynie poler zewnątrzny.

Jakkolwiek i ten poler jest u nas dość pośledniej jakości, można zgodnie z duchem języka rosyjskiego i poprawnie pod względem znaczeniowym ową warstwę wykształconą, wszystko, co samowolniczo albo pochopnie zwie się obecnie "inteligencją", określać mianem INTELIGENCTWO.

3

Stało się, a trudno dyskutować z historią: wpędzono nas w inteligencję, utopiono w niej (choć i sami daliśmy się wpędzić i utopić). Trudno dyskutować z historią, a tymczasem w duszy budzi się sprzeciw, brak zgody: czyż to możliwe, aby tak właśnie zostało! Już to przez pamięć przeszłości, już to przez nadzieję na przyszłość jesteśmy - inni!...

Niejaki Ałtajew (pseudonim, artykuł "Podwójna świadomość inteligencji i pseudokultura" w Nr 97 czasopisma "Wiestnik PSCHD") akceptując owo zwiększenie liczebności, rozmycia się inteligencji i jej zespolenie z biurokracją, mimo wszystko poszukuje czynnika, przy pomocy którego możliwe byłoby wydobycie inteligencji z rozrywającej ją masy: znajduje go we "właściwości gatunkowej", która zarówno przed rewolucją, jak i obecnie cechuje jakoby inteligencję, tak że można ją uznać za "definicję" inteligencji: jest to "unikalna kategoria osób", nie mająca analogii w innym kraju, obdarzona świadomością kolektywnego wyłączenia ze swej ziemi, swojego narodu i swojej władzy państwowej". Niezależnie nawet od sztuczności takiego określenia (i nie tak znów unikalnej sytuacji) można założyć sprzeciw, bo inteligencja przedrewolucyjna (w rozumieniu "Wiech") właśnie nie miała świadomości wyobcowania się z własnego narodu, przeciwnie - była przekonana o swojej niczym nie ograniczonej władzy wypowiedziania się w jego imieniu, a inteligencja współczesna zupełnie nie jest oderwana od współczesnego państwa i ci, co czują podobnie - w samotności albo w niewielkim gronie swoich najbliższych, w sposób tęskny, zgubny i pełen współczucia - nie tylko zachowują państwo całą swoją codzienną działalnością, ale przyjmują i wypełniają nawet najstraszniejszy warunek państwa - uczestniczą sercem w ogólnie przyjętym zakłamaniu. I co dalej? Można jeszcze zapewne pozostać "wyłączonym" oddając się jedynie ciałem, jedynie rozumem, jedynie wiedzą fachową, ale przecież nie sercem. Dawna inteligencja rzeczywiście przeciwstawiała się państwu aż do jawnego zerwania, do eksplozji - tak się też stało. O inteligencji dzisiejszej nawet sam Ałtajew pisze przecząc sobie, że "nie odważyła się za władzy radzieckiej wystąpić nie tylko dlatego, że nie dano jej tego zrobić, ale też w pierwszym rządzie dlatego, że nie miała z czynu wystąpić". Komunizm był jej własnym tworem... tym również idea terro- rów. W jej świadomości nie było zasad, które merytorycznie różniłyby się od zasad realizowanych przez reżim komunistyczny. Inteligencja sama współdziałała ze złem, ze zbrodnią, i to bardziej niż cokolwiek innego przeszkadza jej podnieść czoło. (Ale ułatwiło wejście w system kłamstwa). Jakkolwiek w formie dość nieoczekiwanej, inteligencja osiągnęła w istocie to samo, o co zabiegała przez wiele dziesięcioleci - i uległa bez walki. Jedynie cichaczem śsała po trochu tę pochie- chę, że "idea rewolucji były dobre, ale zostały wypaczone". I na każdym zakręcie historii pocieszała się nadzieją, że oto reżim wraca do zdrowia, oto zmieni się na lepsze i właśnie teraz nareszcie współpraca z władzą jest całkowicie uspra-



wiedliwiona. (Świetnie odszlifowanych przez Ałtajewa sześć pokus inteligencji rosyjskiej: rewolucja, "smienowiechostwo", socjalizm, patriotyzm; odwilż i technokratyzm, w ich kolejnym przejawianiu się, a następnie współistnieniu w każdym momencie współczesności).

Ulegliśny - aż do całkowitego upokorzenia, do duchowej samozagłady. I coż pozostaje nam, jak nie przezwisko INTELIWENCJTWO? Rzewne poczucie wyobcowania z państwa (gdzieś tak od lat czterdziestych), swojej niewolniczej egzystencji w obcych łapach - nie jest to cecha gatunkowa, constans, ale narddziny masowego protestu, narodziny skruchoy. A przez większość inteligencji jest przecieź najzupełniej uświadomione, przez jednych trwożliwie, przez innych obojętnie, przez innych wreszcie - wyniośle, owo wyobcowanie z obecnego narodu.

O tym, jak nie rozmyć się w inteligentwie, jak odciąć się od niego i uratować pojęcie "inteligencja", wiele pisze również G. Pomieranc (nie pseudonim, osoba autentyczna, znawca Wschodu, mający w Samizdacie cały tom esejów filozoficznych i artykułów publicystycznych): "najbardziej zdrowa część współczesnego społeczeństwa", "nie ma drugiej takiej warstwy".

Jednak również on staje speszony morzem inteligentwa: "pojęcie inteligencji jest bardzo trudno zdefiniować. W samym życiu inteligencja jeszcze się nie ustabilizowała". (Po 150 latach od Bielińskiego i Granowskiego nie ustabilizowała się, nie po wstrząsie rewolucyjnym). Pomieranc jest zmuszony do wyodrębnienia "lepszej części inteligencji", która nie jest nawet warstwą pośrednią, ale gromadką ludzi "właściwie inteligentkie jest jedynie małe jądro inteligencji", "wąski krąg ludzi zdolnych do samodzielnego ponownego odnajdywania świętości, wartości kultury", a nawet: "inteligentność to proces"... Proponuje on wogóle zrezygnować z zarysowania kontury, granic i zasięgu inteligencji, a wyobrazić sobie jak gdyby pola - następnie - "warstwę ożywioną inteligencji", a dalej - "nieożywioną inteligencję(?)" która jest jednak "bardziej wyróbiaona niż mieszczanstwo"(?!). (W starych wariantach tego samego samizdatowskiego artykułu Pomieranc dzielił inteligencję na "porządną" i "nieporządną", z takim dziwnym określeniem: "ludzie porządni szkodzą wolemiem i na tym polega cała ich odmiennosc", zaś nieporządni niby to z zadowolonej klasy, na styku "nieożywienia" i "mieszczanstwa", znajduje wyrazy pewności otwartego i księgowych - owych "tragarzy pracy umysłowej". Okazuje się jednak, że jego zdecydowana obrona stanowi raczej napaść na "lud": chodzi o udowodnienie, że trudniej jest odszukać błąd na liście płac niż w dusznej drobiarni. Skusne jest stwierdzenie, że praca jest kołchoźnicy pracować w - wypaczeni. Ja sam - wystarczająco długo pracując w szkole - mogę gorąco poprzeć te słowa, a nawet dorzucić jeszcze wiele kategorii zawodowych: technikow budowlanych, agrotechników, agronomów... Nauczyciele szkolni są ludźmi tak udręczonymi, załatanymi, skrzywdzonymi, a na dodatek jeszcze zyciowo biednymi, że nie pozostał im czasu, przestrzeni i swobody formułowania własnej opinii o czymkolwiek, a nawet zdobywania i konsumowania niepopsutej strawy duchowej. I to nie z powodu ich natury, nie z powodu niedokształcenia cała ta biedująca masa prowincjonalna ustępuje stopniem "ożywienia" uprzywilejowanej stołecznej warstwie naukowej, ale właśnie z powodu biedy i wyzucia z praw.

Jednak w niczym nie zmienia to beznadziejnego obrazu rozmytego inteligentwa, do którego standardowy dostęp ma najbardziej średnie wykształcenie.

Skoro oskarża się dzisiejszą klasę robotniczą o to, że jest nadmiernie uległa wobec prawa, obojętna na wartości duchowe, że całkowicie pograżyła się w troskach materialnych, zdobywaniu mieszkania, nabywaniu niegustownych mebli (a jakie są w sprzedaży?), grze w karty, w domino, oglądaniu telewizji, w pijatyce - to czyż wiele wyżej wniosło się inteligentwo, choćby nawet stołeczne? Droższe meble, koncerty na wyższym poziomie, koniak zamiast wódki? Ale hokej oglądany w telewizji - jest ten sam. Jeśli na peryferiach inteligentwa zabijanie się o zarobki stanowi środek utrzymania się przy życiu, to w promieniuującym jego centrum (szes-

naście stali i kilka miasteczek zamkniętych) obrzydliwie wysłała podporządkowanie jakichkolwiek idei i przekonani wyrachowanej pogoni za lepszymi i większymi stawkami, tytułami, stanowiskami, mieszkaniami, letniskami, autami (Pomieranie: "usługi to rakompensata za stracone nerwy"), a jeszcze bardziej - za delegacjami zagranicznymi! (Dopiero by się zdziwiła inteligencja przedrewolucyjna! A przecie! da się to wytłumaczyć: wrażenia, rozrywki, słodkie życie, wynagrodzenie w dewizach, możność nabycia kolorowych ciuchów... Myślę, że najbardziej podupadły inteligent przedrewolucyjny nie podaży z tego powodu ręki największej znakomitości z kręgu dzisiejszego inteligentstwa stołecznego. Jednak najbardziej znamienne dla mentalności inteligentstwa stołecznego jest jego pragnienie nagród, premii i tytułów, nie dające się porównać z oczekiwaniami klasy robotniczej i inteligentstwa prowincjonalnego - i sumy dodatków są wyższe, i jaki rezonans: "ludowy artysta"... "zasłużony laureat"... Dla uzyskania tego wszystkiego nie wstyd wyprostować się jak struna w nieskazitelnoci, zerwać wszystkie naganne znajomości, wykonywać każde życzenie zwierzchności zgodnie ze wskazaniami komitetu partyjnego, potępić kolegę listownie albo z trybuny, albo nie podając mu ręki.

Jeżeli to wszystko jest inteligencją, to czyż w takim razie jest mieszczanstwo?

Ludzie, których nazwiska niedawno odczytywaliśmy z ekranów, a którzy oczywiście uchodzili za inteligentów, niedawno wyjeżdżając na zawsze z tego kraju, nie wahali się rozbierać na części sekreter z czasów Katarzyny (wywóz antyków jest wabroniony), zbijali z nich na przemian ze zwykłymi deskami niezgrabne "meble" i wywozili w ten sposób za granicę. Język staje kokkiem, nim się wypowie słowo "inteligencja". Przepisy celne zatrzymują w kraju ikony jedynie sprzed XVII wieku. A z nowych organizuje się teraz całe wystawy w Europie i nie tylko państwo je tam sprzedaje...

Każdy, kto żyje w naszym kraju, płaci daninę dla podtrzymania przyjętego kłamstwa ideologicznego. Jednakże dla klasy robotniczej, a tym bardziej dla chłopstwa, owa danina jest minimalna, szczególnie po likwidacji corocznych wymuszanych pożyczek (nękających i przykrych przez swoją kłamliwą dobrowolność, przecież pieniądze można było zbierać w dowolny sposób), pozostało rzadkie głosowanie na zebraniu plenarnym, na którym nie nazbyt skrupulatnie sprawdza się obecność. Z drugiej strony niektórzy spośród zarządców państwowych i ideologicznych wdrażaczy szczerze wierzą w swoją Ideologię, wielu oddało się jej przez długotrwałą inercję i brak wiadomości, zgodnie z psychologiczną właściwością człowieka, aby posiadać światopogląd odpowiadający jego podstawowej działalności.

A inteligentstwo z centrum?... Doskonale dostrzega żałosność i zwiotczenie łgarstwa partyjnego, wśród swoich śmieje się z niego i w tym samym czasie cywnicznie, w "peñnych oburzenia" protestach i artykułach gromko i kwieciście powtarza to samo łgarstwo, jeszcze je rozwijając i unacniając środkami swojej elokwencji i stylu! W jaki sposób wykryto, że nie z kogo innego, jak z inteligencji rosyjskiej lat dwudziestych-trzydziestych ściągnięte zostało przez Orwella **PODWOJNE MYŚLENIE?** Od tego czasu owo podwojne myślenie uległo jedynie wykończeniu, stało się niezmiennym chwytem życiowym.

Pragniemy wolności, potępiamy (szeptem) każdego, kto by zwątpił w potrzebę i konieczność całkowitej wolności w naszym kraju (zapewne tak: nie dla wszystkich, ale niezawodnie dla centrum inteligentstwa. W XXIII liście do zjazdu partii Pomieranie proponuje utworzenie "inteligentckiego trzonu", posiadającego niezależną centrum teoretycznego, które udzielałoby rad ośrodkom administracyjno-partyjnym). Oczekujemy wolności, jak nagłego cudu, który raptem przydarzy się nam bez naszych starań, sami natomiast nie robimy nic dla zdobycia tej wolności. Gdzie się podziały dawne tradycje - wsparcia dla politycznych, nakarmienia uciekiniera, przygarńnięcia nie mającego paszportu, bezdomnego (można stracić posadę) - inteligentstwo centrum codziennie trzdzi się nad umocnieniem ogólnego więzienia. I nie pozwoli uznać tego za Jego winę! - natychmiast idą w ruch przygotowane, obmyślane, wyczelowane, wielosłowne usprawiedliwienia. Podstawienie nogi współpracownikowi, i chętnie są przyjmowane przez chór otaczających: gdyby tego nie zrobił ja (on) usunięto by mnie (jego) z tego stanowiska, a wyznaczono by kogoś gorszego! W ten sposób po to, aby zachować pozycję tego, co dobre dla ulżenia wszystkim - każde-

co dnia w sposób naturalny wypada wyrządzać zło niektórym ("ludzie porządni szkodzą bliźniemu jedynie z konieczności"). Jednakowoż ci niektórzy sami są winni: dlaczego tak rażąco nieostrożnie wychylili się przed zwierzchnośćią, nie mając o kolektywie? albo dlaczego ukryli swoją ankietę przed działem kadr - mając nadzieję na "ciężkie" całe kolektywy? Czełnow ("Więstnik RSOHD", Nr 97) dowcipnie nazwał postawę inteligentów krzywozwanym, przy którym pion wydaje się dziwną na pozór.

Głównym wszelako argumentem usprawiedliwiającym są dzieci. Wobec tego argumentu milkną wszyscy: któż ma prawo poświęcać materialny dobrobyt własnych dzieci dla abstrakcyjnej zasady szczerości?... To, że moralne zdrowie dzieci jest droższe od ich pozycji służbowej - nawet do głowy nie przychodzi rodzicom, którzy sami są poszkodowani pod tym względem. Jest rzeczą rozsądną, aby dzieci wyrósł na takich samych: pragmatycy na szkolnej ławie, pierwszorocznicy potalni wobec kłamstw nauczania politycznego, mądrze ważą, jak najłatwiej dostać się na konkurencyjne pole nauki. Pokolenie, które nie doznało prawdziwych prześladowań, ale jakie ostrożne! Ci zaś nieliczni chłopcy-nadzieja Rosji, którzy zwracają oczy ku prawdzie, są zazwyczaj wyklinani i nawet dręczeni przez swoich wściekłych zamężnych rodziców.

I trudno tłumaczyć inteligentów centrum - jak dawnych chrześcijan - tym, że jest podzielone na gminy, nie wie o wydarzeniach ogólnych, że jest gnębione lokalnie. Przez wszystkie lata inteligencja była wystarczająco informowana o tym, co się dzieje w kraju, ale odwracała się, bezwzględnie kapitulowała w każdej instytucji i gabinecie, nie troszcząc się o sprawę ogólną. Oczywiście z dziesięciolecia na dziesięciolecie naciskano w sposób bezprzykładny (ludzie Zachodu nie byli w stanie wyobrazić sobie, nim to do nich nie dotarło). Ludzie z dynamiczną inicjatywą, którzy odwoływali się do wszelkiego rodzaju pomocy społecznej i indywidualnej oraz poczynali twórczych, zgębiono uciskiem i strachem, a samą pomoc społeczną zapaskudżono państwową obłudną imitacją. I ostatecznie zrobiono tak, jak gdyby nie było trzeciego wyjścia: w czasie szczucia towarzysza pracy nikt nie śmie pozostać neutralnym, spróbowałby tylko - z miejsca stać się sam przedmiotem nagonki. A mimo wszystko ludzie znajdują wyjście nawet w tej sytuacji, no cóż, nagonka nas samych nie minie, cóż! niech moje dzieci choćby o suchym chlebie wyrosną na uczciwych ludzi. Gdyby taka była inteligencja, byłaby ona niezwykła.

A jest jeszcze szczególna kategoria - luminarzy, którzy tak niedoświadcznie i trwale ustawili swoje nazwiska, ochronnie otulone wszechzwiązkowym, a może nawet i światowym rozgłosem, że nie jest ich w stanie - w każdym razie w epoce poststalinowskiej - osiągnąć cios policyjny, jest to widoczne dla wszystkich i z bliska i z daleka, i trudno ich skazać na nędzę - zbierało się co nieco. Właśnie oni mogliby znowu ocalić honor i niezależność inteligencji rosyjskiej? Wystąpić w obronie prześladowanych, w obronie wolności, przeciw dzwiałej niesprawiedliwości, przeciw żalosnemu, narzuconemu kłamstwu?

Dwustu takich ludzi (a ich można naliczyć nawet pół tysiąca) przez samo pojawienie swoje i zdecydowaną postawę oczyściłoby atmosferę społeczną w naszym kraju a kto wie, czy nie zmieniłoby całego życia!

Wśród inteligentów przedrewolucyjnych właśnie tak czyniły tysiące, nie oczekując ochronnego rozgłosu. Czy doliczymy się ich pełnej dziesiątki w naszym inteligentwie? Pozostali - nie mają tej potrzeby! (Nawet jeżeli komuś rozstrzelali ojca, to nic, przełknijemy). Jak tedy można nazwać naszą gorę, tę, co stoi ponad inteligentwem?

W czasach Stalina za odmowę podpisania oszczerstwa gazetowego wyklinania, zadania śmierci i więzienia dla swojego towarzysza, rzeczywiście mogli grozić i śmierć i więzienie.

Dzisiaj wszakże - jaka groźba zmusza dzisiaj siwowłosą znakomitość do wzięcia pióra i po usłużnym zapytaniu "gdzie" podpisywania przez nią skomponowanych bredni przeciwko Sacharowowi? Jedynie własna nicość. Jaka siła zmusza wielkiego kompozytora XX wieku do tego, aby stać się żalosną marionetką trzeciorzędnych urzędników z ministerstwa kultury i zgodnie z ich wolą podpisywać dowolny nikczemny papier, broniąc kogo mu każą za granicą, szcując kogo każą - u nas? (Zetknął się kompozytor bez żadnego mędrkowania głębią swą duszy z ponurą fatalistyczną duszą XX wieku. Czy on ja, nie - to ona jego porwała z taką przejmującą autentycznością, że gdy w dziejach ludzkości - jeżeli! - nadejdzie bardziej pogodny wiek,

nasz potonkowie usłyszą poprzez muzykę Szostakowicza, że byliśmy już w szponach diabła, w jego absolutnym posiadaniu - a szpony te, i piekielny jego oddech, wydawały się nam piękne).

Czyż zdarzyło się w przeszłości tak żałosne postępowanie wśród wielkich wczorajnych rosyjskich, wśród wielkich artystów? Ich tradycja zaginęła, jesteśmy inteligentem.

Potrójny wstyd, że już nie strach przed represją, ale pokrętne podszepty próżności, zysku, pomyślności, spokoju zmuszają do podobnego zginania się "moskiewskie gwiazdy" inteligencji i średnią warstwę tych, co się "ustatkowali". Rację ma Lidia Czukowska: kogoś czas usunąć z inteligencji. Jeżeli nie tych, wszystkich - to słowo to ostatecznie straciło swój sens.

O, pojawili się niestety! - gotowi wystąpić w obronie burzonego starego budynku (byle nie świątyni), a nawet całego Bajkału. Dobrze i to oczywiście! W naszym zbiorze był przewidziany udział pewnego nieprzeciętnego człowieka, który tymczasem osiągnął wszystkie rangi i tytuły. w czasie prywatnych rozmów jego serce łka - nad bezpowrotną zagładą narodu rosyjskiego. Od podstaw zna naszą historię i kulturę. - odmówił: po co to? do niczego nie doprowadzi.

Zwykły wykręt godny inteligentstwa.....

Na co zasługujemy. Na jakim dnie vegetujemy.

Kiedy na górze pociągnięto za sznurek, że można odważnie (1956, 1962) ledwie rozprostowaliśmy zdętwiałe plecy. Kiedy pociągnięto "sza"! (1957, 1962), położyliśmy uszy po sobie.

Była też chwila spontaniczności: 1967-1968. Samizdat ruszył jak wiosenny przybór wód, mnożyły się nazwiska, nowe nazwiska wśród protestujących, wydawało się - jeszcze trochę, jeszcze odrobinę, a zaczniemy oddychać... czyż wiele było potrzeba, aby to stłumić. Pół setki najbardziej zachwiałych pozbawiono pracy w zawodzie. Kilku usunięto z partii, kilku ze związków zawodowych, a siedem tuzinów "podpisowaczy" wezwano na rozmowę do komitetu partyjnego i bladzi i zagubieni wracali z "rozmów".....

A najwłaściwsze swoje odkrycie, warunek swojego oddychania, odrodzenia i myślenia - Samizdat, inteligentstwo wypuściło pośpiesznie w czasie ucieczki. Czyż tak dawno wykształcenci uganiłi się za nowinkami Samizdata, napraszali się do przepisywania, zaczęli kolekcjonować samizdatowskie biblioteki? wysyłali je na prowincję?... Ale oto zaczęli palić te biblioteki, utrzymując w dziewięctwie naszy do pisania, najwyżej czasem w ciemnym korytarzu łapani wskazaną kartkę, przelitywali piatę przez dziesiątę i zaraz zwracali poparzonymi rękami.

Tak, wśród tych prześladowań ujawnił się niewątpliwy tron inteligencji. Ci, którzy nie przestali ryzykować i poświęcać siebie - otwarcie albo w głuchej kryjówce przechowywali niebezpieczne materiały, nieustraszenie pomagali uwięzionym albo sami przypłacali wolnością.

Lecz ujawnił się inny "tron", tych, co wykryli inną mądrość: uciekać z tego kraju! Czyżby ratując swoją niepowtarzalną indywidualność ("tam będę spokojnie rozwijał kulturę rosyjską")? Następnie, ratując tych, którzy pozostali "tam błądzący lepiej bronić waszych praw tu"). Wreszcie i własne dzieci, cenniejsze niż dzieci pozostałych rodaków.

Tak oto ujawnił się "tron inteligencji rosyjskiej", który może istnieć i bez Rosji.

Zresztą wszystko by nam zostało wybaczone, wywoływałoby tylko współczucie - i przytłaczające nas poniżenie i nasza służba kłamstwu, gdybyśmy w pokorze ducha uznali swą słabość, swe przywiązanie do powodzenia, swą duchową niegotowość do tych zbyt twardych prób i my - ofiary historii, która się działa przed nami, myśleć się już urodzili w niej i kłękniemy jej dosyć i oto szamoczemy się, nie wiemy, jak się wydostać.

Ale nie! W tej sytuacji wyszukujemy sprytnie a oszłamniające gornolotne argumenty, dlaczego musimy "osiągnąć duchową samoświadomość, nie porzucając swego instytutu Naukowo-Badawczego" (Pomierano) - tak jak gdyby "duchowa samoświadomość" była wynikiem rozumienia w zaciszu domowym, a nie surowego doświadczenia, a nie bezlitosnej próby. Mi trochę nie wyzbyliśmy się zarożumiałości. Obnosimy się z dziedziczną godnością inteligentów, ze swym prawem do tego, by być najwyższymi sędziami wszystkiego tego, co duchowe, tego, co się dzieje z krajem i z ludnością. W siedząc w bezpiecznej norze bezapelacyjnie oceniać teorie społeczne,

prawy, ruchu, kierunku historii i czynny onś działających. Już w holi instytutu Instytutu, odbierając palto, rosnieny o głowę, a wieczorem przy herbacie zostaje wydana ostateczna ocena, który z czynów i kosa "wybaczy" lub "nie wybaczy" interwencja. Obsarwując żalocne rzeczywiste zachowanie inteligentstwa z centrum na szubie radzieckiej trudno jest uwierzyć, na jakim historycznym piedestale widzi ono siebie: każdy siebie, przyjaciół i kolegów z pracy. Coraz większe zubożenie wiedzy zawodowej, umożliwiające uzyskiwanie nawet stopnia doktora nauk poizorantom, nie jest dla wykształconca powodem. najmniejszego nawet zażenowania. To wysokie mniemanie o sobie ma tak wielką władzę nad wszystkimi ludźmi wykształconymi, że nawet uparty demaskator Altajew między jednym a drugim oskarżeniem oddaje dół tradycji: "dziś (nasza) inteligencja w oczywisty sposób ma w swych rękach losy Rosji, a wraz z nią całego świata"!... Śmiecha warte... Ze względu na odpowiedzialność Rosji w porównaniu z dzisiejszym zdezorientowanym Zachodem - mogła być nie! - ale cóż, kiedy ręce są słabe, serce pika.

W roku 1969 ten napór zadowolenia z siebie inteligentstwa naukowo-technicznego wywodzi się do Samizdatu w postaci artykułu Siemiona Tielagina (oczywiście pseudonim) "Co robić?"

Nie ukrywa Tielagin i takich oto właściwości swego środowiska: "Jesteśmy ludźmi przyzwyczajonymi do tego, by myśleć jedną rzeczą, mówić - drugą, a robić trzecią... Totalna demobilizacja moralności dotknęła i nas. Chodzi o "potrójną dumę", a "potrójną moralność" - dla siebie, dla społeczeństwa, dla Państwa." Ale czy to jest skaza? Jesoły Tielagin twierdzi: "na tym polega nasze zwycięstwo!" Jak to? Otóż: władza chciałaby, byśmy z takim podporządkowaniem myśleli; z jakim mówimy na głos i, pracujemy, a tymczasem my myślimy - nieulękle! Obroniliśmy swą wewnętrzną wolność". (Zdumiewające: jeżeli figa, którą się potajemnie pokazuje - kieszoni, jest wolnością wewnętrzną - to co jest wobec tego niewolnictwem wewnętrznym? Nazwalibyśmy raczej wolnością wewnętrzną zdolność i do myślenia i do działania, niezależnie od więzów zewnętrznych a wolnością zewnętrzną to, że takich więzów w ogóle nie ma).

Śmiało w artykule Tielagina "Kwiat myślącej Rosji" adekwatnie i bardzo szczerze wyraził swoją postawę. Zapoznanie się z tymi poglądami może nas bardzo wzbudzić!

"Pod rotymem ucisku" wyrosła jakoby nowa kultura. "System stosunków i system myślenia", "kolos na dwóch nogach - sztuki i nauki". W dziedzinie sztuki? - gitaryści-trubadurzy i niezależna literatura samizdatowska. W dziedzinie nauki? - "potężna metodologia fizyki", a z niej - "cała filozofia życia", i oto już dziełki dwyscyplinarnych i lokalnych podkultur puszczają pędy w kreślarniach, na korwatarzach instytutów naukowych, w lokalach Instytutów Akademii Nauk. "Tu jest przestrzeń dla twórców. I oni są". Nauki nie uda się okiełznać żadnej władzy" (un, hm). I jeszcze można będzie zastosować metodologię fizyki do subtelności etyki. "(...) na tej podziemnej kulturze, jak na drożdżach, wyrosnie plenię nowych integralnych ludzi, gigantów, dla których nasze lęki będą śmieszne".

A dalej - śmiały plan, jak tę kulturę wykorzystać dla naszego ocalenia. Chodzi o to, że "otwarte występowanie przeciwko warunkom, w jakich żyjemy... nie zawsze jest naj lepszą metodą". "Zła zdem się nie poprawi", nie pomogą i nie są potrzebne "ani tajne spiski, ani nowe partie", nie wolno nawoływać do rewolucji.

Z tym ostatnim wnioskiem szczerze się zgadzamy, choć jeśli idzie o jego uzasadnienie, autor jest w błędzie: upadek samodzielnego przypisuje wyłącznie temu, że społeczeństwo odrzuciło ideę państwa, a nie żadnej działalności rewolucyjnej. Rzecz ma się inaczej, nie można tu pociągnąć paraleli: i działalność rewolucyjna była jak najbardziej autentyczna i samodzielną nie broniło się nawet w dziełkiej części tak wściekle i inteligencja była gotowa do poświęceń. Ale z wnioskiem praktycznym się zgadzamy: odrzućmy myśl o rewolucji, "nie snujmy planów utworzenia nowej masowej partii typu burżuazyjnego".

Więc - co? Otóż: "początkowo nie przewiduje się wielkich ofiar" (bardzo to uspakajające dla inteligentstwa). Pierwszy etap: nieakceptacja kultury gąbpicielei i "własne budownictwo kulturalne" (no czytać Samizdat i objawiać głębokie zrozumienie spraw w palarniach instytutów). Drugi etap: "wkładać wysiłek w upowszechnianie tej kultury wśród ludu"; a nawet "aktywnie nieść tę kulturę w lud" (metodologię fizyki? piosenki na gitarę?), "wnieść w lud zrozumienie tego, do czego sami doszli", a w tym celu szukać "metod okrężnych". Taka droga "będzie wy-

magala przede wszystkim nie odwagi (który to już raz ten balsam dla duszy!), lecz talentu przekonywania, rozjaśniania, umiejętności długiego i uwiecznionego powodzeniem przyciągania uwagi ludzi bez zwracania uwagi władz", "Rosji są potrzebni nie tylko trybunowie i bojownicy, lecz także... złośliwi krytycy, mistrzowski misjonarze nowej kultury". "Przecież znajdujemy z ludźmi wspólny język, rozmawiając o piłce nożnej czy łowieniu ryb - trzeba szukać konkretnych form pójścia w lud".

"I czyż jest możliwe, byśmy my, rozporządzając światopoglądem (itd) ... nie podolali zadaniu, które z powodzeniem rozwiązują półpiśmienni apostołowie religii?" (Niestety, niestety, nie chodzi o wiedzę i umiejętności, tu właśnie zrodziła się i pójście inteligentów pokazuje, czym jest, lecz o siłę duchową).

Tak obficie cytujemy, bo: nie samego Tielegina już, lecz wszystkich pewnych siebie ideologów inteligentów z centrum. Kogokolwiek z nich posłuchamy, słyszymy wciąż to samo: ostrożna praca uświadamiająca...

... Artykuł Czełnowa (RSChD, Nr 97) jest zatytułowany dokładnie tak samo, jak Tielagina, choć przecież się nie umówili: "Co robić?" Odpowiedź: "tworzyć tajne bractwa chrześcijańskie" - stawka na tysiącletnie już ulepszanie obywateli. L. Wiencow (RSChD, Nr 99) - "Myśleć" - to samo lekarstwo tielaginowskie. Na krótki okres rozmożyły się w Samizdacie czasopisma - "Płomień Wolności", "Siewca", "Wolna Myśl", "Demokrata" - wszystkie naturalnie ściśle konspiracyjne, i wszystkie mają jedną radę: byle tylko nie odsłaniać twarzy, nie naruszać konspiracji, lecz powoli upowszechniać wśród ludzi trafne rozumienie... A w jaki sposób? Wciąż ta sama tysiącletnia pastorałka, którą sto razy wyprzedzają wydarzenia wieku raketowego.

Tak się ładnie wykoncypowało: w norce snuć rozważania, rozważania oddawać do Samizdatu, a potem - s a m o s i ę z r o b i.

Otóż nie robi się.

W ciepłych, jasnych, wygodnie urządzonych lokalach instytutów uczeni z dyscyplin ścisłych i technicy, surowo potępiając braci humanistów za "wysługiwanie się reżymowi", przyzwyczaili się do tego, by sobie samemu wybaczać niewinną działalność służbową: a tymczasem nie jest ona wcale mniej straszna, i historia zażąda rachunku za nią nie mniej surowo.

...No, powiedzmy, że jutro stracimy połowę instytutów naukowych, najważniejszych i najbardziej tajnych - czy skończy się nauka? Nie, imperializm. "Stworzenie kultury antytotitarnej może doprowadzić do wolności w sferze rzeczy" - zapewnia Tielagin, ale jak to sobie można wyobrazić? Przez cały dzień pracy naukowcy (od czasu, kiedy nauka stała się przemysłem - w gruncie rzeczy wykwalifikowani robotnicy przemysłowi) produkują rzeczową, jeżeli nie "kulturę", to cywilizację i właśnie rzeczowo umacniają kłamstwo i wszędzie głosują i zgadzają się i powtarzają to, co nakazane - i jak tu taka kultura miałaby nas zbawić?

W ciągu lat, jakie minęły od chwili ukazania się artykułu Tielagina, było wiele okazji społecznych, by plemię gigantów chociażby palcem ruszyło, by choć raz oddech wydało z siebie... ale skąd! Podpisywali to, co trzeba, przeciwko Dubczekowi, przeciwko Sacharowowi, przeciwko każdemu według rozkazu, i pokazując figę w kieszeni, pedzili do palarni, by rozwijać "podkulturę dyscypliny" i "wykuwać potężną metodologię".

A może i psychiatrzy z instytutu Serbskiego żyją tą samą "potrójną moralnością" i są dumni ze swej "wolności wewnętrznej"? i niektórzy prokuratorzy (i wysocy sędziowie?) - są przecież wśród nich ludzie o wyrafinowanym intelekcie (na przykład L.N. Smirnow), wcale nie gorsi od gigantów Tielegina.

Przez to właśnie jest zwodnicza, przez to zmyłkowa ta pełna zadowolenia z siebie deklaracja, że bardzo blisko przechodzi koło prawdy, i to przemawia czytelnikowi do serca, a w niebezpiecznym punkcie ostro skręca w bok. "Ohne uns" - woła Tielagin. Skuszenie. "Nie przyjmować kultury gnębicieli!" - skuszenie. Ale: kiedy? gdzie? i w jakim aspekcie nie przyjmować? Nie w szatni po zebraniu, lecz na zebraniu - nie powtarzać tego, czego się nie myśli, nie głosować wbrew woli! I w tym gabinecie - nie podpisywać tego, czego się nie ułożyło samemu zgodnie ze swym sumieniem. Jaką tam znowu "kulturę" odrzucać? Żadnej "kultury" nikt nie narzuca, narzucają KŁAMSTWO i wszystkim, o co chodzi, jest to, by nie przyjmować kłamstwa, ale od zaraz, w tym momencie i w tym...

miejsca, gdzie je serwuje, a nie oburzać się wieczorem przy herbacie. Odrzucić kłamstwo - natychmiast i nie myśleć o konsekwencjach jeśli chodzi o pensję, rodzinę i wolne chwile przeznaczone na rozwijanie "nowej kultury". Odrzucić - i nie troszczyć się o to, czy za twoim krokiem pójdą inni, i nie oglądać się, kiedy się to rozszerzy na wszystkich.

I dlatego odpowiedź jest taka jasna, zawężona do takiej prostoty i prostoliniowości - wykręca się od niej z całą błyskotliwością krasomówstwa anonimowy ideolog wyniosłego, pospolitego i bezpłodnego plemienia gigantów.

I niech ten, kto nie jest w stanie podjąć ryzyka, oszczędzi nam w naszym brudzie, w naszym upodleniu swoich finezyjnych rozważań, oskarżeń i wskazówek na temat tego, skąd się biorą nasze rosyjskie ułomności!...

6

I jak przy tym inteligentwo z centrum rozumie swoje miejsce w kraju, w stosunku do swego narodu? Popełni błąd ten, kto przypuści, że odczuwa ono skruchę z powodu swego wysługiwaniania się.

Nawet Pomieranc reprezentujący całkiem inne środowisko stołecznego inteligentstwa - nieurządzonego, niekierowniczego, bezpartyjnego, humanistycznego, nie o-mieszka wygłosić pochwały "leninowskiej rewolucji kulturalnej" (burzyła stare formy produkcji, rzecz wielce cenna!), lub apologii sposobu rządzenia z lat 1917-1922) "czasowa dyktatura w ramach demokracji" I: "na despotyczny stosunek ze strony zwycięskich rewolucjonistów mieszczańin, ma się rozumieć, całkowicie za-ku-guje. Jego tchórzostwo, jego służalczość jest pożywką dla despotów". JEHO służal-czość, nie n a s z a!... A pod jakim względem inteligentwo z centrum wykazuje większą godność w swym zachowaniu niż tak zwany "mieszczańin?"

W głowie nawet nie postanie nikomu z piewców inteligentstwa ani z tych, którzy ją ganią, by mogła na niej ciążyć jakaś wina wobec ludu za przeszłość i za teraż-niejszość, to, co tak dręczyło inteligencję przedrewolucyjną. W tym względzie jest pełna jednolitość poglądów: Ałtajew rzeče: "Byłoby niezłe, by sam lud odczuł swo-ją winę wobec inteligencji".

Porównując siebie z ludem inteligentstwa z centrum wszystkie wnioski wyciąga na swoją korzyść! Pomieranc: "Inteligencja jest miernikiem sił społecznych - po-stepowych, reakcyjnych. Przeciwwstawiony inteligencji cały lud zlewa się w reakcyj-ną masę" (podkreślenie moje, A.S.).

7

(...) Obraz ludu odmalowany przez Pomieranca jest niestety pod wieloma wzglę-dami trafny. Podobnie jak my go teraz zapewne napełniamy śmiertelnym smutkiem, twierdząc, że nie ma już w naszym kraju prawdziwej inteligencji - wszystko rozto-piło się w inteligentwie - tak oni rani nas śmiertelnie głosząc, że ludu też już nie ma.

W jaki sposób mógł przetrwać lud? Przemocą wyrzucono z chat ikony i postuszeń-stwo wobec starszych, piece chlebowe i kołowrotki. Potem miliony chat - najlepiej urządzonych - całkiem spustoszone, zburzone lub wzięto pod marną opiekę, a pięć milionów chętnych do pracy zdrowych rodzin wraz z niemowlętami posłano na śmierć w drodze wśród zimy albo po przybyciu do tundry. I nasza inteligencja nie drgnę-ła, nie krzyknęła, a przodująca jej część nawet sama wypędzała. To właśnie wtedy przestała istnieć inteligencja; w 1930 roku, i czy to za tę chwilę ma lud prosić ją o przebaczenie? Mniej już było zachodu z doprowadzeniem do ruiny pozostałych chat i gospodarstw. Zabrano ziemię, która czyniła chłopą chłopem, pozbawiono ją gospodarza, tak jak się nie zdarzało nawet w czasach pańszczyźnianych, pozbawiono chłopca zainteresowania dla wszystkiego, co stanowiło jego pracę i życie. Jednych pogano do Magnitogorsków, innych - całe pokolenie bab, które też w rezultacie po-ginęły, zmuszono do karmienia maszyny państwowej przed wojną, w czasie całej wiel-kiej wojny i po wojnie. Wszystkie zewnętrzne sukcesy międzynarodowe naszego kraju i rozkwit obecnych tysięcy instytutów naukowych zostały osiągnięte w drodze roz-gromienia wsi rosyjskiej, rosyjskiego obyczaju. Wzamian za to do chat i brzydkich wielopiętrowych pudełek na miejskich peryferiach wprowadzono głośniki, co więcej, zainstalowano je na wszystkich centralnych słupach (w całej Rosji bębni to od go-

dziny szóstej do dwunastej do dwunastej w nocy, najwyższe znamię kultury, a spróbuj je zatkać - to będzie akt antyradziecki). I te głośniki dokończą dzieła: wybiły z głowy wszystko, co indywidualne, wszystko, co związane z folklorem, napchały rzeczy sztampowych, rozdeptały i zanieczyściły język rosyjski, wyrzuciły mnóstwo nieudolnych, pustych piosenek (układała je inteligencja). Dobito ostatnie wiejskie cerkwie, wydeptano i zapaskudżono cmentarze, z komсомolską zapalczywością wytopiono konie, spaskudżono, pocięto traktorami i pięciotonówkami wiekowe drogi, miękko wpisano w krajobraz. Gdzie i kto śmiał jeszcze tańczyć i wypłacać koronki?... A jeszcze naskano jako rarytas dla młodzieży wiejskiej szarżynę głupiutkich filmów (inteligent: "trzeba wypuścić, będą duże pieniądze od nakładu"), i to samo wepchnięto do podręczników szkolnych, i to samo do książek bardziej dorosłych (a kto je pisał, nie wiecie czasem? - żeby nowa świeżość nie wyrosła tam, gdzie wyrabano stary las. Jak czołgami zniwelowano całą historyczną pamięć ludową - Aleksandrowi Newskiemu pozwolono wstać bez krzyża, ale komuś mniej odległemu - nie): i jak się miał lud uchować?

Pochopny to jednak wniosek, że już nie ma ludu. Tak, rozpięzchnęła się wieś, a to co zostało, jest zaniedbane, tak, na przedmieściach - stukanie domina (osiągnięcie powszechnej piśmienności) i potłuczone butelki, nie ma strojów, nie ma korowodów, i język zepsuty, a tym bardziej wypaczona i fałszywie ukierunkowane myśli i dążenia - ale dlaczego nawet te potłuczone butelki, nawet te brudne papiery, które wiatr przewiewa po podwórkach miejskich, nie napełniają taką rozpaczą, jak służbowa obłuda inteligentstwa? Dlatego, że lud w swej masie nie uczestniczy w oficjalnym fałszu, i to jest dzisiaj główny znak, który pozwala mieć nadzieję, że Bóg nie opuścił go jeszcze całkiem, jak mu to zarzucają. A przynajmniej zachował niewypalone, niewydeptane miejsce w sercu.

Pochopny jest też wniosek, że nie ma inteligencji. Każdy z nas osobiście zna choćby kilku ludzi, którzy stanowczo wznieśli się i nad tym fałszem i nad zapobiegliwą krzataniną. I ja się całkowicie zgadzam z tymi, którzy chcą widzieć, wierzyć, że już widzą swoisty tron inteligencji - naszą nadzieję na odnowę duchową. Tylko, że ja bym chętnie różpóżnawał i odgraniczał ten tron ze względu na inne cechy: nie ze względu na liczbę wydrukowanych książek, nie ze względu na osiągniętą wiedzę naukową, nie ze względu na szczybel wykształcenia "tych, co się przyzwyczaili do tego, by myśleć, i lubią myśleć, a nie orać ziemię", nie ze względu na naukowość metodologii, katwo stwarzającej "podkulturę dyscyplinarne", nie ze względu na oderwanie od państwa i od ludu, nie ze względu na przynależność do duchowej diaspory ("wszędzie nie całkiem swoi"). Lecz ze względu na czystość dążeń, ze względu na duchowe samozaparcie - w imię prawdy, a przede wszystkim - dla tego kraju, w którym się żyje. Trzon wychowany nie tyle w bibliotekach, ile w próbach duchowych. Nie ten tron, który pragnie się uważać za tron, nie rezygnując z wygód życia inteligentstwa z centrum. Dostojewski marzył w roku 1877 o tym, by pojawiła się w Rosji "młodzież skromna i dzielna". Ale wtedy zaczęły się pojawiać "biesy" - i widzimy, dotąd doszliśmy. Jednakże mógł być świadkiem, który na własne oczy widział w ostatnich czasach, na własne uszy słyszał tę skromną i dzielną młodzież - to ona trzymała mnie jak niewidzialna taśma nad pozorną pustką, w powietrzu, nie pozwalając upaść. Nie wszyscy oni są dziś na wolności, nie wszyscy zachowują ją jutro. I wielu z nich pozostaje nam nieznanymi: jak strumyki wiosenne płyną gdzieś pod grubą warstwą szarego gęstego śniegu.

Tak bezpiecznie i wesoło, jak nam to obiecują, nie porzucając instytucji naukowych, w czasie weekendów i w wolnych chwilach nie da się ułożyć "stosu pacierzowego nowego ludu". Nie - to trzeba będzie robić w dniu powszednim, w głównym nurcie naszego bytowania, na najniebezpieczniejszym odcinku, a przy tym każdy to będzie musiał robić w lodowatej samotności.

Spółczeństwo tak ukonne, współwinne tylu zbrodni poławicza, tak zabrudzone - kłamstwem, serwilizmem radosnym lub wymuszonym, gorliwym pomocnictwem lub tchórzliwym bezruchem - takie społeczeństwo nie może dojść do zdrowia, nie może się oczyścić inaczej niż przechodząc przez filtr duchowy. A ten filtr jest straszny, gęsty, drobny, ma dziurki jak ucha igielne - na jednego. Przejście w przyszłość duchową jest otwarte tylko dla każdego osobno, przez przeciskanie się!

Przez świadomą, dobrowolną ofiarę.

Zmieniają się czasy - zmieniają się miary. 100 lat temu wśród inteligentów



rosyjskich uważało się za ofiarę pójście na stracenie. Teraz wydaje się ofiarą, a pójść na ryzyko kary administracyjnej. I ze względu na potworność zastraszonych charakterów to nie jest rzecz łatwiejsza, rzeczywiście.

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach (jednoczesna wielość porywu ofiarnego) trzeba będzie stracić nie kawior w muzeum, jak ostrzega Fouierano ale pomarańcze, ale masło śmietankowe, którym tak sprawnie handlują w ośrodkach naukowych. Triumfowali złośliwi krytycy, że w "Kręgu pierwszym" obnażyłem za pomocą przysłowia "dla kapuśniaku ludzie się żenią, dla mięsa wychodzą za mąż", "niski poziom miłości u ludu", że niby my kochamy się i żenimy tylko na poziomie Romeo! Ale przysłów rosyjskich jest dużo, dla różnych odcieni i sytuacji. Jest i takie:

"Chleb i woda to jedzenie zuchów".

Właśnie na takim jedzeniu będziemy musieli pokazać poziom swojej miłości do tego kraju i jego białych brzózek. A kochać je oczyma to mało. Trzeba będzie zagospodarować srogi Północny Wschód i będą musiały jechać nasze ukochane inteligentkie dzieci, nie można będzie czekać, aż mieszczaństwo pojedzie przodem. I wszystkie ładne rady anonimowych autorów - konspiracyja, konspiracyja, "tylko nie wystąpienia w pojedynkę", tysiącletnie uświadamianie i potajemne rozwijanie kultury - to wszystko zawracanie głowy. Z naszej obecnej nienawistnej amorficzności nie pozostało nam żadne przejście w przyszłość oprócz otwartej osobistej i przeważnie publicznej (by dać przykład) ofiary". Ponownie odkrywać świętości i wartości kultury trzeba będzie nie erudycją, nie profilem naukowym, lecz modelem zachowania duchowego, oddając swoją pomysłność, a przy złym obrocie sprawy - nawet życie. I kiedy się okaże, że cenzus wykształcenia i liczba publikacji naukowych nie ma tu nic do rzeczy - ze zdziwieniem poczujemy, że stoimy obok tak pogardzanych "półniepiemiennych apostołów religii".

Słowo "inteligencja", dawno wypaczone i wytarte, uznajemy lepiej na razie za zmarłe. Bez zmiany inteligencji Rosja się oczywiście nie obejdzie, ale to nowe słowo będzie utworzone nie od "rozumie", "wiedzieć", lecz od czegoś duchowego. Pierwsza mała mniejszość, która się będzie przeciskać przez ścisnąjący filtr, sama znajdzie dla siebie nowe określenie - jeszcze w filtrze albo już po drugiej jego stronie, poznając siebie i poznając się wzajemnie. Tam zostanie poznane, narodzi się w toku ich działania. Albo też pozostała większość nazwie ich po prostu sprawiedliwymi (w odróżnieniu od "prawdźistów"). Nie omylny się nazywając ich na razie elitą ofiarną. Tu słowo "elita" nie wywoła niczyjej zazdrości, bardzo nie do pozazdrośnięcia jest dobre do niej, nikt nie złoży zażalenia, że go nie włączono: włączaj się, proszę bardzo!

Z jednostek, które przeszły (i w drodze zginęły), powstanie ta elita, krystalizująca lud.

Filtr stanie się dla każdej kolejnej cząsteczki co raz przestronniejszy i łatwiejszy - i co raz więcej cząsteczek będzie przezeń przechodzić, by po tamtej stronie z jednostek godnych powstał i odrodził się godny lud (to swoje rozumienie ludu już przedstawiłem). By zostało zbudowane społeczeństwo, którego pierześcią będzie nie współczynnik produkcji towarowej, nie poziom obfitości, lecz czystość stosunków społecznych!

A innej drogi stanowczo dla Rosji nie widzę.

I pozostaje tylko opisać budowę i działanie filtru.

Postrojni będą się z nas śmiać: jaki nieśmiały i skromny krok oceniamy jako ofiarę. Na całym świecie studenci okupują uniwersytety, wychodzą na ulicę, nawet obalają rządy, a studentów spokojniejszych niż nasi nie ma na świecie: jest powiedziane - zajęcia polityczne, palt w szatni nie wydawać, i nikt nie wyjdzie. W 1962 ruch był w całym Nowoczerkasku, ale w domu studenckim Politechniki zamknięto drzwi na klucz - i nikt nie wyskoczył z okna! Albo też: głodni "indusi" wzwołili się spod anielskiego panowania nie sprzeciwianiem się znużonej przemocy, nieposkuszeństwem cywilnym - ale i do takiej szalenczej brawury nie je tęsny zdolni - ani klasa robotnicza, ani inteligentstwo, nas Stalin-ojciec nastraszył na trzy pokolenia naprzód: jak można nie wykonać jakiegoś zarządzenia władz? to już jest samozagłada ostateczna.

I jeżeli napiszemy dużymi literami, na czym polega nasz egzamin na człowieka NIE KŁAMAĆ! NIE UCZESTNICZYĆ W KŁAMSTWIE! NIE POKIERAĆ KŁAMSTWA! to będą się z nas śmiać już nie tylko Europejczycy, ale studenci arabscy i rikszarze cejlońscy: to tylko tyle się bada od Rosjan? I to ma być ofiara, śmiały krok? A nie po prostu cecha uczciwego człowieka, nie łobuza?

Ale niech się śmieją grzyby z innej kobiałki, a ten, kto się dusi w naszej, wie: to jest naprawdę bardzo śmiały krok. Bo codzienne kłamstwo u nas to nie kapryśna zdemoralizowanych natur, lecz forma istnienia, warunek codziennej pomilności każdego człowieka. Kłamstwo jest u nas włączone do systemu państwowego jako najważniejsze spoidło; jako miliardy umacniających haczyków, na każdego wypada nie jeden dziesiątek.

Właśnie dlatego tak nam ciąży życie. Ale właśnie dlatego jest też dla nas rzeczą tak naturalną wyprostować się! Kiedy duszą bez kłamstwa - dla wyzwolenia, potrzebne są środki polityczne. Ale kiedy wbite w nas pazury kłamstwa - to to już nie jest polityka! To jest wiarcie się do świata moralnego człowieka; i nasze wyprostowanie się - ODMOWA KŁAMSTWA - też nie jest polityką, lecz zwrotem do własnej godności ludzkiej.

Co jest ofiarą? - latami całymi rezygnować z prawdziwego oddychania, kakać smrod? Czy też - zacząć oddychać, tak jak pozwolono człowiekowi ziemskiemu? Jaki cywik chce wyrazić sprzeciw takiej linii postępowania: NIEUCZESTNICZYSTWO W KŁAMSTWIE!?

Odpowiedzą tu oczywiście i to pomysłowo; a co to jest kłamstwo? I któż ma ustalić dokładnie, gdzie się kończy kłamstwo, gdzie się zaczyna prawda? A w każdej historycznie konkretnej sytuacji dialektycznej itd. jak już pół wieku wykręcają się kłamcy.

A odpowiedź jest najprostsza: tak, jak rzecz widzisz ty sam, jak ci łączy twoje sumienie. I na długo tyle wystarczy. W zależności od horyzontów, od doświadczeń życiowych, wykształcenia, każdy widzi, rozumie granicę społeczno-państwowego kłamstwa po swojemu: jeden - jeszcze bardzo daleko od siebie, drugi - jako smutek, który już przeciera szyję. I tam, gdzie uczciwie widzisz tę granicę ty-tam też nie poddawaj się kłamstwu. Od tej części kłamstwa oddal się, którą widział w sposób niewątpliwy, jawny. A jeżeli szczerze nie widzisz kłamstwa nigdzie - to żyj sobie spokojnie dalej, tak jak przedtem.

Co to znaczy - nie kłamać? To jeszcze nie znaczy - głosić prawdę otwarcia (strach). To nie znaczy nawet - po głosem wrzucić to, co się myśli. To znaczy tylko: nie mówić tego, czego się nie myśli, ale już ani szeptem, ani na głos, ani przez podnieśnięcie ręki, ani przez wrzucenie głosu, ani podrabianym uśmiechem, ani obecnością, ani wstawaniem, ani oklaskami.

Dziedziny pracy, dziedziny życia są różne dla każdego. Pracownicy dziedzin humanistycznych i wszyscy uczący się muszą kłamać i uczestniczyć w kłamstwie częściej i bez takich możliwości wymknięcia się, jak gdzie indziej, kłamstwo to jest ogrodzone ze wszystkich stron. W naukach technicznych można z pewnością odsunąć się od kłamstwa, ale i tu nie ma dnia by się nie natknąć na takie drzwi, takie zebrańskie, taki podpis, takie zobowiązanie, które są tchorzostwem, poddaniem się kłamstwu. Kłamstwo otacza nas i w pracy i w drodze i w wolnych chwilach, we wszystkim, co widzimy, słyszymy i czytamy.

I jak różnorodne są formy kłamstwa, tak różnorodne są też formy uchylania się od niego. Ten, kto nastawi swe serce na twardość i otworzy oczy na maski kłamstwa - ten w każdym miejscu, w każdym dniu i w każdej godzinie zorientuje się, jak należy się zachować.

Jan Palach spalił się. To była nadzwyczajna ofiara. Gdyby nie była izolowana - poruszyłaby z miejsca Czechosłowację. Izolowana - będzie tylko nieśmiertelna. Ale tak wiele - nie trzeba od każdego człowieka, od ciebie, ode mnie. Nie trzeba też będzie iść po miotacze ognia, rozpędzające demonstracje. Tylko oddychać. Tylko nie kłamać.

I nikt nie będzie musiał być pierwszy, bo "pierwszych" jest już wiele setek, myślicznych tylko wskutek ich cichości nie zauważamy. (A tych, którzy cierpią za religie, tym bardziej, zresztą im przystoi pracować w charakterze sprzątaczek, stróżów). Z samego trzonu inteligencji mogą wymienić nie jeden dziesiątek ludzi, którzy już dawno tak żyją - latami całymi!!!! - żyją. I rodzina nie wynarła. I dach nad głó-

wą jest. I jest coś na stole.

Tak strach! Dziurki filtru z początku są takie wąskie, takie wąskie - czyż człowiek mający duże potrzeby może się wcisnąć w taką szczelinę!? Ale muszę tu uspokoić czytelnika: to tylko przy wejściu, na samym początku. I potem te dziurki szybko stają się luźniejsze, i już przestają tak ścisnąć, a potem w ogóle zacisk ustaje. Tak, oczywiście! To będzie kosztować: przerwana dysertacja, zabrany stopień, degradacja, zwolnienie, wykluczenie, a nawet niekiedy wysiedlenie. Ale w ogień nikt nie rzuci i nie rozjedzie dzołgiem. I dach nad głową będzie, i będzie co jeść.

Ta droga jest najbezpieczniejsza, najdostępniejsza dla każdego przeciętnego człowieka spośród wszystkich możliwych dróg stojących przed nami. Ale jest też najbardziej skuteczna! Właśnie my, i tylko my, znający nasz system, możemy sobie wyobrazić, co się będzie działo, kiedy tą drogą podażą tysiące i dziesiątki tysięcy - jak się oczyści i przeobrazi nasz kraj bez strzałów i bez krwi.

Ale ta droga jest też najbardziej etyczna: zaczynamy wyzwolenie i oczyszczenie od własnej duszy. Jeszcze zanim oczyścimy kraj, oczyścimy się sami. I to jest jedynie właściwa kolejność historyczna, bo po co oczyszczać powietrze kraju, jeżeli się na samemu pozostać w brudzie?

Powie ktoś: ale szkoda młodzieży! Przecież jeżeli się na egzaminie z nauk społecznych nie wygłosi obowiązkowego kłamstwa, to dwójka, wyrzucenie z instytutu, przerwane studia i życie.

W jednym z artykułów naszego zbioru jego autor zastanawia się nad tym, czy na pewno właściwie rozumiemy i realizujemy to, co powinno się dziać w nauce. Ale i tak: utrata wykształcenia to nie największa strata w życiu. Straty na duszy, zepsucie duszy, na które się beztrąsko zgadzamy od młodych lat są bardziej nie do naprawienia.

Szkoda młodzieży? Ale czyjaż jest przyszłość, jeżeli nie ich? Spośród kogo ma wyjść elita ofiarna, na którą czekamy? O kim myślimy z udręką patrząc w przyszłość? Jesteśmy starzy. Jeżeli oni sami sobie nie zbudują uczciwego społeczeństwa, to go nigdy nie zobaczą!

Styczeń 1974 r.

## PRZYPISY

- 1/ Artykuł Aleksandra Sołżenicyna zamieszczony w zbiorze pt. "iz-pog skrb (Spod gładów). Paris: YMC - PRESS 1974, s.217-259. Tytuł rosyjski - "Obrazowanszczina" - jest neologizmem. Nasuwa on wielorakie możliwości przekładu, spośród których tłumacze uznali za odpowiednik najbardziej adekwatny wyraz zaproponowany. Jednocześnie wszakże zmuszeni byli oddać rzadko występujące rosyjskie wrażenia pochodne w inny sposób: obrazowanie - za pomocą wykształcenie..... obrazowanskij - inteligencki. (przyp. tłum.).
- 2/ Wiechi. Sbornik statiej o russkoj intelligencii: almanach wydany w marcu 1909 roku przez pisarzy, filozofów, publicystów związanych z programem politycznym partii konstytucyjnej demokracji (kadeci!), w gronie których znaleźli się m.in. N.A. Bierdiajew, S.N. Bułhakow, M.O. Gierszerzon, A.S. Izgojew, B.A. Kistiakowski, P.B. Struwe, S.L. Frank. Redaktorem almanachu był P.B. Struwe. Wydawnictwo czterokrotnie wznawiana w ciągu roku wywołała burzliwą dyskusję na łamach prasy. (Przyp. tłum.).
- 3/ Smiena wiech: ruch literacko-polityczny nawiązujący do tradycji "wiech", z którego organem "Wakanunie" (w przededniu) wydawanym na początku lat dwudziestych w Berlinie współpracowało kilku pisarzy rosyjskich, m.in. A.N. Tokstoj, M. Bułhakow, I. Erenburg (Przyp. tłum.).
- 4/ Na przykład "Rosyjskie odrodzenie religijne XX wieku" (Russkij religioznyj rieniessans XX wieku) N.Ziernowa.
- 5/ Rabfak (raboczij fakultiet): kursy dokształcające dla robotników.
- 6/ Owo nieprzytomne oddanie się sprawie zamówień państwowych w sposób przejrzysty uwidocznione zostało w niedawnej publikacji Samizdatu "Tupolewowskie oddziały obozów pracy". Nie ominięło ono również innych wybitnych postaci.
- 7/ Wszystkie cytaty z Pomieranca tu i dalej pochodzą głównie z artykułów "Człowiek znikąd" i "Kwadrilion".
- 8/ W Samizdacie redakcje są płynne. I potem Tielegin zmienił zakończenie. Pojawiło się: "Pierwsze etapy - bojkot, nieuczestnictwo, ignorowanie". Ignorowanie to stale ta sama figa, no a właśnie nieuczestnictwo, gdzie ono jest?...
- 9/ Poczwiennicy: nazwa pewnego nurtu w pozytywizmie, który widział przyszłość Rosji w pracy od podstaw i kultywowaniu dawnych tradycji chłopstwa rosyjskiego. (Przyp. tłum.).

LIST VACLAV HAVELA DO GUSTAWA HUSAKA<sup>X</sup>

Szanowny Pan  
Dr Gustaw Husak  
Sekretarz Generalny KC KPCz  
Praga

Szanowny Panie Doktorze,

W naszych fabrykach i urzędach święci triumfy dyscyplina pracy, trud obywatelski przynosi widoczne rezultaty w postaci powolnego, lecz stałego wzrostu stopy życiowej, ludzie budują sobie domy, kupują samochody, paodzą dzieci, bawią się, żyją.

Wszystko to oczywiście nie musiało by jeszcze znaczyć zbyt wiele, jako dowód trafności bądź niefortunności Pańskiej polityki: po każdym fermentie społecznym ludzie koniec końców zawsze wracają do powszechnej pracy, ponieważ chcą przecież żyć. Ostatecznie robią to mając na względzie samych siebie, nie zaś takie czy inne kierownictwo państwa.

Jednakże ludzie bynajmniej nie ograniczają się do tego, że chodzą do pracy, robią zakupy i żyją jak umieją. Robią więcej: podejmują liczne zobowiązania produkcyjne, które wykonują i przekraczają, jak jeden mąż uczestniczą w wyborach i jednocześnie głosują na zaproponowanych kandydatów, aktywnie pracują w rozmaitych organizacjach społecznych, biorą udział w zebraniach i manifestacjach, wyrażają poparcie dla wszystkiego, dla czego powinni, nigdzie nie można zauważyć ani cienia dezaprobaty dla jakichkolwiek poczynań rządu.

Nad tymi zaś faktami nie można już tak lekko przejść do porządku, wydaje się, że czas już, żeby zadać poważne pytanie: czy wszystko to nie stanowi potwierdzenia, że udało się Panu pomyślnie zrealizować program, który wytyczyło sobie Pańskie kierownictwo: mianowicie zdobyć poparcie ludności i skonsolidować sytuację w kraju?

Odpowiedź zależy od tego, co rozumiemy pod pojęciem konsolidacji.

Jeżeli za jedyne kryterium przyjmujemy liczby z różnych statystyk oraz z urzędowych sprawozdań i policyjnych meldunków o aktywności politycznej obywateli i tym podobnych rzeczach, istotnie, trudno nam będzie wątpić w pełną konsolidację.

Co stanie się jednak, gdy przez konsolidację będziemy rozumieli nieco więcej - rzeczywisty stan wewnętrzny naszego społeczeństwa? Gdy zaczniemy dopytywać się także o inne sprawy, subtelniejsze zapewne i nie tak łatwe do podliczenia, lecz mimo to przecież nie mniej ważne - a więc o to, co naprawdę, widziane na gruncie osobistych doświadczeń ludzi, ukrywa się za tymi liczbami? Gdy postawimy również takie pytanie, jak np. czego dokonano w kierunku moralnego i duchowego odrodzenia społeczeństwa, dla rozwoju prawdziwie ludzkich warunków życia, dla wzrostu godności jednostki ludzkiej, dla rzeczywistości wolnej i autentycznej samorealizacji człowieka w otaczającym go świecie? Co stwierdzimy, gdy idąc tą drogą przestaniemy zważać na oczy zespół zjawisk zewnętrznych i skierujemy uwagę na ich wewnętrzne przyczyny i konsekwencje, ich powiązania i znaczenia, krótko mówiąc, na całą tę bardziej ukrytą płaszczyznę rzeczywistości, na której dopiero mogłyby owe zjawiska nabrać wspólnego, ludzkiego sensu? Czy również wtedy będziemy mogli uważać nasze społeczeństwo za skonsolidowane?

Poważę się twierdzić, że absolutnie nie. Poważę się twierdzić, że - wbrew wszelkim zewnętrznym, przyjemnym się prezentującym faktom - wewnętrznie nasze społeczeństwo nie tylko wcale nie jest skonsolidowane, lecz przeciwnie, pograża coraz głębiej w kryzysie, w kryzysie pod pewnymi względami niebezpieczniejszym

X/ Autor niniejszego listu, dramaturg i prozaik Vaclav Havel, jest jednym z czołowych sygnatariuszy Karty 77, zbiorowej petycji, domagającej się od władz czechosłowackich respektowania ustawy wewnętrznych i ratyfikowanych przez CSRS aktów międzynarodowych, poręczających prawa człowieka i obywatela. Upływ czasu nie zmniejszył w zasadzie aktualności spostrzeżeń Havela, mających - jak się wydaje - zasięg wykraczający poza granice jego ojczyzny.

od wszystkich, jakie pamiętamy z naszej historii nowożytnej.

Spróbuję uzasadnić to moje twierdzenie.

Główne pytanie, które należy zadać, brzmi: dlaczego właściwie ludzie zachowują się, jak się zachowują, dlaczego robią to wszystko, co w sumie składa się na owo imponujące wrażenie totalnie jednolitego społeczeństwa, totalnie popierającego swój rząd? Myślę, że dla każdego nieuprzedzonego obserwatora odpowiedź jest oczywista: pcha ich do tego strach.

Ze strachu przed utratą posady nauczyciel uczy w szkole rzeczy, w które nie wierzy, ze strachu o swą przyszłość uczeń je po nim powtarza, że nie będzie mógł kontynuować nauki, młody człowiek zapisuje się do związku młodzieży i robi w nim wszystko co trzeba, ze strachu, że jego syn lub córka nie otrzyma, chcąc dostać się do szkoły, potrzebnej liczby punktów w potwornym systemie polityczno-punktowym, ojciec podejmuje się najrozmaitszych funkcji i piastując je wykonuje "dobrowolnie" wszystko, czego od niego żądają. Ze strachu przed ewentualnymi konsekwencjami ludzie uczestniczą w wyborach, głosują na zgłoszonych kandydatów i udają, że uważają ten obrzęd za prawdziwe wybory, ze strachu o byt, pozycje i karierę chodzą na zabrania, gdzie głosują za wszystkim, za czym powinni, albo przynajmniej milczą, ze strachu składają różne poniżające samokrytyki, kają się i nieprawdziwie wypełniają kupę poniżających kwestionariuszy, ze strachu, że ktoś na nich doniesie, nie ujawniają publicznie - a często nawet w zaciszu domowym - swych prawdziwych poglądów. Ze strachu przed pogorszeniem warunków materialnych, w dążeniu do polepszenia swojej pozycji i przypodobania się wyższym instancjom pracownicy w większości wypadków podejmują swe zobowiązania produkcyjne, te same motywy powodują, że zakładają nawet często brygady pracy socjalistycznej, z góry dobrze wiedząc, że głównym ich zadaniem będzie... aby wymieniono je w sprawozdaniach dla władz wyższych. Ze strachu chodzą ludziska na różne oficjalne akademia, manifestacje i pochody. Ze strachu, że umożliwi się im dalszą pracę, liczni uczeni i artyści podpisują się pod ideami, w które w istocie nie wierzą, piszą rzeczy, których nie myślą albo, o których wiedzą, że są niezgodne z prawdą, wstępują do oficjalnych organizacji, uczestniczą w tworzeniu prac, o których wartości mają jak najgorsze zdanie, bądź też sami przykrywają i deformują swe dzieła. Dążąc do uratowania własnej skóry wielu z nich donosi nawet na innych, że robili to, co sami robili razem z nimi.

Strachu, o którym mówię, nie należy jednakże wyobrażać sobie jak strachu w potocznym sensie psychologicznym, tzn. po prostu jako pewnej konkretnej emocji: większość ludzi, których widzimy wokół siebie, nie trzęsie się ze strachu jak osiki - sprawiają raczej wrażenie zadowolonych i pewnych siebie. Chodzi o strach w sensie głębszym, rzekłbym: etycznym. Mianowicie o bardziej lub mniej świadomą partycypację w zbiorowej świadomości trwałego i wszechstronnego zagrożenia, o troskę o to, co jest lub mogłoby być zagrożone, o powolne przyzwyczajanie się do tego zagrożenia jako do substancjalnego składnika naturalnego świata, o coraz szersze, coraz bardziej uważane za oczywistość i coraz zręczniejsze opanowywanie różnych form zewnętrznego dostosowywania się - jako jedyne skutecznego sposobu samoobrony.

Strach nie jest naturalnie jedynym materiałem budowlanym, z którego wzniesiona jest obecna struktura społeczna.

Jest jednak materiałem głównym, podstawowym, bez którego nigdy nie można by było osiągnąć tej zewnętrznej jedności, dyscypliny i jednomyślności, na której oficjalne dokumenty opierają swoje twierdzenia o skonsolidowaniu sytuacji w kraju.

Pojawia się wszakże pytanie: a czegoż się ci ludzie właściwie boją? Procesów? Tortur? Straty majątku? Deportacji? Topora kata? Ależ skąd! Te najbrutalniejsze formy nacisku ze strony władzy na obywatela należą już na szczęście - przynajmniej w naszych warunkach - wyłącznie do historii. Nacisk dzisiejszy występuje w formach delikatniejszych i elegantszych - i chociaż procesy polityczne istnieją również dzisiaj (przy czym każdy wie, iż są z góry reżyserowane przez władze), stanowią przecież już tylko groźbę krańcową, podczas gdy główny ciężar przeniesiono do sfery presji materialnej. Nie zmienia to zresztą wiele, jeśli chodzi o istotę sprawy: wiadomo, że absolutna skala zagrożenia nigdy nie znaczy tyle, co skala względna, bardziej niż o to, co człowiek traci obiektywnie, chodzi tu o to,

Jakie znaczenie subiektywne - w granicach jego horyzontów, jego świata, jego hierarchii wartości - ma owa strata dla niego osobiście. A zatem jeśli dzisiejszy człowiek obawia się na przykład, że straci możliwość pracy w swej dziedzinie, strach ten może być równie silny, i może skłaniać go do takich samych czynów, jak bieda, w innych warunkach historycznych, groźba konfiskaty majątku, Metoda prawnicza: nie ma bowiem u nas obywatela, którego nie można by było materialnie (w najgorszym tego słowa znaczeniu) skrzywdzić; każdy ma coś do stracenia, każdy ma najróżniejszych przywilejów kasty rządzącej i wszystkich szczególnych możliwości unikających z posiadania władzy, przez możliwość spokojnej pracy, awansu i zarobku, przez możliwość po prostu pracy w swojej dziedzinie, przez możliwość studiowania - aż do możliwości życia przynajmniej na tym poziomie ograniczonej swobody, wobec której nie obowiązują nawet ustawy, które obowiązują wobec reszty, mianowicie pośród ofiar czechosłowackiego politycznego apartheidu. Właśnie, każdy ma coś do stracenia, nawet najmniejszy robotnik niewykwalifikowany może być przeniesiony na miejsce jeszcze gorsze i gorzej płatne, również on może srodze przepłacić to, że na zebraniu lub w knajpie powie, co sobie myśli.

Ten system presji materialno-bytowej, szczelnie opasujący całe społeczeństwo i każdego obywatela, czy to jako konkretna stała groźba, czy jako ogólna możliwość, nie mógłby wszakże pomyślnie funkcjonować, gdyby - akurat tak samo, jak należąca do przeszłości bardziej brutalna formy nacisku - nie miał naturalnego zaplecza w postaci siły zapewniającej mu uniwersalność, kompleksowość i moc: w postaci wszechobecnej i wszechmocnej policji państwowej. Ten przerażający pajak przetrwał bowiem całe społeczeństwo na wskroś swą niewidoczną pajęczyną, on to jest o tym punktem, w którym zbiegają się ostatecznie wszystkie linie strachu, owym ostatecznym i nie dającym się obalić dowodem beznadziejności wszelkiej próby przeciwstawienia się obywatela władzy społecznej. I chociaż większość ludzi przez większość czasu nie widzi tej pajęczyny na własne oczy i nie może dotknąć jej ręką, przecież nawet najciemniejszy obywatel dobrze wie, w każdej chwili i wszędzie liczy się z jej cichutką obecnością i odpowiednio też się zachowuje: tak, aby jej ukrwte oczy i uszy nie mogły nic zobaczyć i usłyszeć. I dobrze wie, dlaczego musi się tak zachowywać: na to, żeby ten pajak wywarł wpływ na życie człowieka, bynajmniej nie trzeba znaleźć się bezpośrednio w jego łapach, człowiek wcale nie musi być przesłuchany, oskarżony, osądzony i skazany. Również jego przełożeni są przecież opleceni tą pajęczyną i każda instancja decydująca o jego losie w ten lub inny sposób z policją państwową współpracuje lub musi współpracować. Tak więc sam fakt, że policja państwowa w praktyce w każdej chwili może ingerować w życie każdego człowieka - przy czym nie ma sposobu obrony przed taką ingerencją - wystarcza, aby życie zostało odarte z części swej naturalności i autentyczności i stawało się trwałym udawaniem.

Jeżeli strach stanowi tło samoobronnych zabiegów człowieka dążącego do uratowania tego, co ma, to coraz częściej możemy też dostrzec, że głównym motorem jego zabiegów ofensywnych, mających doprowadzić go do posiadania tego, czego jeszcze nie ma, stają się egoizm i karierowiczostwo.

Widuje się, że mało kiedy w ostatnich czasach system społeczny tak otwarcie i bez żenady otwiera drzwi przed ludźmi chętnymi w każdej chwili zaakceptować wszystko, co tylko może przynieść im pożytek, ludzie bez zasad i bez kręgosłupa, w dążeniu do władzy i korzyści osobistej gotowi na wszystko, ludzie o duszach lokajów, skorzy zawsze poniżać się, ale też w każdej chwili poświęcić swoich bliźnich i swoją cześć, byle tylko przypodobać się możnym tego świata. W takich okolicznościach nie jest rzeczą przypadku, że tyle funkcji w życiu publicznym i w aparacie władzy właśnie dzisiaj sprawują znani karierowicze i oportuniści, hochsztaplerzy i osobnicy z nieczystym sumieniem. Albo po prostu typowi kolaboranci, to znaczy ci, którzy mają szczególny talent przekonywania samych siebie w każdej sytuacji, wciąż od nowa, że swą plugawą pracą niby to "coś ratują" lub przynajmniej uniemożliwiają zajęcie ich posad przez ludzi jeszcze gorszych. I takich okolicznościach nie jest wreszcie rzeczą przypadku, że właśnie dzisiaj najwyższy stopień, jaki możemy sobie przypomnieć z ostatnich dziesięcioleci, osiągnęło skorumpowanie najrozmaitszych działaczy życia publicznego, ich skłonność do całkowitego

jawnego brania za byle co zapowiedzi i kierowania się przy podejmowaniu decyzji bez fanaty przed wszystkim takimi względami, jakie dyktują im ich rozmaite lukratywne interesy prawne.

Ludzi szczerze wierzących we wszystko, co głosi oficjalna propaganda i bezinteresownie popierających panującą władzę jest dzisiaj mniej niż kiedykolwiek dotychczas. Za to coraz więcej jest hipokrytów - do pewnego stopnia właściwie każdy obywatel zmuszony jest być hipokrytą.

Ta niewesoła sytuacja ma zresztą swe logiczne przyczyny: mało kiedy w ostatnich latach reżym tak mało interesował się rzeczywistymi poglądami zewnętrznie lojalnych obywateli i szczerością ich wystąpień - wystarcza zauważyć na przykład, że słuchając tych różnych samokrytyk i łajem nikt się właściwie nie troszczy o to czy ich autorzy są szczerzy, czy też mają na względzie jedynie jakąś korzyść, można nawet powiedzieć, że mniej lub bardziej automatycznie przyjmuje się zazwyczaj tę drugą alternatywę, nie dopatrując się w niej niczego niemoralnego. Przeciwnie - właśnie korzyści osobiste, jakie ten zabieg przyniesie, stanowią główny argument, służący uzyskiwaniu podobnych oświadczeń: nikt nie stara się przekonać pokutnika, że mylił się lub błędził, ale przeważnie kładzie mu się do głowy że jeśli chce się uratować, musi okazać skruchę, szanse, które dzięki temu zdobędzie, barwnie się przy tym rozdmuchuje do ogromnych rozmiarów, natomiast gorzki posmak, jaki po pokajaniu się pozostanie w ustach, jest bagatelizowany, jako rzekome złudzenie. I gdyby nagle pojawił się jakowyś oryginał, który uczyniłby to naprawdę ze szczerego serca i potwierdził jeszcze czystość intencji, z góry rezygnując z przysługującej mu nagrody - według wszelkiego prawdopodobieństwa stałby się podejrzany dla samego reżymu.

Można nawet powiedzieć, że na swój sposób wszyscy jawnie są przekupywani: jeśli podejmiesz się w swej firmie tych a tych funkcji społecznych (oczywiście nie dla dobra innych, ale żeby przysłużyć się kierownictwu zakładu), obdarzmy cię tymi a tymi korzyściami, jeśli zapiszesz się do związku młodzieży, otrzymasz prawo i środki umożliwiające korzystanie z takich a takich rozrywek, jeżeli jako twórca weźmiesz udział w tych a tych oficjalnych imprezach, uzyskasz takie a takie możliwości pracy naprawdę twórczej. Myślę sobie co chcesz, byłeś tylko na zewnątrz zgodzał się, byleś nie stawiał przeszkód, byleś zdusił swe dążenie do prawdy i sumienia - a wszystkie drzwi stana przed tobą otworem.

Skoro jednak podstawową zasadą udziału w życiu społeczeństwa uczyniono zasadę zewnętrznej adaptacji - jakie cechy mogą być w ludziach pobudzone i jacy ludzie mogą wyróżniać się na ówczesno?

Gdzieś między obroną przed światem, poddyktowaną przez strach, a ofensywnym zdobywaniem świata, dyktowanym przez pragnienie korzyści osobistych, rozciąga się obszar, którego nie należy przeoczyć, ponieważ on również w istotnej mierze współtworzy klimat moralny dzisiejszego "jednolitego społeczeństwa". Obszarem tym jest obojętność i wszystko, co się z nią wiąże.

Po niedawnych (historycznych wstrząsach) i po ustabilizowaniu się w kraju tego właśnie systemu ludzie jak gdyby stracili wiarę w przyszłość, w możliwość naprawy spraw publicznych, w sens walki o prawdę i prawo. Rezygnują ze wszystkiego, co wykracza poza rany bieżących spraw dnia powszedniego, ulegają apatii, nie wykazują zainteresowania wartościami ponadosobowymi, nie interesują się bliźnimi, popadają w psychiczną bierność i depresję. Kto zaś usiłuje jeszcze opierać się, na przykład odmawiając zaakceptowania zasady dwulicowości jako fundamentu egzystencji, ponieważ powątpiewa w wartość samorealizacji opłuczonej wyalienowaniem - przez coraz bardziej obojętniejące otoczenie - będzie uznany za dziwaka, wariata, donkiszota, a wreszcie nieuniknienie spotka się z pewnym ładunkiem niechęci jak każdy, kto zachowuje się inaczej niż inni, zwłaszcza że w danym wypadku swym zachowaniem niebezpiecznie stawia swe otoczenie przed krytycznym zwierciadłem. Albo - druga możliwość - zobojętniały ogół na zewnątrz wyklucza takie indywidualum ze swego grona i wystrzega się go, jak tego żądano, lecz po kryjomu lub prywatnie sympatyzuje z nim, wierząc, że taką tajną sympatią do kogoś, kto postępuje tak, jak większość by powinna, ale nie może, czyni zadość wymaganiom swego sumienia.

Paradoksalnie, że owa obojętność jest bardzo aktywnym czynnikiem społecznym: czy aby wielu ludzi nie udaje się do urn wyborczych, na zebrania, nie wstępuje do oficjalnych organizacji bardziej niżli ze strachu, po prostu ze zwykłej obojętno-



ści? Czy na pozór tak pomślnie funkcjonowanie poparcia politycznego dla reżymu nie jest aby - częstokroć jedynie sprawą rutyny, przyzwyczajenia, automatyzmu i wygodnictwa, za którymi de facto nie kryje się nic innego niż totalna rezygnacja? Uczeń stniectwo we wszystkich tych rytuałach politycznych, w które się nie wierzy, nie ma wprawdzie sensu, ale zapewnia przynajmniej spokój - a jaki sens miałyby właściwie nieuczestniczenie w nich? Niczego by się nie osiągnęło, a w dodatku człowiek straciłby nawet tę trochę spokoju.

Większość ludzi nie lubi pozostawać w trwałym konflikcie z władzą, tym bardziej, że taki konflikt nie może zakończyć się inaczej niż porażką izolowanej jednostki. Dlaczego więc człowiek miałby robić, czego od niego żądają? Nic go to przecież nie kosztuje - a z czasem w ogóle przestaje się nad tym zastanawiać: nie warto mu nawet zaprzętać sobie głowy takimi sprawami.

Beznadziejność prowadzi do apatii, apatia do adaptacji, adaptacja do zrutynizowanego wykonawstwa (służącego następnie za dowód masowej aktywności politycznej). Wszystko to razem składa się na obecne wyobrażenie o tak zwanym normalnym zachowaniu - wyobrażenie w istocie głęboko pesymistyczne.

Im głębsza jest rezygnacja człowieka z możliwości ogólnej poprawy sytuacji i w ogóle ze wszystkich wartości i celów ponadosobowych, a więc z możliwości oddziaływania w kierunku "na zewnątrz", tym bardziej jego energia zwraca się tam, gdzie napotyka stosunkowo najmniejsze przeszkody: w kierunku "do wewnątrz". Ludzie znacznie więcej myślą o sobie, o swym najbliższym otoczeniu, o swej rodzinie, o swoim domu: tam znajdują spokój, tam mogą zapomnieć o całym idiotyzmie świata, tam mogą swobodnie rozwijać swoją twórczość. Coraz lepiej wyposażają swe domy, skupują przedmioty artystyczne, chcą podnieść standard swego mieszkania, uprzyjemniają sobie życie, budują domki campingowe, troszczą się o swe samochody, poświęcają więcej uwagi jedzeniu, ubraniu, komfortowi - krótko mówiąc, nastawiają się przede wszystkim na materialne parametry swego życia prywatnego.

Taka orientacja socjalna ma oczywiście korzystne następstwa gospodarcze: pod jej naciskiem rozwija się zaniedbana sfera produkcji artykułów powszechnego użytku i usług dla ludności, ma wpływ na podnoszenie się ogólnego standardu życiowego ludzi, z punktu widzenia gospodarki narodowej stanowi potężne źródło dynamicznej energii, zdolnej przynajmniej częściowo wykonywać w zakresie rozwoju bogactwa materialnego społeczeństwa te zadania, którym niezgrabna, zbiurokratyzowana i mało wydajna gospodarka państwowa raczej by nie podołała (wystarczy choćby porównać jakość prywatnego i państwowego budownictwa mieszkaniowego).

Władza mile widzi i popiera ten przepływ energii do sfery "prywatności".

Lecz dlaczego? Czy wobec konsekwencji, jakie ma on jako bodziec pożądanego rozwoju gospodarczego? Z pewnością także. Ale cały duch obecnej propagandy i praktyki politycznej, dyskretnie, acz systematycznie podnoszący to nastawienie "do wewnątrz" do godności najistotniejszej treści realizacji człowieka w świecie, aż nazbyt jasno mówi, dlaczego władza tak cieszy się w rzeczywistości z tego przepływu energii: przede wszystkim bowiem widzi w nim to, czym jest on w swej czystej postaci, u źródeł psychologicznych - ucieczką ze sfery "spraw publicznych". Słusznie przeczuwając, że gdyby tak zaangażowane siły zwróciły się "na zewnątrz", prędzej czy później musiałyby skierować się przeciw niej (bądź też przeciw tej jej postaci, z której nie zamierza rezygnować), nie waha się przedstawić jako życie ludzkie tego, co de facto jest tylko smętną jego namiastką. Tak więc uwagę społeczeństwa odciąga się od niego samego, to znaczy od spraw społecznych, przytwierdzenie całej uwagi człowieka do podłogi jego zainteresowań czysto konsumpcyjnych ma uniemożliwić mu dostrzeżenie, jak rośnie skala gwałtu zadawanego mu na płaszczyźnie duchowej, politycznej i moralnej, zredukowanie go do jednowymiarowego wyznawcy ideologii wczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego ma go przemienić w materiał podatny na kompleksową manipulację, niebezpieczeństwo, że mógłby zatęsknić za którąś z niezliczonych i nie dających się przewidzieć możliwości, które ma jako człowiek, powinno być zdławione w zarodku przez uwięzienie go w ubożuchnym horyzoncie tych możliwości, które ma jako konsument w ograniczonych warunkach centralnie kierowanego rynku.

Wszystko zdaje się świadczyć, że władza zachowuje się w tym wypadku jak prymitywny organizm, którego jedynym celem jest utrzymanie się przy życiu: starając się dokonać tego na drodze jak najmniej oporu, zupełnie nie zwraca uwagi na

to, czym przychodzi zapłacić: bezlitosnym atakiem na ludzką integralność, brutalnym okrojeniem człowieka jako człowieka.

A przy tym ta sama władza z obsesyjną wprost wytrwałością stale legitymuje się swą rewolucyjną ideologią, w której centrum widnieje ideał wszechstronnego wyzwolenia człowieka! Gdzie jednak w rzeczywistości podział się człowiek kompleksowo, harmonijnie i autentycznie rozwijający swą osobowość? Człowiek wyzwolony z niewoli alienujących aparatów społecznych, zmistyfikowanych hierarchii i wartości życiowych, sformalizowanych swobód, z dyktatury majątku i z fetyszyzującej władzy pieniądza? Człowiek w pełni cieszący się sprawiedliwością socjalną i prawną, twórczo uczestniczący w sprawowaniu władzy gospodarczej i politycznej, mający wysokie poczucie własnej godności i następnie zwrócony ku sobie samemu? Miał swobodnego współdecydowania gospodarczego, swobodnego udziału w życiu politycznym i swobodnego rozwoju duchowego człowiek otrzymał ostatecznie możliwość wyboru, który typ lodówki lub pralki kupić do swego mieszkania!

Czyli: z przodu wspinała fasada wielkich humanistycznych ideałów - a za nią skromny domek rodzinny socjalistycznego mieszczucha! Z jednej strony bombastyczne hasła o niebываłym rozwoju wszystkich swobód i niebываłym strukturalnym bogactwie życia - a z drugiej niebываła szarżyna i pustka życia zredukowanego do krzątania!

.....Gdzieś na szczycie hierarchii presji manipulacyjnych, robiących z człowieka posłusznego członka konsumpcyjnego stada, stoi - jak już wspomnieliśmy - ukryta i wszechmocna siła: policja państwowa. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie na jej przykładzie można szczególnie poglądowo zilustrować przepaść między fasadą ideologiczną a codzienną rzeczywistością: każdego, kto miał smutną okazję poznać na własnej skórze "scenopis" tej instytucji, musi śmieszyć demonstrowane nam oficjalnie uzasadnienie jej celu i wyjaśnianie istoty. Bo czyż można uwierzyć, że te plugawe knowania tysięcy małych donosicieli, zawodowych szpicli, zakompleksionych, podstępnych, zawistnych i złośliwych drobnomieszczuchów i biurokratów, ten cuchnący kłęb zdrad, alibizmu, oszustw, plotek i intryg jest scenopisem robotnika strzegącego władzy ludowej i jej rewolucyjnych zdobyczy przed zakusami jej wrogów? Przecież największym wrogiem prawdziwie robotniczego ludowładztwa - gdyby sprawy nie były postawione na głowie - musiałyby być właśnie owi chętni do wszystkiego i niczego się nie brzydzący drobnomieszczuch, leczący swą nadwerną reżona ludzką godność donoszeniem na współobywateli, ten, w którym obserwując codzienną praktykę tajnej policji tak łatwo odgadnąć rzeczywistego duchowego twórcę jej "scenopisu"! Myślę, że całą tę groteskową sprzeczność między teorią a praktyką trudno wyjaśnić inaczej niż jako naturalną konsekwencję rzeczywistego posłannictwa dzisiejszej policji państwowej, którym nie jest ochrona swobodnego rozwoju człowieka przed jego gwałcicielami, lecz ochrona gwałciciela przed zagrożeniem, jakie stanowiłaby dla niego każda podjęta przez człowieka próba rzeczywistego swobodnego rozwoju.

Sprzeczność między rewolucyjną nauką o nowym człowieku i nową moralnością a przyziemna koncepcja życia jako szczęśliwości konsumpcyjnej nasuwa pytanie, dlaczego to właściwie władza tak kurczowo trzyma się swej ideologii. Chyba tylko dlatego, że ideologia - jako skonwencjonalizowany system rytuałów i przekazywanych tekstów - zapewnia jej złudzenie legitymizmu, ciągłości istnienia oraz jako prestiżowa maska, osłaniająca jej pragmatyczną praktykę.

Rzeczywiste, konkretne interesy tej praktyki na każdym kroku jednak niewykonywanie masza odbiegać od oficjalnej ideologii, z głębin bezkresnej góry ideologicznych frazesów, którymi władza stale usiłuje oddziaływać na człowieka, a którego, wyziera - jako jedyny wreszcie rzeczywistie konkretny i sensowny głos - realistyczna rada: polityka zajmuj się jak najmniej - to nasza sprawa, a ty rób tylko to, co ci powiemy, niepotrzebnie nie filozofuj i nie wsadzaj nosa w sprawy, które cię nie powinny obchodzić, siedź cicho, wykonuj swoją pracę i troszcz się o siebie - a będziesz szczęśliwy.

I człowiek stosuje się do tej rady, konieczność troszczenia się o swe utrzymanie i życie jest ostatecznie jedyną rzeczą, co do której może bez trudu zgodzić się ze swym rządem. Dlaczego miałby z tego nie korzystać? Zwłaszcza kiedy i tak nic innego zrobić nie można!

Do czego prowadzi w swym koncentracjonistycznym systemie, której główne elementy strachu i apatii, zapędzający człowieka do normy wyłącznie materialnej egzystencji i proponujący mu - jako główną zasadę jego kontaktów ze społeczeństwem - dwulicowość? Do jakiego stanu sprowadza społeczeństwo - dwulicowość jest zewnętrzny porządek i powszechne posłuszeństwo polityki, której jedynymi celami środkami i jakim kosztem to osiągnięto?

Nie trzeba mieć wiele wyobraźni, by zrozumieć, że taka sytuacja nie może prowadzić do niczego innego, jak tylko do stopniowej korozyjnej rozkładu norm moralnych, do rozpadu wszystkich kryteriów przyzwoitości i do szerokiego zachwiania wiary w sens takich wartości, jak prawda, wierność zasadom, szczerść, bezinteresowność, godność i honor. Do niczego innego, jak tylko do spadku egzystencji do poziomu biologicznej wegetacji, a więc do owej "dogłębnej" demoralizacji, która wynika z utraty nadziei i z kryzysu odczuwania sensu życia. Do niczego innego, jak tylko do uprzytomnienia na nowo tego tragicznego aspektu pozycji człowieka w nowoczesnej cywilizacji technicznej, który wiąże się z kurczeniem się horyzontów absolutu, a który nazwałby kryzysem ludzkiej tożsamości: czy bowiem system tak brutalnie domagający się "odczłowieczenia", aby być kimś innym, niż jest, może zahamować rozpad tożsamości tegoż człowieka ze sobą samym?

Zaprowadzono porządek. Za cenę usmiercenia ducha, zubożenia serca i uczynienia życia zupełnie pustym.

Osiągnięto zewnętrzna konsolidację. Za cenę duchowego i moralnego kryzysu społeczeństwa.

Najgorsze wszakże w tym kryzysie jest, że się pogłębia: wystarcza tylko trochę wznieść się ponad ograniczoną perspektywę codzienności, by sobie z przerażeniem uświadomić, jak szybko opuszczamy wszyscy stanowiska, z których zaledwie wczoraj nie myśleliśmy się wycofać - co jeszcze wczoraj świadomość społeczna uważała za nieprzyzwoite, dzisiaj usprawiedliwia, by jutro uznać chyba za naturalne, a pojutrze może już nawet za wzór przyzwoitości. O czym zaledwie wczoraj oświadczaliśmy, że temu to nigdy nie przytakniemy, albo też co po prostu uważaliśmy za nie do przyjęcia, dziś bez zdziwienia przyjmujemy jako rzeczywistość. Co zaś - przeciwnie - jeszcze niedawno było dla nas oczywiste, dziś jest już wyjątkowe, a wkrótce - kto wie - może zostać uznane za niedosiężny ideał.

Przemiany kryteriów "naturalnego" i "normalnego" oraz przesunięcia w odczuciach etycznych, jakie nastąpiły w społeczeństwie w ciągu ostatnich lat, są powściągliwsze, niż by się to mogło w pierwszej chwili wydawać. Narastającemu zubożeniu towarzyszy naturalnie również spadek zdolności uświadomienia sobie tego zubożenia.

Jak gdyby choroba przerzucała się z liści i owoców na pień i korzenie. Największe powody do obaw wiążą się zatem z widokami, z perspektywami, jakie sytuacja obecna już zapowiada.

Społeczeństwo doskonali się wewnętrznie, staje się bogatsze duchowo, kulturalnie przede wszystkim na skutek tego, że coraz głębiej, szerzej i w sposób coraz bardziej zróżnicowany uświadamia sobie samo siebie.

Podstawnym instrumentem tego samouświadamienia społeczeństwa jest jego kultura. Kultura jako konkretna sfera działalności ludzkiej; wywierająca wpływ - choć często bardzo pośrednio - stan ducha ogółu, a zarazem pozostająca zawsze pod wpływem tego stanu.

Tam, gdzie totalne opanowanie społeczeństwa uniemożliwiło mu totalnie wewnętrzne doskonalenie się, prawidłowością, jest, iż na pierwszym miejscu zdławiona została kultura, nie tylko "automatycznie", mianowicie jako coś, co całą swoją istotą ontologiczną stanowi przeciwieństwo "ducha" wszelkiej manipulacji społecznej, lecz również ponieważ "programowo": w wyniku uzasadnionej obawy, że przede wszystkim uświadomi sobie również stopień swego zgniewienia. Za pośrednictwem kultury społeczeństwo polembia swoją wolność i odkrywa prawdę - a jakże może zależeć na niej władza, której istotą jest właśnie deptanie tych wartości? Taka władza uznaje przecież jedną jedyną "prawdę": tę, której akurat potrzebuje. I jedyną "swobodę" wypowiedzenia tej "prawdy".

Świat takiej "prawdy", która nie czerpie z dylektycznego klimatu rzeczywistości, lecz jedynie z klimatu interesów elity władzy, jest światem sterylności myślowej, skostniałych dogmatów, sztywnej i nieruchliwej doktryny - oraz będącej naturalną jej konsekwencją pragmatycznej samowoli.

Jest to świat zakazów, ograniczeń, zarządzeń. Świat, w którym przez politykę kulturalną rozumie się przede wszystkim działalność policji w sferze kultury.

Wiele już powiedziano i napisano o kuriozalnym stopniu dewastacji naszej współczesnej kultury, o setkach zakazanych pisarzy i książek oraz dziesiątkach zlikwidowanych czasopism, o okrojeniu wszelkich możliwości wydawniczych i reper-tuarowych oraz zerwaniu wszelkich związków ze stanem ducha ogółu, o spustoszeniu wystawowych, o barwnej paletce prześladowań i dyskryminacji, szczerze stosowanych w tej sferze, o rozpędzeniu wszystkich dotychczasowych organizacji twórców oraz licznych placówek naukowych - i zastąpieniu ich przez swoiste atrapy administrowane przez garstkę agresywnych sekciarzy, znanych karierowiczów, niepoprawnych tchórzy i ludzi niezdolnych, zżeranych ambicją, którzy w powszechnej próżni dostrzegli swą wielką szansę. Nie będę raz jeszcze opisywać tych rzeczy, spróbuję się natomiast zastanowić nad pewnymi głębszymi aspektami tego stanu, związanymi z tematem niniejszego listu.

Przede wszystkim: z faktu, że sytuacja dzisiejsza jest bardzo zła, nie wynika, że kultura zupełnie nie istnieje. Teatry wystawiają sztuki, telewizja codziennie nadaje swoje programy, ukazują się również książki. Lecz cała ta jawna, legalna kultura posiada jeden wspólny mianownik: cechuje je powszechna eksternalizacja, spowodowana rozległym wyalienowaniem istoty kultury, wyalienowaniem, którego formą jest totalne wykastrowanie kultury właśnie jako instrumentu samouświadczenia człowieka, a zatem również społeczeństwa. I jeśli nawet dzisiaj pojawi się wartość bezspornie suwerenna, na przykład - ze pozostań w sferze sztuki - znakomita kreacja aktorska, to pojawia się jako coś, co jest tolerowane jedynie dzięki swej subtelności, wysublimowaniu, a więc (z punktu widzenia władz) stosunkowej nieszkodliwości, wynikającej ze znikomego wpływu na samouświadczenie społeczne. Ale i tutaj - skoro tylko wpływ ten staje się wyraźniej odczuwalny - władza zaczyna się instynktownie bronić (znane są przykłady, że dobremu aktorowi zabraniano występów tylko dlatego, że był zbyt dobry).

Lecz nie o to mi w związku z tym chodzi. Interesuje mnie kwestia, jak przejawia się to uzewnętrznienie, ta eksternalizacja, w dziedzinach dysponujących środkami, które znacznie bardziej bezpośrednio pozwalają nazywać doświadczenia człowieka w świecie, a więc znacznie wyraźniej pełniących swoje funkcje w zakresie samouświadczenia społeczeństwa.

Przytoczę przykład: powiedzmy, że opublikowano - czasami tak się nawet zdarza - utwór literacki (choćby sztukę teatralną), któremu nie można odmówić, że jest zgrabny, sugestywny, pomysłowy i głęboko sensowny. Dzieło takie może być zresztą także lub inne, jednego wszakże zawsze i absolutnie możemy być przeciw pewni: że ani o centymetr nie wykracza - dzięki cenzurze lub auto-cenzurze, charakterowi autora lub jego zakłamaniu, rezygnacji lub wyrachowaniu - poza ramy fetyszów konwencjonalnej, banalnej, a więc w istocie fałszywej świadomości społecznej, przedstawiającej i percepującej jako autentyczne doświadczenie jedynie pozór tego doświadczenia, zmontowany ze zbioru powierzchownych, przyglądanych i wytartych fragmentów doświadczeń, bądź też martwych cieni doświadczeń dawno już przez świadomość społeczną przyjętych i w niej zadomowionych. Mimo to - albo ściślej: właśnie dlatego - utwór taki zawsze sporo ludzi zabawi, potrzyma w napięciu, przejmie i czymś zainteresuje - nie oświetlając przy tym niczego blaskiem rzeczywistego poznania rozumianego jako ukazywanie tego, co było dotychczas nieznanne, wypowiedzianie tego, co było dotychczas niewypowiedziane lub nowe, jako samorodna i skuteczna ewidencja czegoś, czego istnienie dotychczas jedynie przeczuwane. Mówiąc zwięźle: imitując realny świat, w istocie taki utwór realny świat tylko fałszuje. Co się więcyczy konkretnej postaci owej eksternalizacji, bynajmniej nie jest przypadkiem, że najczęściej czerpie się ze stongi, która jest tradycyjnie - dzięki gwarantowanej nieszkodliwości swej zawartości - jest u nas mile widziana przez władze, obojętne - burżuazyjna czy proletariacka: mam na myśli estetykę banału, gnieźdzącą się w granicach poczciwej moralności drobnomieszczańskiej, sentymentalną filozofię

ęściada w stosunkach z sąsiadem, jowialność kucharek i prowincjonalną koncepcję świata, opartą na wierze, iż w gruncie rzeczy jest zacy, mar na myśli tę estetykę, której kręgosłupem jest kult roztropnej przeciętności, stojący na fundamencie zatechłego samozadowolenia narodu, kierujący się zasadą sproszkowania, rozdrabniania i przyglądania, a wreszcie przerastający załgony optyzm najprymitywniejszej interpretacji hasła "Prawda zwycięży".

Utworów beletryzujących ideologię polityczną rządu jest dziś, jak Pa... z pewnością wiadomo, niezmiernie mało, a i te pod względem literackim są zdecydowanie złe. Jest tak nie tylko dlatego, że nie ma ich kto tworzyć, ale chyba również dlatego, że w istocie - choć może to brzmieć paradoksalnie - władza

bynajmniej by się nimi nie cieszyła. Gdyby bowiem istniały, gdyby były dobre literacko i gdyby ktoś je czytywał - to z punktu widzenia rzeczywistej dzisiejszej (tzn. konsumpcyjnej) koncepcji życia - nazbyt kierowałyby uwagę "na zewnątrz", nazbyt jątrzyłyby stare rany, swą powszechną i radykalną politycznością nazbyt ewokowałyby i radykalne polityczne reakcje i w ten sposób nazbyt maciły wodę, która winna pozostać jak najbardziej zastała. Rzeczywistym interesom dzisiejszej władzy to, co nazwałem estetyką banału, odpowiada nieporównanie bardziej: ta bowiem mija się z prawdą w sposób znacznie mniej rzucający się w oczy, możliwość do przyjęcia, wiarygodniejszy, konwencjonalna świadomość przyjmuje ją oczywiście znacznie łatwiej, może więc znacznie lepiej wywiązywać się z zadania, które konsumpcyjna koncepcja życia wyznacza kulturze: nie podniecać prawdą, lecz uspokajać kłamstwem! Twórczość tego rodzaju zawsze, rzecz jasna, zawsze była w większości. Dotychczas jednak istniały u nas przynajmniej szczeliny, przez które docierała do społeczeństwa również twórczość, o której można było powiedzieć, że tak lub inaczej sprzyjała autentycznemu wzrostowi ludzkiej samowiedzy. Twórczość ta wprawdzie nigdy nie miała szczególnie łatwego życia - musiała borykać się nie tylko z władzą, ale także z wygodnictwem i konserwatyzmem konwencjonalnej świadomości - zawsze jednak dotychczas w jakiś zagadkowy sposób, okrężnymi drogami i rzadko kiedy od razu, docierała wreszcie do człowieka i społeczeństwa, co pozwalało kulturze realizować właściwą jej funkcję w zakresie samouświadomienia społecznego.

O nic więcej też zresztą nie chodzi. Niemniej jednak to właśnie wydaje mi się najbardziej doniosłe. Niemniej jednak to właśnie naszym obecnym rządom - a łatwo dowiedzieć, że stało się tak po raz pierwszy od czasów naszego odrodzenia narodowego (tzn. od pierwszej połowy XIX wieku - przyp. tłum.) - udało się niemal absolutnie uniemożliwić, tak precyzyjny jest dziś system biurokratycznego kierowania kulturą, tak doskonała jest wiedza o wszystkich szczelinach, przez które mogłoby się przedostać na powierzchnię poważniejsze dzieło, tak bardzo owa grupa, która trzyma w kieszeniach klucze od wszystkich drzwi, boi się rządu i boi się też sztuki.

Pojmuje Pan zapewne, że w tej chwili nie mówię już o wielostronicowych indeksach twórców częściowo lub całkowicie zakazanych, lecz o indeksie znacznie prostszym: o "indeksie in blanco", na którym znajduje się a priori wszystko, co mogłoby zabłysnąć bardziej oryginalną myślą, trafniejszym poznaniem, wyższym stopniem szczerości, oryginalniejszym pomysłem, bardziej sugestywnym kształtem - mówię o przewencyjnym liście gończym, nakazującym ścigać wszystko, co odznacza się większą wolnością wewnętrzną a także - w najgłębszym tego słowa znaczeniu - kulturą. Mówię o liście gończym ścigającym kulturę, liście, który rozesłał Pański rząd.

Znów wywołuje to pytanie, które zadaje tutaj właściwie od początku: co to wszystko - w rzeczywistości, naprawdę - oznacza? Do czego to prowadzi? Co, że tak powiem, robi to ze społeczeństwem?

Zacznę jeszcze raz od przykładu: jak wiadomo, większość dawnych czasopism kulturalnych przestała u nas wychodzić, jeżeli jakieś przetrwało, jest tak zalażosztaltowane, że niemal nie ma sensu zwracać na nie uwagę.

Co stało się wskutek tego?

Na pierwszy rzut oka - zupełnie nic: społeczeństwo funkcjonuje nadal - także bez tych wszystkich pism literackich, artystycznych, teatralnych, filozoficznych, historycznych i innych, których liczba co prawda nawet w czasach, kiedy istniały,

nie odpowiadała utajonym potrzebom społeczeństwa, lecz jednak były i odgrywały należytą sobie rolę. Ilu więc ludziom w gruncie rzeczy jeszcze dziś brak jest o-wych wydawnictw? Kilkudziesięciu tysięcycom ich prenumeratorów, a zatem małej części społeczeństwa.

Mimo to jest to strata niepomniernie głębsza i dotkliwsza, niż mogłoby się wydawać z tego, ilościowego punktu widzenia. Rzeczywisty zakres tej straty jest wszakże - znowu - ukryty i trudno byłoby ująć go w jakichś precyzyjnych wskaźnikach.

Dokonana przemocą likwidacja takiego czasopisma - powiedzmy choćby przeglądu teoretycznego poświęconego sprawom teatru - nie jest bowiem tylko konkretnym zubożeniem jego konkretnych czytelników, nie jest nawet tylko ciężkim ciosem, zadany kulturze teatralnej. Jest jednocześnie - i przede wszystkim - likwidacją określonego organu samouświadomienia, a z tej racji nieuniknienie również trudną do dokładnego opisanego interwencją w skomplikowaną sieć obiegu, wymiany i przemiany odżywek utrzymujących przy życiu ów wielowarstwowy organizm, jakim jest współczesne społeczeństwo, ciosem w naturalną dynamikę procesów zachodzących w tym organizmie, naruszeniem zharmonizowanego współdziałania jego rozmaitych funkcji, odpowiadających uzyskanemu szczeblowi rozwoju jego struktury wewnętrznej. I tak samo jak długotrwały niedobór jakiejś witaminy - z ilościowego punktu widzenia stanowiącej w całokształcie pożywienia składnik nie wart uwagi - może spowodować chorobę człowieka, tak też strata jednego czasopisma może wreszcie - na dłuższą metę - wyrządzić organizmowi społecznemu większą szkodę, niż by się początkowo zdawało. A co dopiero, gdy nie chodzi o jedno czasopismo, lecz w istocie o wszystkie?

Można bowiem z łatwością udowodnić, że rzeczywiste znaczenie działalności poznawczej, myślenia i twórczości nigdy nie ogranicza się w rozwarstwionym świecie wyłącznie do znaczenia, jakie mają te wartości dla fizycznego kręgu osób, które - na pierwszym planie, pierwotnie, "fizycznie" - mają z nimi do czynienia, czy to aktywnie, czy też pasywnie. Liczba ich niemal zawsze jest mała, w nauce raczej jeszcze mniejsza niż w sztuce, a przecież działalność poznawcza, o której mowa, może ostatecznie - nawet korzystając z wielokrotnego pośrednictwa - odciągnąć się bardzo poważnie na całym społeczeństwie, podobnie jak każdego z nas wprost "fizycznie" dotyczy polityka przewidująca zagrożenie atomowe, mimo że większość z nas "fizycznie" nie zetknęła się ze spekulacjami fizyki teoretycznej które doprowadziły do skonstruowania bomby atomowej. Że dzieje się tak również w wypadku dziedzin humanistycznych, wykazuje historia, dostarczając licznych przykładów niebywałego kulturalnego, politycznego i moralnego wzrostu całego społeczeństwa, którego sprężyną lub katalizatorem była działalność uświadamiająca nie tylko prowadzona, ale też bezpośrednio ("fizycznie") przeżywana przez bardzo mały i zamknięty krąg osób. Działalność ta mogła nawet i później pozostać poza ramami bezpośredniej apercpepcji społeczeństwa jako całości - a przecież stanowiła integralną przesłankę jego rozwoju! Nigdy bowiem nie wiemy, kiedy skromny ogienek poznania, zapalony w nielicznych komórkach wyspecjalizowanych w samouświadamianiu organizmu, oświecił nagle drogą całemu społeczeństwu, które zresztą może się nigdy nie dowiedzieć czemu zawdzięcza, iż drogę tę ujrzało, lecz to bynajmniej nie wszystko: również to niezliczone przebłyski poznania, które nigdy nie rozświetlą drogi społeczeństwa jako całości, mają głębokie znaczenie społeczne, nawet jeśli znaczenie to nie polega na niczym innym niż na tym że po prostu istniały: że mogły też oświecić, więc i one są - już tylko przez fakt swego istnienia - realizującą pewnego kręgu możliwości społecznych, czy to w zakresie sił twórczych, czy po prostu wolności, że również one współtworzą i współgwarantują klimat kulturalny, niezbędny także dla rozplamienia się ogni o większym refleksie. Krótko mówiąc, obszar samouświadomienia duchowego jest niepodzielny, przecięcie jednej nitki nieuchronnie narusza zwartość całej sieci - i już samo to świadczy o owej szczególnej więzi i przenikaniu się wszystkich subtelnych procesów w organizmie społeczeństwa, o których mówiłem, stanowi dowód owego przerastającego-samo-siebie znaczenia każdego z nich, a tym samym przerastającej sama-siebie szkodliwości naruszania go.

Nie chcę redukować całej sprawy do tego jednego, wciąż jeszcze stosunkowo trwałego aspektu: czyż także nie potwierdza to już dostatecznie zgubnego

wpływu, jaki ma, a co ważniejsze, będzie jeszcze mieć na stan ducha i moralności całego społeczeństwa wspomniany "list go"czy na kulturę", nawet jeżeli jego bezpośrednie skutki spadną na stosunkowo ograniczoną liczbę głów?

Jeśli w ostatnich latach na półkach księgarskich nie pojawiła się ani jedna czeska powieść, wyraźnie rozszerzająca horyzont naszych doświadczeń w świecie - wiadomo, że nie znajduje to żadnego wyrazu zewnątrz: czytelnicy nie urządzają z tego powodu demonstracji i coś tam do czytania zawsze się przecież wreszcie znajdzie. Lecz czy ktoś poważy się oszacować, co ten fakt rzeczywiście oznacza dla społeczeństwa czeskiego? Kto wie, jak przejawia się ta luka w atmosferze duchowej i moralnej przyszłych lat? Jak dalece osłabi naszą zdolność do samopoznania? Jak głęboko taka nieobecność kulturalnego samopoznania odcisnie się na tych, którzy dziś zaczynają lub jutro zaczną poznawać samych siebie? Jak wiele mistyfikacji, osadzających się zwolna na powszechnej świadomości kulturalnej, trzeba będzie rozbijać i do jakiego punktu będziemy musieli wrócić? Kto wie, kto, kiedy, skąd i jak będzie jeszcze w stanie zaczerpnąć sił do rozpalenia nowego ognika prawdy - gdy tak starannie zlikwiduje się nie tylko możliwość, ale również poczucie możliwości takiego rozpalenia?

...Tróchno takich powieści, jakich brakuje w księgarniach, mimo wszystko istnieje: kraśną w naszym piśmie. Pod tym względem sytuacja nie jest więc jeszcze tak całkiem beznadziejna - ze wszystkiego, co tutaj powiedziałem, wynika, że nawet edwyby taką powieść przez całe lata znało nie więcej niż dwadzieścia osób, istnienie jej ma szczególne znaczenie: już to przecież coś znaczy, że taka książka w ogóle mogła być napisana, że żyje choćby w jednym, wąziutkim sektorze świadomości kulturalnej - ale przecież żyje. Jak jednakże przedstawia się sytuacja w dziedzinach, w których nie można pracować inaczej niż tylko na płaszczyźnie tak zwanych struktur legalnych? Jak określić rzeczywiste rozmiary szkód, które wyrządziło i jeszcze wyrządzi zdławienie interesujących tendencji w teatrze i filmie, w dziedzinach o szczególnym znaczeniu, jeśli chodzi o oddziaływanie na widza? A co na dłuższą metę może oznaczać próżnia wytwarzająca się w sferze nauk humanistycznych, teorii i fachowej eseistyki z zakresu nauk społecznych? Kto odważy się oszacować konsekwencje dokonanego tutaj przemocą przerwania różnych długofalowych procesów samouświadamiających na płaszczyźnie ontologicznej, etycznej i historycznej, tak silnie zależnych od dostępu do źródeł naukowych i od bieżących publicznych konfrontacji? I w ogóle konsekwencje uniemożliwienia jakiejkolwiek mniej więcej naturalnej cyrkulacji informacji, myśli, ustaleń i wartości oraz jakiegokolwiek publicznej krystalizacji postaw? Pytanie ogólne brzmi zatem: do jak głębokiej jutrzejszej duchowej i moralnej impotencji narodu doprowadzi dzisiejsza kastracja jego kultury?

Obawiam się, że zgubne konsekwencje społeczne o wiele lat przeżyją konkretne interesy polityczne, które je spowodowały. Tym większa będzie wszakże historyczna wina tych, którzy przyszłość duchową narodu poświęcili w imię utrzymania się dziś u władzy.

O ile podstawowym prawem kosmosu jest wzrost entropii, o tyle podstawowym prawem życia jest - przeciwnie - rozbudowywanie struktury i walka z entropią, życie sprzeciwia się wszelkiemu uniformizmowi, wszelkiej jedności: jego perspektywą nie jest "ujednoczenie", lecz zróżnicowanie, jest niespokojem transcendencji, pogonią za nowością, ruchem oporu przeciwko status quo, egzystencjalnym wymiarem jego rozwoju jest stale aktualizująca się tajemnica.

U podstaw natomiast władzy, której cele ograniczają się do ochrony własnej niezmienności i permanentnej aprobaty, legła egzystencjalna nieufność do wszelkiej różnorodności, wyjątkowości i transcendencji, legł egzystencjalny wstręt do wszystkiego, co nieznanne, niepojęte i w chwili obecnej jeszcze tajemnicze, legło egzystencjalne dążenie do uniformizacji, ujednoczenia i bezruchu, legła gorąca miłość do status quo. Duch mechanizmu góruje w niej nad duchem życia. Porządek, do którego dąży, nie jest otwartym poszukiwaniem coraz to wyższych form samoorganizacji społeczeństwa, adekwatnych do rozwoju jego struktury, lecz odwrotnie, spadkiem do owego "najbardziej prawdopodobnego stanu", który stanowi najwyższą entropię. Obrawszy kierunek entropii, władza ta idzie pod prąd życia.

Jak wiemy, również w wypadku człowieka istnieje chwila, gdy stopień rozwoju

jego struktury zaczyna nagle spadać, a jego droga zwraca się w kierunku entropii - chwila, kiedy on także ulega powszechnemu prawu kosmosu, jest to chwila śmierci.

Gdzieś u podstaw władzy, która obrała kierunek entropii (i którą człowiek najchętniej upodobniłby do komputera, do którego można wprowadzić jakikolwiek program i mieć pewność, że maszyna go zrealizuje) obecna jest zasada śmierci. Trupi zapach emanuje również z reprezentowanych przez tę władzę poglądów na "porządek" - poglądów, w myśl których każdy przejaw prawdziwego życia - charakterystyczny czyn, indywidualny wyraz, niepowtarzalna myśl, nieprzewidziane pragnienie lub pomysł - jest nieuchronnie tylko sygnałem "bałaganu", "chaosu", i "anarchii".

Również obecny reżym, całą swą praktyką polityczną, której podstawowe aspekty starałem się tu kolejno opisać, potwierdza, iż idea "spokoju", "porządku", "konsolidacji", "wypróbowania z kryzysu", "zahamowania rozprężenia", "załagodzenia sporów" itd., będące od samego początku osią jego programu politycznego, mają dla niego koniec końców tę samą uśmiercającą treść, co dla wszystkich reżymów "entropicznych".

Owszem, mamy porządek: biurokratyczny porządek szarego uniformizmu, zabijający wszystko, co jednostkowe, indywidualne, właściwej maszynom mechaniczności, dławiącej wszystko, co niepowtarzalne, zatechniętego bezruchu, wykluczającego transcendencję. Jest to porządek bez życia.

Owszem, w naszym kraju panuje spokój: lecz czy nie jest to spokój kostnicy lub grobu?

W społeczeństwie, które naprawdę żyje, jest rzeczą naturalną, że stale się coś dzieje: współgra dzisiejszych czynów i wydarzeń jawnych i ukrytych ruchów tworzy coraz to nowe jednostkowe sytuacje, pobudzające do nowych czynów i powodujące nowe ruchy. Tajemnicza polaryzacja życiowa tego, co stałe i zmienne, prawidłowe i przypadkowe, możliwe do przewidzenia i niespodziewane, dokonuje się w czasie i znajduje wyraz w postaci dziania się. Im bardziej rozbudowana jest przy tym struktura życia społecznego, tym bogatsza jest również struktura społecznego czasu: wzrasta w nim pierwiastek indywidualności i niepowtarzalności. To zaś z kolei wzrasta możliwość rozpatrywania go w jego następstwie, tzn. jako niepowstrzymany prąd niezamienialnych sytuacji, a tym samym - zwrótnie - pozwala lepiej rozumieć to co w działalności społeczeństwa ma charakter prawidłowości. Im bogatsze jest zatem życie społeczeństwa, tym lepiej uzmysławia sobie ono rozmiar społecznego czasu, rozmiar dziejowości.

Innymi słowy: tam, gdzie istnieje obszar dla działalności społeczeństwa, otwiera się też obszar dla społecznej pamięci. Społeczeństwo, które żyje, ma swoje dzieje.

Skoro jednak pierwiastek ciągłości i przyczynowości w historii tak egzystencjalnie wiąże się z pierwiastkiem niepowtarzalności, pojawia się pytanie, w jaki sposób prawdziwe dzieje - to niewyczerpalne źródło "chaosu", stały źródło niepokoju i zuchwały policzek, wymierzony porządkowi - mogą istnieć w świecie opartym przez reżym "entropiczny".

Odpowiedź jest jasna: wcale w nim istnieć nie mogą. I wcale - przynajmniej na zewnątrz - nie istnieją: uśmiercając życie jako życie zatrzymane w nim bieg społecznego czasu, toteż dzieje znikają z jego horyzontu.

Również u nas wydaje się, jakoby od pewnego czasu nie było dziejów: powoli, ale niepowstrzymanie tracimy poczucie czasu - zapominamy, co było kiedy, co było wcześniej, a co później, co w ogóle było - i bierze w nas górę przekonanie, że właściwie jest to wszystko jedno. Działanie się traci swą wyjątkowość, niepowtarzalność, a tym samym również swą ciągłość, wszystko zlewa się w jeden obraz stale tego samego krążenia: mówimy, że "nic się nie dzieje". Uśmiercający porządek zaplanował także i tutaj: działanie się zostało doskonale uporządkowane, a tym samym - doskonale uśmiercone. Kryzys poczucia następstwa czasowego, chronologii na płaszczyźnie społecznej prowadzi przy tym nieuchronnie również do jego kryzysu w życiu prywatnym: tracąc zaplecze historii społeczeństwa, a tym samym także historii pozycji jednostki w tym społeczeństwie, życie prywatne zostaje



sprowadzone do poziomu przedhistorycznego, na płaszczyźnie, na której rytm czasu wyznaczają już takie jedynie wydarzenia, jak narodziny, ślub albo śmierć.

Kryzys poczucia czasu społecznego w ogóle wydaje się cofać społeczeństwo do czasów przedhistorycznych, kiedy ludzkość przez długie tysiąclecia nie krążyła w tej dziedzinie poza granice kosmiczno-meteorologicznego stereotypu powtarzających się nieskończenie pór roku i związanych z nimi rytuałów religijnych.

Luka jaka pozostawiły po sobie niepokojące rozmiary dziejowości, musi być jednak wypełniona: toteż nieporządek dziejów rzeczywistych został zastąpiony przez porządek pseudodziejów, których autorem wszakże nie jest życie społeczne, lecz urzędowy planista, zamiast wydarzeń podsuwa się nam pseudowydarzenia: żyjemy od rocznicy do rocznicy, od akademii do akademii, od defilady do defilady, od jednomyślnie przebiegającego zjazdu do odbywających się pod znakiem jednomyślności wyborów i od jednomyślnie przebiegających wyborów do obradującego pod znakiem jednomyślności, od Dnia Prasy do Dnia Artylerii i znów od początku, tylko na odwrót. Nie jest przypadkiem, że ten typ substytucji dziejów pozwala nam uzyskać dostateczną orientację w społecznym "dzianiu się" poprzez zwykłe zajrzenie do kalendarza. Dzięki zaś notorycznie znanej treści powtarzających się obrzędów uzyskana w ten sposób informacja może nawet w pełni zastąpić tę, którą dalaoby nam autentyczne przeżycie.

A zatem: doskonały porządek - okupiony jednak nawrotem do prehistorii. A i to jeszcze z zastrzeżeniem: o ile dla naszych przodków powtarzające się rytuały zawsze miały głęboki sens życiowy, dla nas stały się zrutynizowaną "sztuką dla sztuki" - rząd pielęgnuje je, aby utrzymać złudzenie wydarzeń dziejowych, aby watek uczestniczy w nich, żeby się go nie czepiano.

Reżym "entropiczny" ma wyjątkowe możliwości zwiększania na obszarze swego działania powszechnej entropii: wzmacniając swój własny centralizm, zwiększając swą monolitowość, coraz uniwersalniej i szczelniej opinając społeczeństwo kafkianym bezpieczeństwem jednowymiarowej manipulacji. Tylko, że każdy jego następny krok w tym kierunku nieuchronnie oznacza zarazem dalsze zwiększenie jego własnej entropii: w dążeniu do unieruchomienia świata unieruchamia sam siebie oraz paraliżuje swoją zdolność konfrontowania się z czynkolwiek nowym i sprzeciwiania się przystającemu ukierunkowaniu życia. Reżym "entropiczny" jest zatem skazany z samej swojej istoty na to, by w ostatniej instancji stać się ofiara swego własnej śmiertelności zasady, ofiarą najwrażliwszą, wskutek swego fatalnego braku jakiegokolwiek intencji wewnętrznej, która zmuszałaby go - że tak powiem - do przeciwstawiania się samemu sobie. Życie natomiast zdolne jest tym pomyślniej i bardziej pomysłowo - w duchu swego nie dającego się zdławić sprzeciwu wobec entropii - przeciwstawić się swemu gwałcicielowi, im szybciej zadająca gwałt siła kostnieje i zaskorupia się.

Uśmiercając życie, władza uśmierca zatem również samą siebie - a przez to także swą zdolność do uśmiercania życia.

Innymi słowy: życie można gwałcić długo i bardzo gruntownie, można je spłaskać, uśmiercać - lecz przecież całkowicie zahamować go nie można: choć cicho, skrycie i powoli, toczy się przecież dalej, choć byżoby po tysiąckroć alie gwałcone, zawsze przecież jakimś sposobem znów wraca do siebie, choćby nie wiedział jak nie może być inaczej - dzięki głęboko kompromisowemu charakterowi każdej władzy "entropicznej", która uciska i może uciskać życie jedynie wtedy, gdy jakieś życie istnieje, a więc jest koniec końców egzystencjalnie od niego zależna, podczas gdy jego istnienie bynajmniej od niej nie zależy. Jedyną siłą, która naprawdę może zniszczyć życie na naszej planecie, jest siła nie znająca kompromisu: mianowicie globalne, kosmiczne obowiązywanie drugie zasady termodynamiki.

Jeżeli zaś nie można zniszczyć życia, nie można zatem także całkowicie zatrzymać biegu dziejów: pod ciężkim wiekiem bezruchu i pseudodziań się po nie ich ukryty strumyk, zwolna i niezauważalnie podmywając to wieko. Może to trwać długo, ale pewnego dnia stać się musi: wieko nie może już dłużej stawiać czoła

i to właśnie jest chwila, w której zaczyna znów dziać się coś widocznego,

coś rzeczywistocie nowego i wyjątkowego, coś, co nie zostało zaplanowane w oficjalnym kalendarzu "dziania się", coś, w związku z czym nagle nie mamy już wrażenia, że jest nam wszystko jedno, kiedy się dzieje i co się dzieje. Coś rzeczywistocie historycznego w tym sensie, że znów może być określane słowem "historia-dzieje"

Jak jednak w naszych konkretnych warunkach historia może "dojść do głosu"? I co taka perspektywa konkretnie oznacza?

Nie jestem ani historykiem, ani prorokiem, niemniej jednak nawet po prostu obserwując - co się dotyczy struktury takich chwil - człowiek musi przecież coś zauważyć. Tam, gdzie istnieje - przynajmniej do pewnego stopnia - jawna rywalizacja o władzę jako jedyna rzeczywista rękojmia publicznej kontroli władzy (a wreszcie również jakiejś takiej wolności słowa), władza chcąc nie chcąc musi nawiązać stały i szczery dialog z życiem społecznym, musi na bieżąco rozwiązywać najrozmaitsze problemy, stawiane przed nią przez życie. Gdzie jawna rywalizacja o władzę nie istnieje (i gdzie zatem oczywiście wcześniej czy później zduszona będzie także wolność słowa) - co zachodzi w wypadku każdego reżymu "antropicznego" - tam władza nie adaptuje się do życia, lecz stara się dostosować życie do siebie, co oznacza, że zamiast na bieżąco i jawnie ustosunkowywać się do jego rzeczywistych sprzeczności, roszczeń i problemów, po prostu je zamazuje. Niemniej jednak sprzeczności te i roszczenia gdzieś pod powierzchnią istnieją, gromadzą się, narastają, aby w pewnej chwili, kiedy "powierzchnia" nie może już ich utrzymać, wydostają się na zewnątrz. I to właśnie jest owa chwila, w której wieko bezruchu pęka i na arenę znowu wkraczają dzieje.

I co właściwie staje się w takiej chwili?

Władza ma wprawdzie jeszcze dość siły na to, aby uniemożliwić jawną realizację presji sprzeczności życiowych w formie jawnej dyskusji i jawnej rywalizacji o władzę, nie ma już jednak dość siły na to, aby się moc tej presji skutecznie przeciwstawić. Toteż życie wdziera się choćby tam, dokąd wedrzeć się może: w tajemne kuluary władzy, gdzie sobie wymusza ukrytą dyskusję, a następnie ukrytą rywalizację o władzę. Jednakże władza nie jest przygotowana - jakkolwiek rzetelniejszy dialog z życiem wykracza poza zasięg jej zdolności - toteż wpada w panikę: życie wzbudza w jej gabinecie zamęt w postaci konfliktów personalnych intruz, zasadzek i pojedynków, a nawet - jeśli można tak powiedzieć - przenika bezpośrednio do poszczególnych jej reprezentantów; trupa maska bezosobowości, dająca funkcjonariuszom identyfikację z monolitowością władzy, nagle opada, a za nią ukazują się żywi ludzie, całkiem "po ludzku" rywalizujący o władzę i walczący - jeden przeciw drugiemu - żeby się uratować. Jest to znana nam chwila rewolucji pałacowych i puczów, nagłych i dla kogoś patrzącego z zewnątrz trudno rozróżnialnych zmian personalnych na funkcjach oraz też w przemowieniach, chwila demaskowania rzeczywistych lub wymyślonych spisków i tajnych ósrodków, chwila pouczania do wiadomości publicznej rzeczywistych lub wykonywanych zbrodni i wywrzebywania dawnych przewinień, chwila wzajemnego usuwania z różnych instancji wzajemnego obrzucania się błotem, a ewentualnie również aresztowań i procesów. I jeżeli do tego czasu wszyscy przedstawiciele władzy mówili jednym językiem, tyralary samymi frazesami, o tych samych celach i pomyślnym ich osiągnięciu, to nagle teraz ten monolitowy blok władzy rozpada się na różniące się wzajemnie indywidua, które nie pozostają wprawdzie dawny język, teraz jednakże nagle używany do wzajemnych inwencywnych oskarżeń - i ze zdumieniem słyszymy, że szeregowi z nich (mianowicie tym, którzy przegrali tajną walkę o władzę) bynajmniej nie chodziło o proklamowane cele i że wcale ich pomyślnie nie osiągnęli, lecz wprost przeciwnie. podczas gdy innym (to znaczy tym, którzy wygrali) naprawdę o te cele chodzi i tylko oni są w stanie je pomyślnie urzeczywistnić.

Im racjonalniej zatem budowano przez lata ów oficjalny kalendarz pseudo-dziania się, tym irracjonalniejszą postać przybiera później nagła inwazja prawdziwych dziejów: cała ich dławiona latami niepowtarzalność, wyjątkowość, nieprzewidywalność, cała ich latami negowana tajemniczość ujawnia się w jednej chwili. I jeżeli przez lata nie drobne, codziennego nigdy nie mogło nas zaskoczyć, teraz oto doczekaliśmy wielkiego zaskoczenia - ale też warto było. Cały "nieporządek" dziejów, przez lata przykrywany sztucznym porządkiem, teraz nagle tryska na zewnątrz.

Jakże bawmy tego nie znali! Mogliśmy to już przecież tyle razy w naszej części świata obserwować! Maszyna przez całe lata działająca na pozór bez zakłóceń, bez usterek, bez komplikacji, w ciągu jednej nocy rozpada się i kombinacja, która sprawiała wrażenie, że w niezmiennej postaci będzie panować do końca świata, ponieważ nie istnieje siła, która w tym świecie jednorodnych wyborów i jednorodnego głosowania mogłaby ją postawić pod znakiem zapytania, nagle się rozsypuje. I ze zdumieniem stwierdzamy, że wszystko było zupełnie inaczej, niż myśleliśmy.

Chwila, kiedy takie tornado szaleje w zatęchłym świecie ustabilizowanych struktur władzy, dla nas wszystkich, którzy stoimy poza władzą, bynajmniej nie jest jednak tylko przedmiotem rozmów. Pośrednio wprawdzie, ale przecież koniec końców zawsze chodzi tu również o nas: bo czyż to nie ow cichy i długotrwały nacisk życia, tych nieustannie tłumionych, a mimo to nigdy nie stłumionych ogólnospołecznych potrzeb, interesów, sprzeczności i napięć jest czynnikiem wywołującym owe trzęsienia władzy. Więc co się potem dziwić, że społeczeństwo zawsze się w takich chwilach budzi, że wygląda ich i buntowniczo się nimi napawa, że znajduje się w zasięgu ich oddziaływania i stara się je wykorzystać! Takie wstrząsy niemal zawsze budzą jakieś nadzieje lub jakieś obawy, niemal zawsze otwierają - bądź rzeczywiście, bądź to na pozór - obszar dla nowej realizacji różnych sił i intencji życia, niemal zawsze przyspieszają rozmaite ruchy w społeczeństwie.

Wszystko to jednak niemal zawsze kryje też w sobie - właśnie dzięki tak bardzo nienaturalnej strukturze takich sposobów konfrontacji z życiem, jakimi są nagłe trzęsienia władzy - liczne, wielkie i nie przewidziane z góry ryzyka.

Spróbuję naświetlić bardziej szczegółowo jeden typ takich ryzyk.

Jeżeli człowiek co dzień milcząco słucho swego niezdolnego przełożonego, jeżeli co dzień z poważną twarzą uczestniczy w obrzędach, które w rzeczywistości pobudzają go do śmiechu, jeżeli bez żenady pisze w ankiecie coś odwrotnego do swych rzeczywistych poglądów i gotów jest publicznie wypierać się samego siebie jeżeli bez zahamowań symuluje sympatię lub nawet miłość tam, gdzie w rzeczywistości jest obojętny lub żywi wstręt - wszystko to nie oznacza jeszcze, że całkowi cie wygasło już w nim jedno z podstawowych ludzkich uczuć, mianowicie poczucie poniżenia.

Przeciwnie: chociaż nikt o tym nie mówi, ludzie bardzo dokładnie czują, czym płacą za swój zewnętrzny spokój: trwałym poniżeniem swej ludzkiej godności. I im mniej bronią się bezpośrednio przed tym poniżeniem - nie ważne, czy pomaga im w tym zdolność wymazania go ze swej świadomości i wmówienia w siebie, że właściwie chodzi "o tak niewiele", czy po prostu umiejętność zaciśnięcia zębów - tym głębiej zapisuje się ono w ich podświadomości. Ten, kto umie na bieżąco przeciwstawiać się swemu poniżeniu, potrafi także szybko o nim zapomnieć, kto natomiast potrafi długo w milczeniu je znosić, potrafi też długo o nim pamiętać. Tak więc w rzeczywistości nic nie popada w zapomnienie: cały przeżyty strach, cała narzucona dwulicowość, cała ta żenująca i niegodna błazenada - najbardziej zaś chyba ze wszystkiego poczucie ujawnionego tchórzostwa - wszystko to osadza się gdzieś na dnie świadomości społecznej, magazynuje się tam, prowadzi krecią robotę.

Nie jest to, oczywiście, sytuacja zdrowa: wrzody nie zostały w porę zoperowane, zwołna ropieją, materia nie może wydostać się z ciała, zakażenie ogarnia wreszcie cały organizm, naturalne ludzkie uczucia nie mogą się długo obiektywizować i przebywając przez dłuższy czas w niewoli pamięci deformują się stopniowo, przechodzą w niezdrowe drgawki, w coś trującego - jak powstający podczas niedoskonałego spalania tlenek węgla, czad.

Co się tu zatem dziwić, że w chwili, kiedy wieko pęka i lawa życia tryska na powierzchnię, obok rozsądnego dążenia do naprawy uprzednich krzywd, obok dążenia do prawdy i do zmian, jakich wymaga życie, pojawiają się również pierwiastki przepojonej złością nienawiści, pałającej chęci zemsty złości, gorączkowego pragnienia natychmiastowej satysfakcji za wszystkie przeżyte poniżenia! (Szaleńczy i często nieproporcjonalny do sytuacji charakter takich dążeń wynika przy tym w znacznym stopniu również z niejasnego przeczucia, że w gruncie rzeczy ten wybuch nastąpił już za późno, w czasie, kiedy nie ma już sensu, ponieważ stracił

aktualne bodźce, a z nimi także aktualne ryzyko, że właściwie jest już jedynie namiastką czegoś, co w rzeczywistości powinno być nastąpić zupełnie kiedy indziej.

Co się tu zatem dziwi, że reprezentanci władzy, przez lata nawykli do absolutnej aprobaty, jedomyślnego i bezgranicznego poparcia oraz totalnej jedności, totalnej i powszechnej dwulicowości, są w takiej chwili tak bardzo zaszokowani erupcją tłumicznych uczuć, czują się w tak niebywałym stopniu zagrożeni, a ponieważ - uważają siebie za jedynych gwarantów istnienia świata - w zagrożeniu tym widzą niebywałe zagrożenie całego świata, nie wahają się przez to wzwać na swój i jego ratunek pomocy milionowych obcych armii!

Jeden taki wybuch przeżyliśmy niedawno. Ci, którzy przez lata poniżali i obrażali człowieka, a następnie byli tak bardzo zaszokowani, gdy ten człowiek spróbował dojść do głosu, nazywają dzisiaj ten okres "okresem rozpalonych namiętności". Jakież to wówczas namiętności się w istocie rozpałyły? Kto wie, jak długotrwałe i na jak szeroki skalę zakrojone poniżenie tę eksplozję poprzedziło, kto rozumie ów psychologiczno-socjalny mechanizm reakcji ex post na tak długo znoszone poniżenie, powinien być już raczej odczuwać zdumienie na myśl, jak stosunkowo spokojną, rzeczową i nawet lojalną postać przybrał cały ten "wybuch". A mimo to za tę "chwilę prawdy" musieliśmy, jak wiadomo, słono zapłacić.

Władza dzisiejsza różni się zasadniczo od tej, która istniała przed niedawnym wybuchem. Nie tylko dlatego zresztą, że jeżeli tamta była, że tak powiem, "oryginałem", to ta jest tylko jego sformalizowaną imitacją, niezdolną ocenić stopnia, w jakim w miarę upływu czasu zdarto mistyfikacyjne osłony z "oryginału" - lecz przede wszystkim dlatego, że o ile dawna władza miała realne i bynajmniej niebagatelne zaplecze socjalne w postaci afnego (choć stopniowo malejącego) poparcia ze strony części ludności oraz opierała się na realnej i bynajmniej niebagatelnej (choć stopniowo wietrzejącej) sugestywności obiecujących początkowo perspektyw socjalnych, o tyle dzisiejsza opiera się już wyłącznie na instynkcie samozachowawczym panującej mniejszości oraz strachu opanowanej większości.

W takich okolicznościach trudno przedstawić wszelkie możliwe do przewidzenia alternatywy przebiegu ewentualnej przyszłej "chwili prawdy", mianowicie sposób, w jaki tak kompleksowo i tak jawnie poniżane społeczeństwo mogłoby doznać się pewnego dnia satysfakcji, a zupełnie już nie można oszacować zasięgu i głębi tragicznych konsekwencji, jakie ta chwila mogłaby, a bodaj i musiałaby wreszcie przynieść naszym narodom.

W związku z tym człowiek musi ogarnąć zdumienie, jak wielka jest niezdolność władzy - twierdzącej o sobie, że jest najbardziej naukowa ze wszystkich możliwych - do zrozumienia elementarnych praw swego własnego funkcjonowania oraz do wyciągnięcia nauk ze swoich własnych dziejów.

Nie boję się, jak widać, że z chwilą nastania obecnego kierownictwa skończyła się w Czechosłowacji życie i zatrzymał się definitywnie bieg dziejów. W dotychczasowej historii po każdej sytuacji i po każdej erze następowała inna sytuacja oraz inna era i dotychczas też zawsze - bez względu na to, czy człowiekowi wychodziło to na dobre, czy też przynosiło szkodę - te nowe sytuacje lub ery bywały bardzo odległe od wszystkich wyobrażeń o przyszłości, żywnych przez organizatorów i władców epoki poprzedniej.

Boję się czegoś innego. Cały ten list w gruncie rzeczy mówi o tym czego się rzeczywiście boję: bezsensownie dotkliwych i długotrwałych następstw, jakie całe to dzisiejsze gwałcenie będzie miało dla naszych narodów. Boję się tego, czym będziemy wszyscy musieli zapłacić za to drastyczne zduszenie dziejów, za to okrutne i zbędne zagnanie życia kędyś w podziemia społeczeństwa i ludzkiej duszy, za to nowe, dokonane przemocą "odroczenie" wszystkich możliwości życia - jako społeczeństwo - w sposób chociażby trochę bardziej naturalny. I - jak zapewne wynika z tego, co napisałem przed chwilą - nie chodzi mi przy tym jedynie o to, co płacimy na bieżąco w walucie codziennej goryczy z powodu zgwałcenia społeczeństwa i poniżenia człowieka, nie chodzi tylko o tę wysoką daninę, którą będziemy musieli zapłacić w postaci długotrwałego duchowego i moralnego upadku społeczeństwa, ale chodzi mi także o tę trudną dziś do odgadnięcia cenę, którą mogłyby nas wszystkich kosztować owa chwila, kiedy życie i dzieje uponają się w przyszłości o swe prawa.

Odpowiedzialność polityka na kierowniczym stanowisku za sytuację w kraju bywa różna i naturalnie nigdy nie jest absolutna: nikt nie rządzi sam, określoną część odpowiedzialności ponoszą również ci, którzy takiego polityka otaczają, żaden kraj nie żyje w próżni, jego politykę zatem zawsze w tej albo innej mierze określa także polityka innych krajów, znaczną winę ponoszą oczywiście zawsze również ci, którzy rządzą poprzednio - ich bowiem polityka uwarunkowała sytuację, w jakiej kraj się znajduje, za wiele ponoszą też odpowiedzialność obywatele - czy to każda jednostka, jako suwerenna istota swym codziennym osobistym podejmowaniem decyzji współtworząc stan ogólny, czy też wszyscy razem, jako określona całość historyczno-socjalna, limitowana warunkami, w których się rozwija, lecz jednocześnie zwrotnie limitująca te warunki.

Pomimo tych ograniczeń, występujących naturalnie także w naszej dzisiejszej sytuacji. Pańska odpowiedzialność, jako czołowego polityka, wciąż pozostaje wielką: współdecyduje Pan o klimacie, w którym wypadło nam wszystkim żyć, i na Pan także bezpośredni wpływ na ostateczną wysokość daniny, jaką nasze społeczeństwo zapłaci za swą dzisiejszą "konsolidację".

W Czechach i Słowakach - tak samo jak w każdym narodzie - żyją równoległe najrozmaitsze przesłanki: mieliśmy, mamy i będziemy mieć bohaterów, tak samo jak mialimy, mamy i będziemy mieć donosicieli i zdrajców. Jesteśmy zdolni dać wyraz swej twórczej sile i fantazji, dorósć duchowo i moralnie do niespodziewanych zmian, walczyć o swoją prawdę i oddać życie za innych - ale też w równym stopniu jesteśmy zdolni popaść w totalne zubożenie, nie troszczyć się o nic oprócz własnego brzucha i nawzajem podstawić sobie jedynie nogi. I chociaż ludzkie dusze nie są półlitrowkami, do których każdy może nalać, co mu się żywnie podobą (ten arogancki pogląd na lud spotykamy często w przemówieniach oficjalnych, w postaci owego okropnego frazesu, że "my" - czyli rząd - "musimy doprowadzić do głów ludzi" to czy owo), to przecież właśnie od przywódców w znacznym stopniu zależą, które z tych wszystkich przeciwstawnych dyspozycji, drzemających w społeczeństwie zostaną uruchomione, które z tych potencjalnych możliwości otrzymają okazję przekształcenia się w rzeczywistość, a które - przeciwnie - zostaną zduszone.

Póki co systematycznie aktywizuje się i rozwija to, co jest w nas najgorsze - egoizm, hipokryzję, obojętność, tchórzostwo, strach, rezygnację, pragnienie wydzielnictwa się ze wszystkiego bez względu na skutki dla innych, dla ogółu.

A przy tym również dzisiejsze kierownictwo państwa ma możność takiego odziaływania swą polityką na społeczeństwo, żeby okazję rozwoju uzyskiwały nie te najgorsze, lecz właśnie lepsze z tkwiących w nas cech.

Póki co obrał Pan drogę dla siebie najwygodniejszą, a dla społeczeństwa najbardziej niebezpieczną: mianowicie drogę zewnętrznych pozorów za cenę wewnętrzne-go upadku, drogę zwiększania entropii za cenę uśmiercania życia, drogę samego tylko chronienia własnej władzy za cenę pogłębienia duchowego i moralnego kryzysu społeczeństwa oraz systematycznego poniżania godności ludzkiej.

Ma Pan przy tym możliwość nawet w ramach swych ograniczeń uczynić wiele dla stosunkowej choćby poprawy sytuacji: byłaby to może droga bardziej męcząca, mniej wdzieczna, jej rezultaty nie ukazałyby się natychmiast, tu czy tam napotkałby Pan opór - jednak z punktu widzenia rzeczywistych interesów i perspektyw naszego społeczeństwa byłaby to droga stanowczo nieporównanie sensowniejsza.

Jako obywatel tego państwa domagam się niniejszym publicznie od Pana, a wraz z Panem od wszystkich innych kierowniczych działaczy obecnego reżymu, abyście Panowie poświęcili uwagę okolicznościom, które starałem się Panom zasignalizować, abyście w ich świetle rozważyli stopień swej odpowiedzialności przed historią i zgodnie z nią postępowali.

8.4.1975 r.

Vaclav Havel, pisarz

NAD KSIĄZKAMI

WŁODZIMIERZ MART

O ESEJACH

JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

"W rzeczywistości przyszłość  
jest realizacją utopijnych  
snów i marzeń ludzi i narodów"

Juliusz Mieroszewski

Dwa można z grubsza wyodrębnić podstawowe typy i zarazem sposoby uprawiania pisarstwa politycznego. I więc namiętne, rozchwałstane, zalewające potokiem słów, grające na sentymentach i resentymentach własnych i odbiorcy, wciągające niekiedy w niebezpieczną spiralę gry instynktów budzącą demony. I drugie - chłodne, obiektywizujące, unikające nadużywania wielkich a serdecznych słów, dające pierwszeństwo argumentacji ad rem nie zaś ad personam. Tak skonstruowany podział nie ma naturalnie na celu wykazania wyższości któregoś z obu wymienionych sposobów pisarskiej wypowiedzi. W konkretnych sytuacjach różnie one oddziałują. Bardzo wiele zresztą - a może niemal wszystko - zależy po prostu od zdolności publicysty.

Juliusz Mieroszewski był pisarzem, reprezentującym najlepsze cechy tej drugiej tendencji. Podziw jest przemożnym wrażeniem wyniesionym z lektury wydanego po jego śmierci tomu szkiców, ogłaszanych najpierw w "Kulturze" w latach 1971-1975. Zaprezentowane w osobnej publikacji<sup>x</sup> uwypuklają bowiem wyraźniej jeszcze belazną konsekwencję myśli politycznej i wysokie walory argumentacji ich twórcy - zalety znane jego uważnym czytelnikom od dawna, dowodzą one także raz jeszcze słuszności sądu o szczególnej zwartości jego pisarstwa.

Sposób penetracji przez Mieroszewskiego zjawisk społecznych, politycznych czy ideologicznych jest na pozór chłodny, pozbawiony patosu. Jest to eseistyka wyrzekająca się potrzęsania chorągwiami, ale nie pozbawiona dumy i szlachetności, uwolniona od męczącego frazesu i nabożnych wzruszeń nad narodową i społeczną kondycją, ale humanistyczna i patriotyczna, elastyczna, podatna na bodźce otaczającego świata, nie zasklepiająca się w zdogmatyzowanych formułach, choćby najmiłszych sercu, ale zarazem nie odchodząca od pryncypiów, unikająca stylistycznej afektacji, lecz błyskotliwa, odrębna, pociągająca. I na tyle odmienna, zwłaszcza w swej warstwie treściowej, że wyróżniająca się na tle świetnych nawet piór emigracyjnych i krajowych.

Gdy o tych drugich idzie - krótkie rozwinięcie. W Polsce nie brakuje zdolnych publicystów politycznych - zarówno wśród optujących na rzecz obowiązującego systemu wartości, jak i wśród opozycji będącej in statu nascendi. Dlaczego więc tak rzadko pojawia się polityczna eseistyka niekłamanie wysokiej próby? Upraszczać nieco, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pierwsi są niejako ubezwłasnowolnieni bądź to przez swój ideologiczny formalny lub szczerzy akces do panującego systemu, bądź to przez skutki wynikające z psychologicznej zgody na podporządkowanie się władzy, bądź przez jedno i drugie. Ograniczają ich nadto ściśle wykreślone ramy, w których oficjalna myśl polityczna, a raczej "polityczna", poruszać się i może i musi. Nie może być bowiem dobrego pisarstwa ugodowców, gdy w systemie nie

<sup>x</sup> - Juliusz Mieroszewski, Materiały do refleksji i zadumy, Instytut Literacki, Paryż 1976, ss. 256

jest możliwa nawet ugoda, lecz wymagane jest posłuszeństwo. Natomiast publicystyka polityczna drugich, pozbawiona rzecz jasna wspomnianych serwitutów, nosiła na sobie niekiedy piętno tego, co bohater "Nierzęczywistości" nazywa kompleksem lokalności Polaków, a z czego coraz liczniejsze jednostki z formacji intelektualnej ukonstytuowanej przez sprzeciw wobec narzuconej hierarchii wartości oczynają się obecnie wyłamywać.

Wracając ad rem, zauważmy, że wcale nie tak rzadko okazuje się, iż publicystyka pisarsko sprawna, klarowna i logiczna nie przystaje do realiów, błędnie rozpoznaje i mylnie przewiduje. Mieroszewski z powodzeniem unikał tych ślepych zakrętków. Eseistyka jego tkwiąc w miąższu rzeczywistości krajowej jest jednocześnie uczulona na wszelkie ważniejsze zachodzące w świecie procesy i zjawiska polityczne. Jest swego rodzaju zagadką jak człowiek ten - z dala od Polski i w sensie chronologicznym, i przestrzennym i, być może najważniejsze, psychologicznym, od niej barierami zdawałoby się nieprzekraczalnymi, bo odmiennymi płaszczyznami pojęć, wyobrażeń, doznań, odruchów i reakcji na nie - tak dobrze wyczuwał puls podskórnych bioprądów społecznych, wiernie to arzysząc tym siłom, w których działaniu upatrywał możliwości zmian w kierunku demokratyzacji systemu.

Pisarstwo Mieroszewskiego ze względu na fakturę, język, konstrukcję, sposób argumentacji, a zwłaszcza ze względu na proponowane treści polityczne i ideologiczne wyzwala - jak każda wysokiego lotu publicystyka polityczna - przeciwstawne reakcje. Nieliczni tylko reagują na pisarstwo to w sposób letni czy obojętny.

Czy zatem dla zwolennika pisarstwa Mieroszewskiego, za którego się uważam, wszystko o czym pisał ten publicysta jest przekonujące i bez skazy? Nie ma luźno i nieomylnych. Prawda prozaiczna, w szczególności w odniesieniu do delikatnej i misternej sfery, jaką tworzy rzeczywistość ideologiczno-polityczna. Tylko totalistycznej z ducha i praktyki nie mylą się nigdy. Toteż i zwolennik pisarstwa Mieroszewskiego napotyka w jego koncepcjach - obok wniosków i idei interesujących, niekiedy rewelacyjnych - także elementy, które można by wymienić na inne lub bez żalu pominać, napotkać takie interpretacje, które wywołują opór. Zastrzeżenia te w większości będą się odnosiły do spraw drugorzędnych i nieistotnych z punktu widzenia światopoglądowych założeń jego pisarstwa.

## II

Nie sposób tu wyczerpująco ukazać ani bogactwa myśli, ani choćby nawet dokładnie wymienić wszystkie wątki, pomysły oraz hybrydy i mutacje dawniejszych idei publicysty zawarte w tym zbiorze esejów. Zatem z konieczności ograniczę się do zwięzłej próby przedstawienia najistotniejszych właściwości charakterystycznych dla ontologicznej istoty pisarstwa Mieroszewskiego.

Odznacza się ono otwartością na problematykę światową. Mieroszewski na pierwszym miejscu był Polakiem, ale był także Europejczykiem, bardzo uczulonym na to wszystko - zwłaszcza w sferze kulturowej - co łączy mieszkańców naszego kontynentu. Europejskość czyniła go więc wrażliwym na wszelką zaściankowość Polaków w mentalności, kulturze, ideologii i polityce. Właściwość tę uważał za wadę, która dziś, w świecie spoglądającym już niemal w brzask XXI wieku, bardziej niż kiedykolwiek w dziejach Polski, stać się może jednym z podstawowych źródeł zagrożenia bytu narodowego. Toteż pomieszczanie spraw polskich w kontekście światowym lub europejskim jest wybijającą się cechą jego publicystyki.

Dla ilustracji przytoczmy krótki cytat. "Trzeba młodym - pisał - zaprezentować polskość jako istotny fragment problemu europejskiego. Gdybym miał przedstawić do młodych chłopców i dziewcząt urodzonych w Anglii - to nie mówiłbym im o Bolesławie Chrobrym, Koperniku czy Piłsudzkim - ale zacząłbym od stwierdzenia, że w roku 1939 było w Europie 7 dyktatorskich rządów. Dziś jest ich 12". Wprawdzie w 1939 r. było, jak myślę, tych reżimów więcej, ale nie to jest tu ważne. Powyższy fragment odsłania bowiem obok wspomnianej innej jeszcze cechy pisarstwa Mieroszewskiego: umiejętność wychwytywania wyznaczników otaczającej rzeczywistości, szerokość spojrzenia, odwagę odrzucania miłych sercu stereotypów, racjonalny krytycyzm.

Racjonalny krytycyzm właśnie uodpornił go na mąjące wzrok i gmatwujące właściwy wybór perspektywy przeciwieństwo historycznej tradycji. Cenna to właściwość

w czasach, gdy nie tak rzadko wspomniano ryngrafów, dawnych wiktorii, minionych podbojów zastępują potrzebą myślenia o dniu dzisiejszym w kategoriach współczesności. Mieroszewski jest podejrzliwy wobec tego, co przesadne, co nadmiernie zapatrzona w przeszłość co miarą minioną mierzy teraźniejszość. Sam nato miast kieruje wzrok ku temu, co postępowe i przyszłościowe. Pisał na ten temat tak: "postęp w każdej dziedzinie jest poprzez kontrowersje". toteż "jeżeli się chce wysuwać nowe koncepcje, trzeba stare odrzucić... W sumie zagadnienie sprowadza się do kwestii: co kto odrzuca? konserwatyści odrzucają niezmiernie więcej rzeczy nowych niż starych". Jednocześnie broni się skutecznie przed popadnięciem w skrajność bałwochwalczej ekscytacji tym co nowe, pochającej niekiedy do zapoznania skumulowanych doświadczeń minionych pokoleń.

O jednym należy jeszcze wspomnieć. Wśród publicystów politycznych są krytycy wad społecznych czy narodowych, demaskatorzy niedojrzałych koncepcji historyzoficznych i politycznych, którzy nie potrafią jednak wykroczyć poza samą krótką analizę zjawisk. Trudno rozstrzygać, co jest tego przyczyną. Czy toskaza na talencie, wada natury psychologicznej, niedomiar wiedzy lub odpowiedzialności, bądź coś jeszcze innego? Mieroszewski do tej kategorii ludzi nie należał. Przeciwnie, podejmując od dawna trudne, niekiedy bolesne rewizje historyczne i polityczne, równoległe proponował odważne alternatywne rozwiązania.

Wspomniane cechy, w dużej mierze decydujące o zaletach jego eseistyki, stanowią jednak zewnętrzne "zwrniki" osobowości pisarskiej Mieroszewskiego. I dopiero łączenie z wyznawanymi przez niego podstawowymi kanonami światopoglądowymi zakreślają granice, których myśl polityczna pisarza się obraca. Kanony te stanowią zarazem jakby elementy docelowe jego wizji. Owe nadrzędne zasady - to suwerenność jednostki i narodu, humanizm, socjalizm i ewolucjonizm. Ile rodzajów ideologii, sposobów uprawiania polityki, wariantów interpretacyjnych, tyle możliwości rozumienia tych zasad. Jedynie więc analiza zawartości treściowej esejów Mieroszewskiego - tu z konieczności pobieżne - pozwoli na poprawne odczytanie desygnatów, w jakie wyposaża on owe terminy.

Leitmotiwem "Materiałów do refleksji i zadumy" jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie - w dziejach myśli niepodległościowej stale obecne - w jaki sposób Polska może odzyskać suwerenność? Nie będzie przesadą stwierdzenie, że jest to kwestia właściwie centralna dla całej - od pierwszych powojennych szkiców po ostatnie - publicystyki Mieroszewskiego. "Polska jest w tak trudnej sytuacji, że należy przebadać każdą koncepcję i zastanowić się nad każdą możliwością" - pisał. A że rozważania te, gdy prowadzone są uczciwie, wciągają bardzo głęboko, dotykając pokładów niepokojących, często tak chętnie - czy to z lenistwa umysłowego, czy z lęku docieczenia prawdy? - spychanych w zapomnienie, że narzucają potrzebę przewartościowania dawnych oczywistości, że wymagają przykrych operacji na materii historycznego jestestwa - to zrozumiałe. W dzisiejszym położeniu - po wiada Mieroszewski - najważniejszych celów narodowych nie osiągnie się bez oczyszczających ofiar i cięć. Bowiem droga do suwerenności realnej i niezakłanej, choć na miarę możliwości i ograniczeń narzucanych przez wymogi i warunki dzisiejszego świata (pisał: "W Europie - wyłączając Rosję - żadne z państw nie jest w klasycznym tego słowa znaczeniu suwerenne") jest długa, bardzo trudna, a perspektywy zamazane.

W płaszczyźnie przemian wewnętrznych - które zdążyć winny w stronę osiągnięcia kolejnych stopni rzeczywistej suwerenności jednostki i społeczeństwa - droga ta wspierać się musi o zasadę, że "tylko poprzez napór społeczeństwa może coś osiągnąć". Przekonanie to, będące refleksem socjalistycznego światopoglądu Mieroszewskiego i wsparte doświadczeniami polskiego powojennego okresu, każe mu analizować każdą szansę, każdy na razie nawet nikły trop społeczny prowadzący w pożądanym kierunku, każe układać mniej lub bardziej prawdopodobne scenariusze wydarzeń wewnętrznych i zewnętrznych i każe poszukiwać optymalnej z punktu widzenia realizacji celu podstawowego ich stycznej trajektorii. Napór społeczeństwa wtedy zyska właściwy wymiar i skuteczność, gdy włączy się doń jako zasadnicza siła motoryczna klasa robotnicza. Bez współdziałania robotników i solidarności społeczeństwa zmiana systemu rządów monopartii na demokratyczny jest wątpliwa, a właściwie nawet nierealna. Mieroszewski bowiem nie wątpił, że d z i ś robotnicy stanowią siłę, z którą system liczyć się musi najbardziej. Oto na przykład pisał po grudniu 1970 roku: "Komunizm z wszystkich współczesnych ustrojów



jest najmniej elastyczny, najmniej reformatorski i najbardziej konserwatywny, komuniści rozbudowując przemysł kręcą bicz na samym sobie. Przemysły w oczach komunistów mają stanowić bazę ich dyktatorskiej władzy. Komuniści zapominają jednak, że uprzemysłowienie produkuje nie tylko dobra materialne, lecz również klasę robotniczą, której siła i uświadomienie polityczne rosną z każdym miesiącem".

Przyznajmy, że słowa te brzmią dziwnie znajomo. Tak, to po prostu przeciwrotna adaptacja słynnej tezy twórców marksizmu zapowiadającej przyszły los burżuazji! Zaskakujące bywają wędrówki idei.

Jednak możliwość zmiany systemu nie stanie się rzeczywistością, i - dodajmy - dotąd ustroj ten będzie trwał także siłą wewnętrznej inercji, dopóki robotnicy nie uznają, że obok "walki o kiełbasę" niezbędna jest walka o reformy ustrojowe, które "winny być w pierwszym rzędzie zamówieniem społecznym klasy robotniczej". W takim kontekście i tradycyjna rola inteligencji ulega przemianom, obecnie jej przyszłość coraz bardziej związana jest z klasą robotniczą, choćby z powodu wzajemnego podobieństwa kondycji społecznych. Powinnością inteligencji - obok wnoszenia w życie społeczne jej tylko właściwych cennych samostojnych pierwiastków - ma być artykułowanie pragnień i dążeń klasy robotniczej w programy i platformy polityczne. Pisał na ten temat tak: "Jednym z podstawowych elementów mojej wizji politycznej jest sojusz inteligencji z klasą robotniczą". Słowa, które z sympatią muszą być odczytywane przez opozycję demokratyczną w kraju.

Niechże jednak nikogo nie myli podobieństwo porozrzucanych w szkicach szeregu twierdzeń z тезami marksizmu. Podobieństwo to jest pozorne. Powiedzmy wyraźnie: Mieroszewski marksista w klasycznym sensie tego terminu nie był. Natomiast marksizm odcisnął na jego światopoglądzie pewien ślad, widoczny zwłaszcza w stosunku do klasy robotniczej i kapitalizmu. Rzecz by można, że był Mieroszewski demokratą i socjalistą w istotnie zmodyfikowanej wersji. Ale jego wersja socjalizmu różni się zarazem od nienal beztreściowego socjalizmu w wydaniu części socjaldemokracji.

Krytycy komunizmu wypowiedzieli na temat fenomenu tej ideologii słowa słuszne i mądre, ale również wiele sądów naiwnych bądź płaskich i prymitywnych. To co w tej materii ma do przekazania Mieroszewski jest interesujące właśnie w aspektach uwypuklenia przebiegających na różnych płaszczyznach opozycji między założeniami a praktyką socjalizmu i komunizmu. Dla niego demokracja, będąc przeciwieństwem tego wszystkiego, co w zakresie swobód i praw obywatelskich jednostki i ogółu przynosi jakikolwiek totalizm, jest więc też ze swej istoty zaprzeczeniem komunizmu - lecz nie socjalizmu. Demokracja jest bowiem nieodłącznym atrybutem socjalizmu, więcej: jest jego pierwszym podstawowym warunkiem koniecznym. "Socjalizm - pisał - można realizować tylko w ustroju parlamentarnej demokracji i dlatego socjalista musi być w pierwszej kolejności obrońcą ustroju demokratycznego a dopiero w drugiej kolejności socjalistą". A w innym miejscu dodawał: "Demokracja nie gwarantuje rozkwitu socjalizmu - lecz likwidacja demokracji gwarantuje likwidację socjalizmu".

Największym zagrożeniem demokratycznego socjalizmu jest instytucjonalizacja, toteż realizować się on winien przede wszystkim w płaszczyźnie moralnej. "Socjalizm - stwierdzał - winien być zawsze programem społecznym a nie oficjalną ideologią państwową". I jeszcze: "nie ma i nie może być państwa socjalistycznego. Państwa jako instytucji narodowej w chwili napaści z zewnątrz można i należy bronić siłą. Natomiast socjalizmu nie można wprowadzać w czyn siłą ani bronić siłą - ponieważ socjalista, który ucieka się do przemocy przestaje być socjalistą... Innymi słowy, trzeba zrezygnować z państwa socjalistycznego by móc budować społeczeństwo socjalistyczne". Wedle Mieroszewskiego właśnie w podejściu do kwestii instytucjonalizmu zawiera się jeszcze jedna esencjonalna różnica pomiędzy najbardziej nawet liberalnym, powiedzmy, z okresu "Praskiej Wiosny", komunizmem a socjalizmem. Bowiem "komunizm (każdy komunizm) - odróżnia od socjalizmu demokratycznego instytucjonalizm". Dopiero wówczas, gdy pluralistyczny komunizm zechce się wyrzec instytucjonalnej struktury, zacznie on przeistaczać się właściwie w radykalny socjalizm demokratyczny.

Przy całej swej niechęci do komunizmu, nie miał Mieroszewski w sobie nic z prymitywnego antykomunisty i posługiwał się w analizie konkretnej sytuacji wy-

oienionowymi sądami. Przestrzegał przed zgubnymi uproszczeniami. I komunizm  
komunizmowi nie jest równy. Nie muszę dodawać, że miał rację. Porównajmy ko-  
munizm ery Dubczeka czy nawet jugosławiański z obecnymi systemami w Czecho-  
słowacji, NRD, Rumunii!

Warto, myślę, zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt socjalistycznych  
przekonań Mieroszewskiego, ściśle zresztą wiążący się z jego wizją przyszłej  
Polski. Polska wiarygodna była dla niego w swej naprawie racjonalnej perspekty-  
wi Polską społeczeństwa demokratycznego i socjalistycznego. Ponieważ zaś soc.  
jalizm jest w swym podstawowej warstwie także przeciwieństwem kapitalizmu  
(który "w każdej fazie swego rozwoju jest tym czym był i czym zawsze będzie"),  
zrodzona genetycznie z buntu właśnie przeciw niemu, toteż nie może być po-  
wrotu choćby do cienia jakże anachronicznej polityczno-społecznej struktury  
miedzwojnia. "Na emigracji - pisał - jedynie Kultura zajęła w tej sprawie jasne  
stanowisko... Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczpospolita... zatrzyma zdoby-  
cze socjalizmu. Tak jak polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszar-  
niczej prywatnej gospodarki rolnej, tak nie może być również kapitalistycznej re-  
prywatyzacji wielkich zakładów przemysłowych". Czytając te oczywiste niemal dla  
każdego dziś mieszkańca, kraju zdumienie budzi fakt, że przez lata sta-  
nowisko to było jedną z przyczyn ostracyzmu wpływowej części emigracji i wobec  
autora, i wobec pisma.

Ewolucjonizm stanowi kolejne ważne ogniwo pisarstwa Mieroszewskiego. Jedną z  
głównych konsekwencji tej teorii, wyłożonej w osobnej książce wydanej w 1964 ro-  
ku. Autor streścił następująco: "w krajach Europy wschodniej należy popierać  
tych, którzy dążą do demokratyzacji ustroju..." Z tego też wynika, że skoro ce-  
lów perspektywicznych nie da się w obecnej koniunkturze dopiąć od razu, jedynym  
sensownym postępowaniem jest dążenie od wewnątrz - ale przy moralnym poparciu  
emigracji - do stopniowego rozszerzania sfery niezależnej samoświadomości społec-  
znej i zakresu swobód demokratycznych.

### III

Te zasygnalizowane wyznaczniki światopoglądu i osobowości Mieroszewskiego  
napotykamy oczywiście także w bardzo chyba charakterystycznej dla całości kształtu  
jego myśli politycznej - i stąd szerzej w tym miejscu przedstawianej - koncepcji  
Wiedza, intuicja i mądrość podpowiedziały mu, że punkt centralny przyszłych  
losów Polski leży w płaszczyźnie jej stosunków z sąsiadami. Zaskugą jego było  
wytrwałe dążenie w społecznej świadomości potrzeby zrozumienia wagi prawidłow-  
wego podejścia do tej kwestii. Z wieloletnich ~~rozważań~~ jego i bliskich mu i-  
deowo zrodziła się umiłowana przezeń i wspierana gorąco przez "Kulturę" koncep-  
cja polskiej "Ostropolityk". Koncepcja ta, przekonująca, demokratyczna i humani-  
styczna w swych założeniach i treści, wydaje się być na dalszą metę także jedy-  
nie skuteczną i, paradoksalnie, mimo pozorów utopijności, jedynie realną  
właśnie. Mówiąc jeszcze ściślej, ten humanistyczny patriotyzm i demokratyzm pi-  
sarza - dający o sobie znać wszędzie tam, gdzie kroczy on gąszczem przeniknię-  
tych wzajemnymi resentymentami stosunków między Polakami, Ukraincami, Litwinami,  
Białorusinami, Rosjanami - pogląd ów konstytuuje. Jest to stanowisko otwiera-  
jące perspektywy i szanse tam, gdzie zaślepiiony szowinizmem nacjonalista bądź  
najwzyczajniej w świecie by ich nie dojrzał, bądź nie pojął znaczenia, bądź  
byłby je z góry odrzucał. Żeby nie było nieporozumień. Mieroszewski nie prezen-  
tował jakiegś odmiany postawy filoliteńskiej czy filoukraińskiej. Uważał jedy-  
nie, że każdy naród ma prawo do samostanowienia.

Proste, banalne nawet, nieprawdaż? Okaże się to nie takie pewne, gdy skrupu-  
latnie rozglądniemy się na własnym podwórku historii i współczesności, gdy wej-  
rzmy we wnętrza własnych dusz. Mieroszewski jak, nikt inny ze starej emigracji,  
i jak nieliczni stosunkowo w kraju, potrafi w przekonujący, spokojny i zarazem  
bezlitosny sposób dokonać wivisekcji mielizn i słabości różnych odmian myślenia  
nacjonalistycznego - tak społecznie niebezpiecznego zwłaszcza w wersji postende-  
ckiej - dowodząc, że prowadzą one na manowce. Analizując szanse realizacji za-  
łożonej ideologii egoizmu narodowego w prawdopodobnym scenariuszu wydarzeń, obna-  
ża fałsz myślenia politycznego, które w praktyce zasadę samostanowienia uważa  
za skuteczną, gdy jedynie odnosi się do Polaków. Główna geopolityka - abstrahując

ją nawet od wartości moralnych - wymaga jednak uznania praw Białorusinów, Litwinów do własnej państwowości. Wymaga czegoś więcej - ofiar to jest wczesnego zrozumienia konieczności wyrzeczenia się na przyszłość wszelkich roszczeń rewindykacyjnych na Wschodzie. Dziś po części rozstrzygają się przyszłe stosunki Polski z sąsiadami, jej byt polityczny i w konsekwencji kształt ustrojowy. Gdyby zwyciężyły bądź poglądy ludzi, "których program wschodni składa się z emocji, kompleksów i uprzedzeń" i głoszących, że "wszystko co rosyjskie jest złe i godne pogardy", bądź koncepcja neodmowszczyzny, to jest tych, którzy przez Rosję rozumieją Związek Sowiecki" - złe wróżyłoby to suwerenności Polski. Tylko właśnie "wyrównanie stosunków z Ukraińcami, Białorusinami, z Litwinami i w dalszej perspektywie z nieimperialistyczną Rosją - stanowi podstawowy warunek odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski".

Pozornie tylko bowiem jest poprawne logicznie endockie rozumowanie, zakładające, że mocarstwo, w stronę którego endocy tradycyjnie kierowali przychylny wzrok "uzna naszą niezależność za cenę uznania przez Polskę wieczystej niewoli" jej wschodnich sąsiadów. Ani program prometejski, ani program rozmów z wielkim sąsiadem nie wchodzi w rachubę, "bowiem takiego wyboru nie mamy". Położenie Polski, tradycje, w końcu własny interes skazują zarówno na Wschód jak i na Zachód. Trzeba umieć tę wyjątkową - i w dobrem, i w złym - sytuację wykorzystać. "Należymy bowiem - pisał - tak do Wschodu, jak i do Zachodu i powinniśmy pielęgnować i rozwijać ową dwoistość, która jedynie może nas uchronić przed zdeklasowaniem tak w sensie politycznym, jak i kulturalnym".

Natomiast polska "Westpolitik" w dzisiejszej konfiguracji światowej jest dla Mieroszewskiego tylko pochodną "Ostpolitik". Rozumowanie to, podkreślające tak wyraźny układ zależności jest uprawnione, choć można wyobrazić sobie nieco inne scenariusze rozwoju sytuacji na Zachodzie, mniej korzystne niż te, jakie kreśli Mieroszewski. Jakkolwiek by było, jedno jest jasne - orientacje wyrastające z podglebia prometejskiego lub endockiego jako anachroniczne skazane są prędzej czy później na niepowodzenie.

#### IV

O esejach Mieroszewskiego można by wiele jeszcze: o pasjonujących rozważaniach z zakresu polityki globalnej: o roli wielkich mocarstw i ich odpowiedzialności za pokój (np. "Pokojowi świata nie zagrażają małe i średnie narody domagające się samostanowienia i niepodległości - pokojowi świata zagraża zawsze i wszędzie rywalizacja nuklearnych supermocarstw"), o wnikliwych uwagach na temat istoty polityki radzieckiej, mechanizmów i ograniczeń tzw. doktryny Breżniewa, szans ewolucji ustroju i możliwości procesów dewolucyjnych w ZSRR, o kontrowersyjnych rozważaniach dotyczących Chin, o plusach i minusach nieśmiałej pohelskiej koniunktury dla narodów naszego regionu, o eurokomunizmie jako potencjalnej szansie osłabienia pozycji stalinizmu i spoistości ideologicznej i politycznej bloku radzieckiego, i o krótkowzrocznej w tym zakresie polityce amerykańskiej, uwikłanej w sieci dawnych uprzedzeń.

A także o przenikliwych rozważaniach dotyczących istoty i sił motorycznych totalizmu (np. celne zdanie: "Główną cechą totalizmu jest przemianowanie mitu w obiektywny fakt"), o totalizmie w skali polskiej i o perspektywicznej groźbie zastąpienia obecnej dyktatury nacjonalistyczną, o wizji orwellowskiego newspeak'u i o jej zmodyfikowanej "na wyższym szczeblu" polskiej realizacji, o anachronicznym stanie świadomości politycznej dużego odłamu dawnej emigracji i o walorach nowego wychodźstwa politycznego, o ostro i trafnie scharakteryzowanych proamerykańskich złudzeniach Polaków, przywiązanych do tradycyjnych uproszczonych wyobrażeń ładu światowego i powinnościach Zachodu wobec Polski - o błyskotliwych, acz dyskusyjnych rozważaniach na temat wzajemnych historycznych uwarunkowań myślenia politycznego Rosjan i Polaków, o jakże celnych - i zbieżnych z odczuciami czułych pisarskich rejestratorów przejawów życia społecznego w kraju - rozważaniach wokół psychologicznego,

społecznego, politycznego portretu i statusu inteligencji, jej stereotypie i ethosie, o korzeniach i skutkach konserwatyzmu w mentalności społecznej i o historyotwórczej roli myślącej mniejszości, o zawsze aktualnych problemach kultury socjalistycznej i swobody wypowiedzi (np. "kultura socjalistyczna, która opiera się na cenzurze, nie jest kulturą socjalistyczną", albo: "prawdziwy socjalizm dysponuje tak logiczną i przekonującą argumentacją, że nie potrzebuje cenzury. Cenzura potrzebna jest tylko policyjnemu totalistycznemu socjalizmowi, który udaje socjalizm").

Liste idei, problemów, ocen i interpretacji zawartych w esejach można by jeszcze ciągnąć...

## V

Czytelnikowi, który w krótkim odstępie czasu zapoznał się ze świetną esejstyką Mieroszewskiego i z ostatnią prozą Kazimierza Brandysa, obie pozycje nasuwają porównanie. Materialnie nie odnoszą się one do ich warstw tematycznych sensu stricto, które jedynie w niewielkim stopniu zachodzą w pewnych płaszczyznach dociekań na siebie, i nie do formy i stylu pisarskiej wypowiedzi, tak przecież odmiennych, lecz do przenikającego je pokrewnego duchowego klimatu. Zarówno bohater powieści, jak i publicysta emigracyjny ostrzegają przed groźbą zniewolenia umysłu i rozwijających się dewiacji psychospołecznych, w zbliżony sposób reagują na ujemne skutki deprawacji społeczeństwa przez system podobnie rozumieją zjawisko totalizmu. Tak samo reagują na słowa-klucze: demokracja, patriotyzm, humanizm. Bohater pisarskiej imaginacji żyje wśród nas, jest jednym z nas. Mieroszewski do końca swych dni żył poza Polską, na emigracji. Czytelnik jego szkiców nie odczuwa tego oddalenia. Czyż może być bardziej wymowne zwycięstwo pisarza nad czasem i przestrzenią?

Za dopełnienie przytoczonego na wstępie tekstu motto niech posłużą następujące słowa pisarza, które można by odczytywać jako jego credo ideowe: "Polska niepodległa, demokratycznie rządzona, w dobrych stosunkach ze swymi sąsiadami jest również utopią. Lecz to jest utopia, której nie zamierzam ani się wyzbyć, ani jej zdradzić".

Juiliusz Mieroszewski zmarł w Londynie 21 czerwca 1976 r.

JAN WALC

## M E D A L I O N Y

Biała Księga<sup>x</sup>. Kilkanaście historii ludzi zamordowanych czy zamęczonych, historii, które wydarzyły się współcześnie w Polsce, w naszej milczącej obecności, niemal na naszych oczach. Na oczach setek tysięcy czytelników Nałkowskiej i Borowskiego, ludzi, którzy o totalitarystycznym systemie uczyli się w szkole. Nie tak znów dawno temu pisaliśmy w wypracowaniach o bestialstwie niemieckich faszystów i bezapelacyjnej winie prof. Sonnenbrucha, który owego bestialstwa nie dostrzegał.

Ale gdy działy się historie w Białej Księdze opisane, myśmy oczywiście nic nie wiedzieli i nic nie widzieli, myśmy w tym czasie wykonywali swoje obowiązki: pracowaliśmy w biurach, sklepach, urzędach, może byliśmy nawet zawodowymi humanistami, może dyskutowaliśmy i pisaliśmy o człowieku jako takim, możeśmy chodzili na filmy przedstawiające martyrologię narodu w czasie wojny może... Czy rzeczywiście w ten sposób można tłumaczyć się przed sądem historii albo chociażby przed własnym sumieniem z bierności w obliczu rozpasanej nie-ludzkiej przemocy, w obliczu mordów i kaźni, sprawianych przez "funkcjonariuszy publicznych" - jak ich nazywa prawo - na chybił trafił wybranym ofiarom?

Nie jest Biała Księga oskarżeniem sformułowanym tylko, ani nawet nie przede wszystkim, przeciw organom Milicji Obywatelskiej - oskarża ona także społeczeństwo, które swoim milczeniem, swoją inercją, swoją nieodpowiedzialnością dopuściło do rozpanoszenia się bezprawia i terroru. Wiadomo bowiem, że policja na całym świecie ma tendencje do używania i nadużywania przemocy, istotne jest przeto, czy i w jaki sposób społeczeństwo stara się zabezpieczyć przed jej samowolą. Dodajmy: jeśli myślimy o Polsce, to chodzi o społeczeństwo, w którym przywilej wolności i nietykalności osobistej - "nominem captivabimus ni si iure victu" - ma ponad pięciusetletnią tradycję, nadany został bowiem już przez Władysława Jagiełłę. I dzisiaj ten naród godzi się na codzienne gwałcenie swoich konstytucyjnych praw, na to, by uzurpatorska władza nie krępowana była w swoim działaniu żadnymi ograniczeniami.

Biała Księga pokazuje, że policyjne tortury, powszechna praktyka bicia zatrzymanych, prowadzącego nawet do morderstw, nosi cechy nieustającej pacyfikacji, służy permanentnemu zastraszaniu społeczeństwa. I z naszej winy jest to działanie skuteczne, bowiem pozwalamy się zastraszyć. W imię codziennego - jakże jednak niepewnego! - spokoju godzimy się na praktyki władzy godzące w naszych współobywateli. Godzimy się np. by milicjanci w dawno południe Wielkanocy, w śródmieściu Warszawy wywlekali z tramwaju beznogiego inwalidę, skuwszy mu ręce kajdankami, za to, że o jego protezę potknęła się sierżantowa milicja. A przecież pasażerowie tramwaju mogli uratować inwalidę wojennego przed skatowaniem na posterunku milicji. Może i ty jechałeś tym tramwajem?

Wiele napisano słów krytycznych pod adresem złotej wolności szlacheckiej, samowoli i sobiepaństwa, które zgubiły Polskę. Mało, za mało pisano u nas o groźnej mentalności niewolniczej, o "kraju smutnym ilotów", o chochole i muzyce, w takt której kręcimy się w miejscu pod portretami Kościuszki i Wernyhory. Żyjący w jakiejś potwornej schizofrenii, rozdwojeniu jaźni, godzimy się, by między ideami, które wyznajemy, a naszą codziennością rosła nieprzekraczalna bariera.

Napisałem o portrecie Kościuszki. Widzimy go codziennie, czy niemal codziennie. Wystarczy choćby sięgnąć do portfela, żeby przypomnieć sobie ludzkie i obywatelskie powinności. Wyjmij z kieszeni 1000 złotych, docencie. Popatrz na wizerunek narysowanego tam człowieka. Zgoda, nie jesteś Kopernikiem. Ale czy pamiętasz, że uczonemu nie wolno ulęknąć się nawet inkwizycji? Że kiedy przychodzi zagrożenie dla narodu trzeba odłożyć obserwowanie gwiazd i sposobie się do obrony, do walki?

Wyjmij pięćsetkę, inżynierze. Popatrz na portret na inżyniera z zadartym nosem. Przypomnij sobie, co inżynier może i powinien robić dla kraju, dla ludzi. A student, że pieniędzy ma niewiele, niech wyjmie tylko stużłotówkę i popatrzy na tego brodatego młodzieńca w drucianych okularach. Niech popatrzy na niego przez tę małą chwilę, potrzebną do znalezienia jeszcze trzech złotych i wymienienia na butelkę żytniej. Może zakółacze mu się w głowie ten wyśmiany wiersz z akademii, którego nigdy nie odnosił do siebie. "Robota. Tak wiele roboty..."

A dla ciebie literacie, pozostanie już tylko bilon. Te małe dziesięciotówki, tak niewiele warte, ot, niecałą linijkę twego wiersza czy prozy. Popatrz na nie chwilę. Nie, nie z tej strony. Orzekł to ty rzeczywiście nie jesteś. Ale po drugiej stronie jest ich dwu. Do wyboru. Którą tradycję podjąłeś. Ja cię do niczego nie zmuszam. Chcesz spokojnej pracy dla kraju, trzeźwego racjonalizmu, precyzyjnego opisu społeczeństwa, w którym żyjesz? Świetnie, bierz na patrona starszego pana w okularach. A może wolisz walkę, oskarżenia, poetycką syntezę? Wolna droga, możesz wybrać tego z bujną grzywą. I życzę wam wszystkim, abyście mieli tyle pieniędzy, ile zauważycie wizerunki ludzi na nich umieszczone.

Oglądamy codziennie twarze z portretów, czytamy gazety, odważnie mówiąc o naruszaniu praw obywatelskich w Gwatemali i w Hondurasie, słuchamy radia, oglądamy telewizję, rozmawiamy z ludźmi w pracy, na ulicy, przy wódce. Ale między nami i światem rozciąga się niewidzialna i nieprzekraczalna bariera, która zabezpiecza przed wciąganiem jakichkolwiek konkretnych wniosków. Nas to wszystko nie dotyczy. My...

Właśnie, co my? Powiedz, po co żyjesz? Czego się spodziewasz? Kto albo co jest dla ciebie ostateczną instancją moralną? Wierzysz w Boga? Nie będę cię odwozili. Ale poczytaj Ewangelię i Dziesięcioro przykazań. Czy w twojej biernej zgodzie na zło świata, w twoich wygodnych codziennych kłamstwach, w twojej obojętności dla skrzywdzonych i poniżonych jest cokolwiek z nauki twego Boga?

A może nie wierzysz? Może jesteś materialistą i życie kończy się dla ciebie nieodwołalnie, kiedy przestaje funkcjonować twoje ciało? Czy to ciało właśnie jest instancją ostateczną i dobrem najwyższym? W jakiej perspektywie istotne jest, czy napchałeś swój brzuch? Czy rzeczywiście jest ci zupełnie obojętne, kim zostaniesz w pamięci innych?

A może - zostwmy nawet na boku sprawę światopoglądu - masz dzieci? Może zastanawiałeś się kiedyś, jakiego życia chciałbyś dla nich? Jakiego świata? Czy rzeczywiście chcesz, aby żyły tak jak ty?

Zechcesz pewnie na to wszystko odpowiedzieć, że innego życia i innego świata po prostu nie ma, że to tylko mrzonki, idealizm, utopia. Że świat zawsze opierał się na przemocy i niesprawiedliwości, a demokracji nie było w istocie nawet w starożytnych Atenach. I wręczcie przypomnisz jeszcze o radzieckich czołgach. Ciekawe, czy zdajesz sobie sprawę, że myśląc w ten sposób o sobie i świecie, rozumujesz z roli podmiotu, godząc się na egzystencję rzeczową, przedmiotową, bierną. Właśnie. Ten wniosek wyciągnięty z podanych przez ciebie samego przecież przesłanek już ci się nie podoba. Tego wcale nie chciałeś powiedzieć. Owszem, ale nie chodzi tu przede wszystkim o twoje słowa, ale o fakty.

Zdaj sobie wreszcie sprawę, ile pracy włożono w to, abyś myślał w ten właśnie sposób, abyś sądził, że nic od ciebie nie zależy, że wszystko co istotne napisane jest w Księdze Przemaczeń. A przecież wszystko świadczy o tym, że jest wręcz odwrotnie. Szalejąca cenzura, która ingeruje w najbardziej nawet blache dziedziny życia społecznego jest wyrazem lęku, jaki przed tobą czuje uzurpatorska władza. Setki godzin spędzonych w aresztach przez wykładowców latającego uniwersytetu - są dowodem przerażenia, jakie we władzach naszego kraju wywołuje wizja prawdy o świecie docierającej do społeczeństwa. Dziesiątki rewizji w poszukiwaniu niezależnej prasy, konfiskaty artykułów, papieru, matryc - to też dowody obawy przed ludzką suwerennością.

Jest tak, że władza, której się boisz - boi się ciebie. Więcej: ona traktuje cię poważniej niż ty sam, ona nie zapominała, iż to ty właśnie jesteś istotnym podmiotem świata, a ponadto żywi obawy, że możesz sobie o tym któregoś dnia przy-

pomnieć.

Biała Księga pokazuje mechanizm terroru, który ma budzić w tobie poczucie niepewności, wrażenie, że jesteś tylko nią nie znaczącą drobiną, że w zebranych tu przykładach milicyjnych mordów nie ma ani jednego, w którym morderstwo byłoby skutkiem nadużycia władzy dla celów osobistych. Nie chodzi o to, że milicjant załatwia przy pomocy służbowej broni swoje prywatne sprawy. To byłyby bowiem sprawy mówiące o cechach poszczególnych milicjantów, gdy tymczasem Biała Księga ukazuje system. System, w którym bije się nie po to, aby wymusić zeznanie, nie dlatego, że milicjant się zdenerwował, ale dla zasady, bije się dlatego, że nie ma powodu, aby nie bić. Jeżeli zaś przypadkiem powody takie się pojawiają, wtedy oczywiście co innego. Np. po skandalu z pobiciem Adama Michnika w Krakowie w lutym tego roku, milicjanci wrocławscy aresztujący niżej podpisanego z okazji kolejnych wykładów otrzymali polecenie przedstawienia swoim przełożonym każdorazowo szczegółowych obdukcji lekarskich, świadczących, iż przemocy fizycznej nie stosowali.

Trzdzieści parę ostatnich lat naszej historii to okres, wyróżniający się nie istnieniem w kraju opinii publicznej, a więc świadomością władzy, że nikt jej nie patrzy na ręce i że jest ona przeto zupełnie bezkarna. Odradzający się w ostatnim dziesięcioleciu głos tej opinii, nawet kiedy był jeszcze bardzo słaby i cichy już zmuszał rządzących do liczenia się z nim. Dziś, kiedy głos ten jest donioślejszy, mamy często skłonność do upajania się zwycięstwami. Nie trzeba ich negować, ale musimy sobie zdawać sprawę, iż są to w gruncie rzeczy zwycięstwa i radości niewolnicze.

Oto radujemy się, że nie pobito kogoś za wykładanie młodzieży historycznych faktów, że właściciela mieszkania, w którym odbywają się wykłady, skazano na kilka tysięcy grzywny, a nie na ciężkie roboty. cieszymy się, że po roku walki zwolniono z więzienia robotników zamkniętych tam z naruszeniem wszelkich obowiązujących norm prawnych, a działaczy KOR-u trzymano na Rakowieckiej tylko przez dwa miesiące. Uważamy za polityczne zwycięstwo, iż polscy pisarze mogą własnym sumptem i bez żadnego honorarium wydawać swoje utwory w formie maszynopisu a nikt ich za to nie aresztuje, i to nawet wtedy, gdy na forum zjazdu swojego związku zawodowego domagają się czegoś więcej. Jesteśmy w stanie słuchać, jak partyjny pisarz cieszący się opinią liberała określa działalność Towarzystwa Kursów Naukowych jako ekstremizm polityczny.

Słowem - przepełnia nas duma z własnej siły i niemal uczucie wdzięczności wobec naszych panów, którzy pozwalają nam wegetować, choć przecież mogliby zariesać. Nieświadomie ulegamy propagandzie, pragnącej nas zmusić, abyśmy całe swoje życie odczuwali jako niekończące się pasmo darów ze strony władzy, która w dobroci swojej robi nam nieustanne prezenty: daje nam wykształcenie, daje nam pracę, daje nam mieszkanie, a my, niewdzięczni, kręcimy nosem i marudzimy, że np. chcielibyśmy jeszcze mięsa albo wyborów.

Lektura Białej Księgi pozwala zrozumieć, jak nasze codzienne zgody na nieistotne wydawałoby się drobiazgi, zgody wynikające często ze znużenia, sumują się w spójny system wymierzony przeciw każdemu z nas. Jeżeli nie protestujemy przeciw idiotycznym, ale powtarzanym twierdzeniom, jakoby władza cokolwiek obywatelom dawała, jeżeli swoim milczeniem przyzwalamy na sączenie w nasze umysły jadu wszechogarniającego kłamstwa - nie dziwny się tym kilkunastu historiom wyjętym z akt Biura Interwencyjnego KSS KOR. Może zabrzmiałoby to szokująco, ale jako współpracownik Biura słyszałem historie bardziej jeszcze przerażające, które z rozmaitych względów (np. z powodu braku zgody rodziny zamorowanego) nie znalazły się w wydanym zbiorze.

Ale najbardziej wstrząsająca jest świadomość, że żadna z tych spraw nie musiała skończyć się tragicznie. I że jest wspólną winą nas wszystkich, iż wznoszącej pałkę ręki nie powstrzymuje strach przed społeczeństwem, które wymierza sprawiedliwość. Maltretując człowieka na posterunku w Zakliczynie milicjant wie, że nikt nie wezwie pomocy, bo naczelnik poczty odmówi połączenia. Milicjanci w Łomży zamordują chłopca, bo wiedzą, że żaden adwokat nie napisze skargi. Zboczenie-sadysta z posterunku w Ciścu bez obawy będzie masakrować narządy płciowe zatrzymanego czy przebijać mu dłonie wiedząc, że obdukcja lekarska nie wykáže tych ran. Liczą, że nikt nie przezwycięży swojego strachu, aby dać świadectwo prawdziwe. Pamiętaj! Liczą także na ciebie.

## SPIS TRESCI

Od redakcji .....	3
W 10 LAT PO WYDARZENIACH MARCHOWYCH.....	4
Bronisław Baczko.....	4
Stanisław Barańczak.....	5
Zygmunt Bauman.....	7
Włodzimierz Brus.....	8
Ludwik Dorn.....	9
Urszula Doroszewska.....	10
Gustawa Herling-Grudziński.....	12
Maria Hercowicz.....	13
Zygmunt Karliński.....	14
Leszek Kołakowski.....	14
Anka Kowalska.....	17
Jan Józef Lipski.....	18
Jacek Kuroń.....	19
Lesław Maleszka.....	21
ks. Stanisław Małkowski.....	23
Adam Michnik.....	24
Krzysztof Pomian.....	26
Aleksander Smolar.....	28
Andrzej Szczypiorski.....	29
Marek Turbacz.....	33
Jan Walc.....	35
Roman Wojciechowski.....	36
Wiktor Woroszyński.....	37
ANDRZEJ SZCZYPIORSKI Dysydenci i rzeczywistość.....	38
ALEKSANDER SOŁŻENICYN Inteligenctwo.....	44
DOKUMENTY	
List Vaclava Havela do Gustawa Husaka.....	62
NAD KSIĄŻKAMI	
WŁODZIMIERZ MARTO esejach Juliusza Mieroszewskiego.....	79
JAN WALC Medaliony.....	87